

Magrit Sandemo

Ognisty Miecz

Saga o Czarnoksiężniku 9

Przełożyła Iwona Zimnicka

(Angel i knipa)

data wydania oryginalnego 1993

data wydania polskiego 1996

STRESZCZENIE

Pewna epoka dobiegła końca. Czarnoksiężnik Móri i jego rodzina na razie zdołali odeprzeć atak złego rycerskiego Zakonu Świętego Słońca.

Walka jednak wciąż trwa. Członkowie Zakonu doskonale zdają sobie sprawę, że grupa Móriego wie o wiele więcej niż oni. Poszukują trzech kamieni, które mogą zaprowadzić ich do tajemniczych Wrót. Nikt nie wie, co się za nimi kryje ani gdzie się znajdują. Pierwszy kamień został już odnaleziony.

Móri ma troje dzieci: niezwykle Dolga, pół elfa, pół człowieka, obdarzonego nadprzyrodzonymi zdolnościami, i bliźnięta, Taran i Villemanna, o których dotychczas niewiele wspomniano. Żoną Móriego jest Tiril, córka austriackiej księżnej Theresy, która niedawno poślubiła kupca Erlinga Müllera z Bergen, starego przyjaciela Móriego i Tiril. Theresa i Erling przygarnęli dwójkę nieszczęśliwych dzieci, Rafaela i Danielle.

Ważną postacią jest pies Nero. Duchy Móriego, które czarnoksiężnik Móri przywiódł ze sobą z Innego Świata, przedłużyły życie ukochanego psa.

Dopóki Móri i jego najbliżsi przebywają na dworze Theresenhof w Austrii, chroni ich niewidzialny mur, wzniesiony przez duchy.

Bracia zakonnicy czekają tylko, aż znieawidzona rodzina opuści dwór, aby mogli ją zniszczyć, wydobywszy uprzednio wszelkie tajemnice.

Rozdział 1

Po trwających wiele miesięcy gwałtownych starciach z Zakonem Świętego Słońca pewnego wieczoru Móri zwołał rodzinę i przyjaciół w Theresenhof.

Miał do przekazania ważną nowinę.

W całym domu wyczuwało się już atmosferę nadchodzących Świąt Bożego Narodzenia. Unosiły się cudowne zapachy świeżo wyszorowanego drewna, upranej i wysuszonej na wietrze bielizny, gałązek jałowca, laku, świątecznych przysmaków i przypraw. Być może właśnie ten nastrój skłonił Móriego do mówienia.

Pogłaskał kosmaty łeb Nera i rozpoczął:

- Walka z kardynałem na razie się zakończyła i trzeba przyznać, że ostatnią rundę wygraliśmy. Wielu z nas jednak mogło przypłacić to życiem. Mam pewną propozycję. Co wy na to, abyśmy pozwolili teraz rycerzom działać na własną rękę? Zapomnijmy o nich na jakiś czas i żyjmy znów jak normalni ludzie.

Zapadła cisza.

Wreszcie głos zabrał Erling:

- Brzmi to doprawdy bardzo kusząco, wielu z nas bowiem potrzebuje choć trochę spokoju, by pomyśleć o własnej przyszłości. Ale czy oni pozwolą nam na taki luksus?

- Rozmawiałem z naszymi przyjaciółmi duchami - odparł Móri. - Dziś w nocy na łące, tam gdzie drzewa rzucają długie cienie, przybyli na me wezwanie. Pojawił się nawet Cień Dolga, na co wcale nie liczyłem. Wyjawiłem swoje pragnienie odpoczynku i poprosiłem ich o radę. To, czego się od nich dowiedziałem, bardzo mnie uspokoiło.

- Opowiedz nam wszystko po kolei - poprosiła Theresa.

Usadowiła się na kanapie między swymi nowymi dziećmi. Danielle z mozołem usiłowała upleść świąteczny koszyczek, a Rafael prosty jak świeca chłonał każde wypowiedziane przez Móriego słowo. Erling siedział z jego drugiej strony. Dzieci wyraźnie polubiły swoich przybranych rodziców. Na buziach Rafaela i Danielle pojawiły się rumieńce, nabrali też ciała. Najważniejsze jednak, że ich oczy odzyskały blask. Świadczyło to o powrocie do życia, cudownego, ciekawego życia wśród dobrych, miłych ludzi, z niezastąpionymi towarzyszami zabaw.

Móri zaczął mówić:

- Duchy powiedziały mi, że bracia zakonni wpadli we wściekłość, ostrzą noże i zęby. Ale Zakon także potrzebuje czasu na zwerbowanie nowych członków, tak by znowu było ich dwudziestu jeden. Dokonałiśmy wielkich zniszczeń w ich grupie.

- Świetnie! - ucieszył się Villemann.

- Zabijanie nie było naszym zamiarem - upomniał młodszego syna Móri. -

Czasami jednak nie da się tego uniknąć. Duchy bez względu na wszystko obiecały wziąć ich pod obserwację. Okazuje się, że nasi mniej lub bardziej niewidzialni przyjaciele także potrzebują czasu.

- Ojej! - wykrzyknęła zdziwiona Taran. - Na co im czas? Oni chyba mają go dość?

- Dolg - jednym słowem wyjaśnił Móri.

- Co takiego z Dolgiem? - nie mógł zrozumieć Villemann.

- Chcą, aby Dolg miał kilka lat spokoju, dorósł przed kolejnym zadaniem; będzie trudne.

Villemann cichutko westchnął.

- Zawsze Dolg. Dlaczego nigdy nie potrzebują mnie?

Móri uśmiechnął się do niego tajemniczo.

- Następnym razem i ty będziesz miał swój udział. Duchy to obiecały. Tobie i mnie przyjdzie wspierać Dolga.

Villemann z radości podskoczył prawie do sufitu, ale teraz poderwała się i Taran.

- A ja?

- Nie - odrzekł Móri łagodnie.

- Tak właśnie myślałam! I to tylko dlatego, że jestem dziewczynką.

- Wcale nie, nie tylko. Są inne przyczyny.

- Jakie?

- Tego mi nie wyjawili.

- Doskonale! - mruknęła Taran z ponurą miną.

- W każdym razie czeka nas kilka spokojnych lat - radowała się Tiril. - To będzie naprawdę cudowne.

- Przez krótki czas - mruknął Villemann pod nosem.

Zasmakowały mi przygody, myślał chłopczyk z lekkim przerażeniem. Nie chcę żyć w spokoju do czasu, aż dorosnę. To takie nudne! Przecież wtedy skończy się życie!

Rodzina dyskutowała nad nowinami, a Móri zatopił się w myślach, dziwnych, nieco przerażających...

Tak wiele, bardzo wiele istot czeka, a on mówi o odłożeniu działań na później! Czy ma do tego prawo? Czy nie przedłuża udręki wyczekujących z ogromnym utęsknieniem?

Dolg wiele dla nich uczynił. Oswobodził błędne ogniki od nieistnienia, przywrócił im pierwotną tożsamość. Ale ich droga do domu wciąż pozostaje daleka.

Móri przypuszczał, że Dolg wielce się przysłużył Cieniowi, no i duchom, a to przez swój bohaterski czyn: odnalezienie ogromnego szafiru. Pełni znaczenia tego czynu nikt dotychczas nie zrozumiał. Móri jednak nie mógł oprzeć się wrażeniu, że Cień i duchy wiedzą znacznie więcej, niż chcą mu ujawnić.

No tak, w pewnym sensie Dolg był ich ratunkiem.

A jednak czekał ktoś jeszcze.

Jeden. A może więcej?

Jeden, którego nie znali.

A raczej: sądzili, że zginął.

O tej istocie wspomniał dzisiejszej nocy Cień. Na jego twarzy, teraz dość już wyraźnej, odmalowało się zamyślenie. Powiedział Móriemu:

- Jak wiesz, Dolg pomógł błędnym ognikom wrócić do ich pierwotnej postaci i bardzo mu za to jesteśmy wdzięczni. Mogą teraz swobodnie poruszać się po ziemi w oczekiwaniu na ostateczne oswobodzenie. Pozostają niewidzialne dla was, ludzi, lecz są tutaj. Przyniosły nieprzyjemne wieści...

Móri słuchał w napięciu.

- Widzisz, mój przyjacielu, Móri z rodu islandzkich czarnoksiężników - Cień uśmiechnął się smętnie. - Jesteśmy ludem o szlachetnym charakterze, świadczył

o tym nasz sposób życia i wiara. Ale w krainie mrocznych lasów i gór, daleko od naszych ziem, istniało inne plemię, Silinowie. Silinowie nie byli nieśmiertelni jak my i zginęli podczas wielkiej katastrofy, która kiedyś dotknęła świat. Tak przypuszczaliśmy, a powinniśmy wiedzieć lepiej. Żyli jednak daleko od nas, dzieliły nas morza i góry, niewiele o nich wiedzieliśmy. A jeszcze mniej znaliśmy tereny położone za ich ziemiami, krainę wielkich stepów, gdzie mieszkał inny lud. O królu Silinów poszeptowano tylko, że zna się na czarach...

- Czarnoksiężnik? - spytał zdumiony Móri.

- Możesz go tak nazwać - skinął głową Cień. - Ale w innym sensie niż ty, Hraundrangi - Móri czy Nauczyciel. Nosił imię Sigilion. Niedawno dowiedziałem się od moich pobratymców, tych, którzy byli kiedyś błędnymi ognikami, że złe przecucie z westchnieniem przemknęło wśród drzew.

- Mówisz teraz zagadkami - stwierdził Móri.

- Wcale nie. Sigilionowi towarzyszą westchnienia i jęk. Strach niesiony wiatrem. Ziemia i ludzkie serca jęczą z bólu, nie rozumiejąc, dlaczego. Błędne ogniki sądzą, że on wciąż żyje.

- Czy jego lud także istnieje?

- Nie! Wiemy na pewno, że Silinów spotkała zagłada, widzieliśmy to na własne oczy, gdy nasz statek przybił do ich wybrzeży. Kraj został zniszczony, zniknął w trąbach potwornych orkanów, które wstrząsnęły światem. Zapomnieliśmy jednak o potędze czarów Sigiliona i jego położonej wysoko siedzibie. Mógł przeżyć.

- Ale czy ludzie by go nie odkryli? Upłynął jednak długi czas...

- Dłuższy niż ci się wydaje - Cień uśmiechnął się gorzko. - Nie wiem tego na pewno, ale można przypuszczać, że nie przebywał cieleśnie na powierzchni ziemi. Sądzę raczej, że się obudził teraz, kiedy Dolg szuka drogi powrotu dla wszystkich z mego rodu. Sigilion należy do tamtych epok, nie do ludzkich.

Móri zauważył, że Cień rozróżnia swoją rasę od ludzi. Serce ścisnęło mu się w piersi na myśl, że w żyłach ukochanego syna Dolga płynie krew obu ras.

A prawdę powiedziawszy, Dolg bliższy był nawet tym obcym.

Móri, nie bardzo sobie zdając sprawę z tego, co robi, zrelacjonował na głos swoją rozmowę z Cieniem, kiedy więc Theresa zadała pytanie, gwałtownie drgnął.

- To znaczy, że ten czarownik z pradawnych czasów jest niebezpieczny?

- Co? Co takiego? Ach, przepraszam! Rzeczywiście takie odniosłem wrażenie - przyznał zaskoczony. - Chociaż Cień nie powiedział mi tego wprost. Cień w ogóle nic więcej o tym nie mówił, a mnie, głupiemu, nie przyszło do głowy, by go wypytać. Mieliśmy tyle innych spraw do omówienia, ważniejszych niż jakiś stary, zakurzony czarownik. Tak, czarownik, bo nie zgadzam się na nadawanie mu czcigodnego tytułu czarnoksiężnika.

Ów przedświąteczny wieczór zakończył się konkluzją, że odłożenie niebezpiecznych działań na jakiś czas przyda się wszystkim.

Tylko Villemann był innego zdania, rozumiał jednak, że dziesięcioletek nie powinien się wtrącać w sprawy uzgodnione przez dorosłych.

Móri zakończył rozmowę bardziej optymistycznie:

- Wiecie, co przede wszystkim zrobimy, kiedy odpoczniemy już przez kilka lat?

- Nie?

- Pojedziemy do Norwegii i na Islandię.

- Hurra! - zawołały dzieci, a Tiril rozjaśniła się w uśmiechu. Tak bardzo pragnęła wrócić na północ.

- Czy nie możemy jechać już teraz? - zapalił się Villemann.

- Nie, synku - Móri uśmiechnął się, ale oczy miał poważne. - Bo tam właśnie Dolg ma wykonać swe kolejne zadanie. Dlatego musimy czekać, aż twój brat i ty dorośniecie.

Móri spostrzegł, że twarz Dolga zajaśniała nagle jakimś niezwykłym blaskiem.

Norwegia. Islandia. Krainy, o których śnił i do których tęsknił. Móri tak wiele wszak o nich opowiadał. Dolg nie myślał teraz, że podróż łączyć się będzie z nowymi kłopotami, może kolejnymi niebezpieczeństwami.

I może tak właśnie było lepiej.

Rozdział 2

Upływały lata. Piękne, cudowne lata, które wszyscy mieli wspominać z radością. Kilkakrotnie zdarzyło się co prawda, że Móri musiał wyprawiać się w pościg za zbuntowanym Villemannem, ale chłopiec z wiekiem stawał się coraz mądrzejszy. Świadomość, że czekają go wspaniałe przygody, kiedy tylko nieco bardziej dojrzeje, stanowiła hamulec, jakiego potrzebował, by zapanować nad żądzą wrażeń.

W roku 1740 zmarł cesarz Karol VI. W Theresenhof szczerze tę śmierć oplakiwano. Cesarz, pomimo spoczywającej na jego barkach ogromnej odpowiedzialności, potrafił znaleźć czas, by zatroszczyć się o swą młodszą siostrę Theresę, i służył wszystkim mieszkańcom dworu nieocenioną pomocą. Wraz z jego śmiercią wszelkie nici łączące Theresę z domem książęcym w wiedeńskim Hofburgu zostały zerwane. Z nowym cesarzem, Karolem VII, nie łączyły jej nawet więzy krwi, ponieważ był on mężem córki najstarszego brata Karola i Theresy, który panował jako Józef I przed Karolem VI. Nowy cesarz urodził się jako Karol Albert z Bawarii i ani jego, ani jego żony nie obchodziła grzeszna ciotka z Theresenhof.

Theresa w pewnym sensie odetchnęła z ulgą. Nie miała teraz żadnych zobowiązań wobec dworu i jego wymagań, stała się osobą bardziej niezależną. Jej przybrane dzieci, Rafael i Danielle, wyrosły na ślicznych, smukłych młodych ludzi, całkiem odmiennych od silnych potomków Tiril i Móriego, ale cała piątka wspaniale się dogadywała i przeżyła wspólnie wiele pięknych dni w Theresenhof, dostatecznie dużym, by pomieścić dwie rodziny.

Móri ogromnie się cieszył, że mógł przekazać odpowiedzialność za gospodarowanie w Theresenhof Erlingowi i Theresie. Miał dzięki temu więcej czasu na zajęcie się okoliczną ludnością, jej chorobami i troskami. Wszyscy starali się dzielić między sobą obowiązki jak najlepiej. Tiril także nie pozostawała bez zajęcia, bardzo często kontynuowała dzieło rozpoczęte przez Móriego i do niej właśnie zwracali się mieszkańcy okolicy, kiedy potrzebna im była pomoc.

Stara wierna pokojówka Theresy musiała ugiąć się pod nieubłagalnym naciskiem starości. Spoczęła na prywatnym cmentarzu dworu. Za to Nero przeżywał kolejnych służących. Stał się żywą legendą okolicy i zdawał się nawet nie zauważać swojego niesamowitego wieku, wciąż skory do zabawy jak szczeniak. Wszyscy uważali te lata za szczęśliwe. Naturalnie nie dało się całkiem uniknąć trosk i kłopotów, lecz one miały drugorzędne znaczenie. Nie docierały żadne wieści o Zakonie, zresztą poczynania braci nikogo szczególnie nie obchodziły. Spokój panował do czasu, kiedy Dolg osiągnął wiek dwudziestu jeden lat, a bliźnięta dziewiętnastu. Rafael miał wówczas lat dwadzieścia jeden, a Danielle siedemnaście.

Wtedy właśnie rozpoczął się kolejny okres niepokoju. Ale... dość nieoczekiwanie w tarapaty wpadła Taran.

Gdyby znali Taran choć trochę lepiej, zrozumieliby z pewnością, że nie jest to wcale takie niespodziewane. Dziewczyna była przebieglejsza od Villemanna, który buntował się otwarcie, Taran natomiast działała w ukryciu. Nie posiadała żadnych nadprzyrodzonych zdolności, ale też ich nie potrzebowała. Inteligentna ślicznotka i bez tego potrafi osiągnąć wszystko, czego chce.

Taran nie miała w sobie wrodzonego zła. Przeciwnie, była osobą o gorącym sercu, szanującą i troszczącą się o innych ludzi, oprócz tych momentów, kiedy potrzebowała czegoś dla siebie. Zaprzeczyć też się nie da, że czasami działała wyrachowanie.

Miała czternaście lat, kiedy Danielle przydzielono pokój, który Taran w marzeniach widziała jako swój pokoik panieński. Izdebka była śliczna i bardzo dziewczęca, właśnie taka jak Danielle, i dorosłym nie przyszło do głowy, że chadzająca własnymi ścieżkami Taran mogłaby marzyć o tak zdecydowanie kobiecym wnętrzu. Omylili się pod tym względem co do jej osobowości. Myśli czternastoletniej dziewczyny zaczynają krążyć wokół innych tematów niż zawody o to, kto najdłużej wytrzyma z głową pod wodą czy też wdrapie się najwyżej na starą gruszę.

Taran nie awanturowała się, nie urządzała scen o “sprawiedliwości” i “traktowaniu po macoszemu”, szczególnie że przecież w tym przypadku przybranym dzieckiem była właśnie Danielle. Nie. Taran zniechęciła Danielle do pokoju w bardzo wyrafinowany sposób. W księżycowe noce ukazywała się za oknem owinięta prześcieradłem, udając upiora, hałasowała zgrzytającym łańcuchem, który wcześniej ułożyła pod łóżkiem Danielle, a który potem, stojąc na korytarzu, przeciągała przez szparę pod drzwiami. Karmiła dziewczynkę historiami o duchach i wlewała jej wody do łóżka twierdząc, że to upiór osoby, cierpiącej na moczenie nocne. Tak oto obrzydziła izdebkę Danielle, że ta w końcu na kolanach ją błagała, by zamieniły się na pokoje. Taran dość długo rozważała propozycję, by wreszcie się “poświęcić”. Owszem, chyba zdołała jakoś wytrzymać w nawiedzanej sypialni.

Danielle nikomu innemu nie śmiała się zwierzyć ze swych okropnych przeżyć, bo Taran ją ostrzegła: gotowi jeszcze pomyśleć, że Danielle pod wpływem trudnego okresu w Virneburg pomieszało się w głowie, że po prostu oszalała.

O dziwo, kiedy Taran triumfalnie się wprowadziła, duchy zniknęły.

Młoda dama potrafiła poradzić sobie ze wszystkim jak najlepiej. Wyrosła na prawdziwą piękność. Po Mórím odziedziczyła ciemne oczy i włosy, skórę barwy kości słoniowej, po Tiril zaś wesołe usposobienie. Tym, czego los poskapił Tiril pod względem urody, w dwójnasób obdarował jej córkę. Nie bez znaczenia było też pokrewieństwo z Habsburgami. Wielu członków rodziny książęcej zasłynęło urodą, a miało ich być jeszcze więcej, na przykład wnuczka Karola VI, Maria Antonina, która tak tragicznie zakończyła żywot podczas rewolucji francuskiej, czy też późniejsza krewniaczka, Elżbieta Piękna. Taran w odróżnieniu od Tiril i Theresy potrafiła dobrze wykorzystać ów wrodzony dar. Wraz z upływającymi latami z coraz większym zadowoleniem obserwowała spojrzenia, jakimi obrzucali ją mężczyźni i młodzi chłopcy, kiedy przechadzała się po pobliskim miasteczku. Ekscytowały ją, ale potrafiła zachowywać się w granicach przyzwoitości.

Ciekawość jednak była jej wrodzoną cechą, podobnie jak Villemanna. Taran pragnęła poznać życie i świat możliwie najdogłębniej. W tamtych czasach takie nastawienie mogło być dość niebezpieczne dla młodej panny.

Ludzi, o których nie miała zbyt wysokiego mniemania, potrafiła wmanewrować w sytuacje bardzo nieprzyjemne, tracili swój status i doznawali uszczerbku na godności. Postępowała przy tym tak sprytnie, że nikt się nie orientował, że to śliczna panienska Taran ze dworu znów krąży po okolicy. Śmiertelnie groźnych przygód także nie unikała.

W jej młodym życiu wiele było epizodów, które powinna raczej przemilczeć i ukryć w mrocznych zakamarkach ewentualnego sumienia.

Tak, Taran miała w sobie niemało demonizmu, ale na razie czekała, aż jej czas nadejdzie.

Początek dorosłego życia Taran był splotem dramatycznych wydarzeń.

Rozpoczęły się one w miejscu dość niecodziennym, a mianowicie w wymiarach, z których pochodzą i gdzie spotykają się na narady duchy opiekuńcze ludzi.

Niektórzy wolą nazywać ich pomocnikami, duchowymi przewodnikami, strażą anielską lub aniołami stróżami, określenie nie jest takie istotne.

Młody Uriel - jego dusza liczyła sobie zaledwie trzy tysiące lat; nie był to archanioł Uriel, lecz tylko jego imiennik - nie mógł oprzeć się wzburzeniu. Oczywiście na łagodnej twarzy nie było tego widać, ale piękne długie kręcone włosy się zmierzwiły, a biała szata powiewała gwałtownie...

Skrzydeł Uriel nie miał. Wielkim nieporozumieniem jest ogólne przeświadczenie, że duchy opiekuńcze są uskrzydłone.

- Nie wydaje mi się to w pełni sprawiedliwe - rzekł, nie podnosząc głosu. -

Skończyłem już przecież z tym wymiarem i należę do następnego, wyższego.

Wykonałem już swoje obowiązki jako duch opiekuńczy.

Jego zwierzchnik (ten miał skrzydła) usiłował go łagodnie przekonywać:

- Za łatwo ci poszło w roli ducha opiekuńczego człowieka. Pobożna Blitilda nie sprawiała żadnych kłopotów, a w dodatku okazała ci wielką życzliwość, umierając młodo.

- Ale powiedziano przecież, że ostatnim zadaniem duszy, która osiągnęła kres wędrówki, jest towarzyszenie przez życie człowiekowi i chronienie go. Nigdzie natomiast nie napisano, że należy to wykonać dwukrotnie!

- Przykro mi, Urielu... Nie, Frodielu - odwrócił się do nowo przybyłej duszyczki. - Nie wolno wycierać nosa gieźlem! O czym to ja mówiłem? Ach, już wiem. Przykro mi, Urielu, lecz duch opiekuńczy tej dziewczyny Taran poddał się...

- To nikogo nie dziwi! Słyszałem o niej i jej szaleństwach.

- Żaden z duchów opiekuńczych, które mają teraz przystąpić do obowiązków, nie jest dostatecznie silny, by sobie z nią poradzić, dlatego musieliśmy zwrócić się o pomoc do wyższych wymiarów. Wybór padł na ciebie.

Nie przestając się przez cały czas uśmiechać, Uriel oświadczył lekko drżącym głosem:

- Przeżyłem swoje liczne życia na ziemi najlepiej jak się dało. Sprawowałem się dobrze, wręcz wzorowo, również jako duch opiekuńczy łaskawej Blitildy, do tego stopnia, że już teraz zostałem obdarzony nieziemską urodą aniołów.

- Aniołem jeszcze nie jesteś - prędko zauważył jego zwierzchnik. - Dopiero aspirujesz, by wstąpić w wyższy wymiar.

- Ale przydzielenie mi, w ramach dodatkowej próby... takiej szelmy... Nie zasłużyłem na to!

- Owszem, zasłużyłeś. Dotychczas wszystko przychodziło ci zbyt łatwo.

Przyzwoite zachowanie nie jest żadną sztuką, jeśli nie jest się wystawionym na pokusy. A pobożna Blitilda żadnej pokusy dla ciebie nie stanowiła!

Czyli że z tą Taran może być inaczej, pomyślał Uriel. Podobno jest bardzo piękna, czego nie dało się powiedzieć o Blitildzie, która była natomiast niezwykle bogobojna i to równoważyło inne niedostatki.

Niemile przeczucie podpowiadało mu, że Taran z pewnością nie posiada tej ostatniej cechy.

Ogarnięty bezsilnością zaproponował:

- Czy nie mógłbym się zamienić z obecnym tu Mirielem? On opiekuje się młodzieńką Danielle, przybraną siostrą Taran.

- O, nie, dziękuję - błyskawicznie odparł Miriel i odskoczył nieco w tył. - Nigdy nie opuszczę tego prawdziwego cudu, jakim jest Danielle. W dodatku miałbym ją zamienić na Taran? Nie, nie, wielkie dzięki! W zeszłym tygodniu Taran próbowała uwieść goszczącego u nich kanonika i tylko dzięki niesłychanym wysiłkom kobiecego ducha, który czuwał nad mnichem, i przypominający elfa duch opiekuńczy Taran zdołali ocalić młodego człowieka przed losem gorszym niż śmierć.

- O ile dobrze pamiętam swoje ziemskie istnienia, to bywały gorsze losy - mruknął ich zwierzchnik nie bez tęsknoty w głosie. - No cóż, właśnie to wydarzenie doprowadziło ducha opiekuńczego Taran do załamania i skłoniło do szukania pomocy. Urielu, jestem przekonany, że jak najbardziej się nadajesz do zajęcia się tym nieszczęsnym dzieckiem - oświadczył na koniec i leciutko popchnął Uriela ku wyjściu. - To tylko na jakiś czas. Później duch opiekuńczy Taran na nowo podejmie swoje obowiązki.

- Na jak długo? - ponuro spytał Uriel.

- Rodzina wybiera się w podróż - odparł uskrzydłony. - Do zimnych północnych krajów.

- Czy to naprawdę takie niebezpieczne?

- Może tak, może nie. Nie wiemy. Tam czekają Taran nowe pokusy, jej dotychczasowy opiekun wręcz nie chce podjąć się za nią odpowiedzialności. Obiecał, że wróci do niej, kiedy wszystko się uspokoi.

Uriel nie był na tyle głupi, by nie zrozumieć, co może oznaczać podróż do obcych, interesujących krajów dla żadnej przygód, nieskromnej i nieposłusznej pannicy.

Westchnął ciężko i zaczął opadać na ziemię.

Rozdział 3

Norwegia!

Nareszcie, po ponad dwudziestu latach, powrócili do starego kraju.

Zeszli na ląd w Bergen, bo uważali, że przyjazd do Christianii nie ma sensu. Ani Tiril, ani Móri nie mieli stamtąd dobrych wspomnień, pojechali więc z Erlingiem, który chciał zaprezentować rodzinie żonę, księżną Theresę, i dwoje dzieci, Rafaela i Danielle. Później Theresa zamierzała odwiedzić swą dawną przyjaciółkę Aurorę, mieszkającą pod Christianią, ale już bez Tiril i Móriego. Móri wraz z synami miał jechać dalej, na Islandię, gdzie Dolga czekało następne zadanie. Tiril zastanawiała się, czy nie wybrać się wraz z nimi, bo z Bergen także nie łączyły jej przecież przyjemne wspomnienia. Erling przybył do rodzinnego miasta jako szlachcic, baron von Bergenmüller.

Podczas całego tego uzgadniania planów Taran odsunięto na bok. Nikt nie pytał, jakie są jej życzenia.

Rozglądając się na wszystkie strony jechali ulicami Bergen w wielkim otwartym powozie, ponieważ była już późna wiosna i świeciło słońce. Erling całkiem niepotrzebnie obawiał się zwyczajnej na zachodnim wybrzeżu deszczowej pogody. Młodzi przysłuchiwali się niezwyklej dialektowi Bergen i przeraźliwemu skrzeczeniu mew. Villemann twierdził, że są do siebie podobne, jak gdyby to ptaki nauczyły ludzi mówić.

- Mnie się ten dialekt bardzo podoba - oświadczyła Taran, która chciała mieć własne zdanie. Nie należała do osób pragnących pozostać w zapomnieniu. - Ale trochę tu prowincjonalnie.

- No, no - zaperzył się Móri. - Bergen było kiedyś wielkim ośrodkiem handlowym.

- Właśnie, było - mruknęła Taran. - Nie jest to Wiedeń!

Villemann miał lepszy nastrój.

- Spójrzcie, wydaje mi się, że Nero poznaje, gdzie jest! - wykrzyknął.

Rzeczywiście, na to wyglądało. Pies wyprzedził konie i z zapalem obwąchiwał ulice. Nagle ruszył biegiem w głąb jakiegoś zaułka.

Och, nie, byle tylko nie wdał się w awanturę z innymi psami, pomyślała Tiril.

- Za tym rogiem kiedyś mieszkałam - oznajmiła z przykrością. - Chyba nie mam ochoty oglądać tego domu.

- Niestety, nie da się tego uniknąć - odparł Erling. - Będziecie go mijać w drodze do miejsca, gdzie się zatrzymacie. Spójrz, Thereso, te domy należały kiedyś do mnie.

Erling bawił poza Norwegią nie tak długo jak inni, ale i jego nieobecność liczyła się już na lata.

Dotarli do dawnego domu konsula Dahla, Tiril cała spięta się w sobie.

- Pomalowali dom! - wykrzyknęła z ulgą po chwili. - Drzwi także, przedtem były ciemnozielone, teraz są białe.

Nadbiegł Nero i już chciał wejść na schody.

- Nie, Nero, teraz mieszkają tam inni ludzie. Jedźmy dalej!

Po jakimś czasie rodziny się rozstały. Miały się spotkać następnego dnia.

Taran siedziała obok Villemanna milcząca, z zainteresowaniem przyglądała się niskim białym domom, przytulonym do zbocza góry. W oddali widać było dwie średniowieczne budowle: Dwór Håkona i Wieżę Rosenkrantza, jak wyjaśniła Tiril.

Taran nie słuchała uważnie, myślą znów wróciła do przeprawy statkiem.

Jak wiele razy wcześniej próbowała odrobinę uwodzić Rafaela, trochę dla zabawy, a trochę po to, by się sprawdzić. Rafael, równolatek Dolga, wydawał jej się taki dorosły i przez to bardzo interesujący. Zdaniem Taran wyglądał niezwykle romantycznie. Włosy, gdy nie spinał ich na karku, miękkimi falami spływały na szeroki, biały kołnierz. Rozmarzone oczy, piękne, delikatne, niemal kobiece rysy, tak przypominające rysy jego siostry, Danielle. Rafael pisał poezje, mówił ciepłym, łagodnym głosem i miał nienaganne, eleganckie maniery, niemal przesadne, jak to często bywa u ludzi, którzy we wczesnym dzieciństwie podlegali żelaznej dyscyplinie.

Taran nie śmiała otwarcie uwodzić swego przybranego brata, czy raczej przybranego wuja. Powiązania rodzinne w Theresenhof były całkiem idiotyczne, wytłumaczenie ich obcym zawsze przychodziło z trudem.

Nie flirtowała z Rafaelem wprost, ale sprawiało jej radość poruszanie się w sposób, który go zawstydzał. Prezentowanie ciała bokiem lub zmuszanie, by zajrzał w wycięcie sukni, podwinięta spódnica, lekkie muśnięcie.

Drobiazgi, które mogłyby się wydawać czysto przypadkowe, choć oczywiście wcale takie nie były.

Nie udało jej się jednak zawrócić Rafaelowi w głowie. Nie powiodło jej się także z młodzieńkiem chłopcem okrętowym na statku podczas podróży do Norwegii.

Dlaczego? Dlaczego tak się stało?

W jej życiu pojawił się natomiast jakiś nowy element, tak trudny do zdefiniowania, że nie potrafiła go nazwać. Jak to opisać? Jakby... Jakby ktoś dosłownie trzepał ją po palcach, sycząc: "Fe!" za każdym razem, gdy starała się być uwodzicielska.

Tak było między innymi w tamtą księżycową noc na statku, kiedy nie mogła zasnąć i wymknęła się na pokład w samej tylko nocnej koszuli. W miejscu, w którym się znalazła, nie zauważyła marynarzy i coś ją podkusiło, żeby wspiąć się na maszt.

Nagle powstrzymał ją jakby nagły wyrzut sumienia. "Nie wolno ci tak robić, Taran, to niebezpieczne! I okropnie niekobiece", odezwało się jej lepsze "ja" czy co to było. Nie zdarzyło się to nigdy wcześniej, śmiałe przedsięwzięcia stanowiły nieodłączną część jej życia, wyzwanie, które przyjmowała z radością.

Tym razem także odpowiedziała na impuls, lecz nie powiodło się jej najlepiej.

Stopa obsunęła się na bomie i ciężar stał się za duży dla ręki, którą się przytrzymywała. Drugą ręką szukała podparcia, lecz go nie znalazła. Spadła z dość znacznej wysokości, sternik ją zauważył, krzyknął, lecz znajdował się zbyt daleko, by móc ją uratować.

A jednak, upadwszy na pokład, Taran stwierdziła, że żyje i wcale tak mocno się nie potłukła, bo prędkość spadania w pewnym momencie nagle jakby się zmniejszyła. Z lekko skręconą nogą mogła więc pokuśtykać z powrotem do swojej kajuty, boleśnie świadoma faktu, że koszula nocna wydeła się wokół niej jak parasol i w końcu wywinęła nad głowę. A ona pod spodem nie miała nic.

Taran wiele się zastanawiała nad swym cudownym ocaleniem. Akurat w momencie, gdy dotknęła pokładu, przez głowę przemknęła jej śmieszna myśl: "Przeklęty zwierzchnik, dlaczego to nie Blitilda?"

Cóż to za skojarzenie? Skąd się wzięło? Blitilda? Cudaczne imię. Zetknęła się z nim przy okazji omawiania drzew genealogicznych. Córka Chlotara, wnuczka Chlodwiga i Klotyldy. Czyżby w rodzie Merowingów nie mieli żdźbła poczucia estetyki przy wybieraniu imion?

Słowa, rzecz jasna, napłynęły znikąd. Ale ratunek?

Następnego dnia spytała ojca, czy jego duchy znów im towarzyszą.

- Nie - odparł Móri. - Jeszcze nie. Nie słyszałem ich ani nie widziałem od czasu naszej ostatniej rozmowy przed ośmiu laty. Powiedzieli mi wtedy, że gdy Dolg skończy dwadzieścia jeden lat, będziemy mogli pojechać do Norwegii, a przede wszystkim na Islandię, wręcz powinniśmy tak uczynić. Nie, nie ma ich teraz z nami, lecz przypuszczam, że się pojawią, jak zbliżymy się do ważnego dla nich miejsca.

A więc to nie towarzysze ojca. Może własny duch opiekuńczy Taran? Hm, przez całe lata wyczuwała u swego boku obecność jakiejś kruchej, eterycznej istoty, lecz ona nigdy nie objawiała się namacalnie. A tym razem stało się inaczej. Nie, towarzyszący jej elf nie mógł tego dokonać!

To musiał być ktoś inny. Ale kto?

Roztrząsali na wszystkie strony kwestię, co począć z Taran, czy zabrać ją na Islandię, czy nie. Dziewczyna wahanie rodziców przyjęła jako wielką niesprawiedliwość i awanturowała się bardziej niż zwykle, co z kolei sprawiło, że Móri jeszcze głębiej się namyślał. Wtedy, przed ośmiu laty, duchy przestrzegły go akurat przed tym: "Uważaj na Taran! Dobrze się zastanów, zanim zabierzesz ją na Islandię. Ona może przyciągać kłopoty jak magnes. Już jest dość nieskromna. Nikt nie wie, jak będzie, gdy dorośnie. Na wyspie może narazić się na wielkie niebezpieczeństwo".

Teraz Taran była dorosła i szczerze musiał przyznać, że nie wyrosła na cnotliwą.

A mamie, Tiril, wolno było jechać. Taran nie mogła zrozumieć, na czym polega różnica. Nie pojmowała, że duchy już dawno przejrzały jej brak rozwagi. Zdawały sobie sprawę, że nie oglądając się na nic pójdzie prosto w paszczę lwa, wiedzona chęcią przeżycia emocji będzie wpadać do gorących źródeł albo czołgać się pod lodowcami!

“Zawisła nad nią groźba - oznajmił wówczas Nauczyciel. - Nie wiemy, co to jest, ale od dawna przeznaczone jej są kłopoty”.

Móri nie miał też ochoty zostawiać córki bez opieki w Norwegii. Z ciężkim sercem poprosił, aby sama zdecydowała: czy woli jechać z babką Theresa do Aurory pod Christianię, czy też zostać w Bergen u rodziny Erlinga?

Taran nie podobało się żadne z tych rozwiązań. Chciała jechać na Islandię. Ojciec tyle opowiadał o tym kraju, rozpałił w niej tęsknotę. Czyżby się z nią drażnił teraz, kiedy prawie już tam dotarła?

No, “prawie” to chyba nieco zbyt mocne słowo. Ale Móri zdawał sobie sprawę, że zawiódł córkę.

Okazało się, że ma jeszcze trochę czasu do namysłu. Mogli wyruszyć dopiero za dwa tygodnie i Móri z radością przyjął tę zwłokę.

Ucieszyła się i Taran. Czas oczekiwania wykorzystała na zbadanie okolic Bergen na własną rękę. Z natury ciekawa świata, a ponadto wielka miłośniczka przyrody, zakochała się w dzikich wzgórzach otaczających miasto. Właściwie nie wolno jej było włóczyć się samotnie, ale taki zakaz był dla Taran drobiazgiem bez znaczenia. Matce i ojcu mówiła, że wybiera się do Erlinga i Theresy, a dziadkom - że musi wracać do rodziców. Bracia zbyt byli zajęci przygotowaniem do morskiej podróży, by zwracać na nią uwagę, a Rafael i Danielle przebywali u rodziny Erlinga.

Tak naprawdę nikt nie miał czasu dla Taran.

Podczas jednej ze swych stale coraz bardziej niebezpiecznych ekspedycji odkryła, kto jej pilnuje.

Zanim jednak do tego doszło, zdążyła wiele osiągnąć.

Zwiedziła na przykład targ rybny, przyglądając się norweskiej ulicy. Nieźle nauczyła się norweskiego od rodziców, którzy między sobą rozmawiali najczęściej w tym właśnie języku, ale ze zrozumieniem dialektu bergeńskiego miała trudności. Dlatego doszła do wniosku, że najmądrzej będzie uczyć się go, słuchając.

Nie zauważyła, że kobiety na jej widok wymieniają wiele mówiące spojrzenia, a mężczyźni rzucają za nią sprośne żarty. Przecież nie rozumiała słów, coż więc jej to przeszkadzało?

Kiedy pewnego dnia usłyszała sympatyczną propozycję, od razu się na nią zgodziła.

Jakiś szyper spytał, czy miałaby ochotę na wyprawę jego kutrem.

Na ryby? Wspaniale, bardzo się z tego ucieszyła, będzie miała co opowiadać braciom.

Na pokładzie kutra było trzech mężczyzn. Łódź wypłynęła z portu przy wtórze zachęcających okrzyków z nabrzeży. Taran, nie zdając sobie sprawy, co się dzieje, wesoło pomachała ręką zebrany.

Gdy wypłynęli już prawie na pełne morze, szyper stanął za nią, objął ją za ramiona i przyciągnął do siebie. Jaki on przyjacielski, pomyślała Taran.

- Niewiele możemy ci zapłacić - oznajmił szyper. - Ale każdy dorzuci grosz. Zależy, ile zwykłaś dostawać.

- Och, nie, nie chcę żadnej zapłaty - odparła uradowana Taran. - Bardzo się cieszę, że mogę być z wami i wam pomóc. Co mam robić?

Chwilę później zrozumiała swój błąd. Walczyła jak szalona, lecz pokonanie dwóch mężczyzn było ponad jej siły. Trzeci stał przy sterze, wydawało się jednak, że jest głuchy na wołania dziewczyny o pomoc.

Nagle jednak poczuł, że kuter nie chce go słuchać. Chociaż starał się utrzymać stały kurs na pełne morze, ster kierował łódź ku lądowi. Rybak ciągnął z całych sił, lecz coś okazało się silniejsze od niego. Zawołał szypra, który zorientował się już, że manewrowanie łodzią źle idzie, ale musiał się bronić przed dzikimi kopniakami Taran.

Kuter zbliżył się do lądu na niebezpieczną odległość i wszyscy trzej mężczyźni rzucili się ratować łódź. Taran natychmiast skorzystała z okazji i skoczyła za burtę. Zaraz potem kuter znów skierował się na otwarte morze.

- Dziękuję za pomoc! - wybulgotała Taran, bo fale w tym miejscu były dość wysokie. Umiała pływać, zresztą do kamienistej plaży nie było daleko. - Dziękuję, bez względu na to, kim jesteś!

Znów uwaga o "wspaniałej Blitildzie" przemknęła jej przez głowę. Zabrzmiała dość kwaśno, ale też i dało się w niej wyczuć ślad ulgi.

Kto mi pomaga? zastanawiała się Taran, kiedy ociekając wodą i trzęsąc się z zimna kierowała się w stronę Bergen. Wściekła na siebie za swą naiwność i zdecydowana nigdy więcej nie chodzić na nabrzeże rybackie.

Ponieważ jednak posiadała zdolność dostrzegania komizmu w większości sytuacji, wybuchnęła głośnym śmiechem.

- Świetnie sobie poradziliśmy - rzuciła w powietrze. - Obiecuję, że nigdy czegoś podobnego więcej nie zrobię.

"Wcale w to nie wierzę", rozległa się odpowiedź w jej głowie.

- Bardzo chciałabym wiedzieć, kim ty jesteś. I jak wyglądasz.

"Nigdy się tego nie dowiesz! Nigdy w życiu!"

- Masz jakieś życie, o którym możesz mówić? - dopytywała się. - I kim, do pioruna, jest ta okropna Blitilda?

Głos w jej wnętrzu pozostał milczący.

Rozdział 4

Karakorum. Pamir...

Już same te nazwy przyprawiały o dreszcz na wspomnienie wiecznego zimna, oszalamiającej przestrzeni i przyrody tak pięknej i potężnej, że ludzkie serce ledwie zdołało to ogarnąć.

Pamir. Dach świata, Wyżyna, gdzie dna dolin leżą na wysokości 4000 metrów nad poziomem morza. Karakorum. Drugi pod względem wysokości łańcuch górski na świecie, którego nikt z zewnątrz jeszcze nie odkrył.

Zachodni sąsiad Himalajów.

Nieliczni ludzie żyli w tej górskiej krainie. Kirgizi i Tadżykowie przemierzali konno równiny Pamiru, lud Hunza strzegł jedwabnego szlaku, łączącego Turkiestan z Indiami.

Jeszcze mniej było przyjezdnych, tylko wielbłądzie karawany w swej nie kończącej się wędrówce.

W górskim mieście Gilgit, w tajemniczym świecie gór i dolin Karakorum, ze zgrozą przekazywano sobie wieści o "Wiecznym". Wieczny znów się pojawił, powiadano, gdy kolejny raz ginęła młoda dziewczyna z któregoś z miasteczek przytulonych do tarasowych zboczy, gdzie uprawiano ryż. Dziewczęta znikły nieczęsto, co dwadzieścia, trzydzieści lat, ale ludzie z doliny żyli w ciągłym strachu. Młode panny rzadko wychodziły same, starsi bacznie ich pilnowali. A jednak Wiecznemu udawało się je porywać.

A gdy burze śniegowe z zawodzeniem pędziły przez dolinę, przesłaniając wysokie wierzchołki gór, mawiano, że oto Wieczny się gniewa. Składano mu w ofierze wędzone mięso, które znikło w ciągu nocy. Nigdy jednak nie stwierdzono, kto je zabierał. Przekorni młodzi chłopcy mówili, że to grasują dzikie zwierzęta, ale starsi ludzie święcie wierzyli w Wiecznego.

Nikt go nigdy nie widział, nikt może oprócz zaginionych kobiet. Pozostawał równie tajemniczy, równie niemożliwy do wytropienia jak yeti, potworny człowiek śniegu z Himalajów. Ale Wieczny nie był yeti. Nikt nie wiedział też, gdzie przebywa, poszeptywano jednak o pewnym szczycie na krańcu nie zamieszkaney, odciętej od świata doliny. Kiedyś, dawno temu, zabłądził tam myśliwy z plemienia Hunza. Udało mu się wrócić do Gilgit, miał wiele do opowiadania. W blasku wieczornego słońca wydało mu się, że wierzchołek góry to twierdza, zamek z wieżyczkami i rzeźbieniami. Po zachodzie słońca jednak wrażenie minęło. Myśliwy ponadto spotkał w dolinie dziewczynę, która zniknęła przed dziesięciu laty; teraz stała się już kobietą. Prosił, by wróciła z nim do wioski, lecz ona nie chciała wracać.

Oświadczyła, że nigdzie nie będzie jej lepiej niż tutaj, i zanim zdążył ją nakłonić do

powrotu, uciekła. Pognał za nią, ale zniknęła mu z oczu między poszarpanymi skałami zbocza.

Od tej pory mówiono, że Wieczny mieszka na wierzchołku owej góry.

Nikomu jednak nie udało się po raz drugi odnaleźć tej doliny.

Mieli rację. Właśnie tam mieszkał Wieczny. Nie mógł zaznać spokoju. Stawał samotnie w arkadach górskiego zamczyska i spoglądał na swoje królestwo, potężną górska krainę. Na północy rozciągała się wyżyna Sinciang, na południu i zachodzie dostrzegał szczyty Nanga Parbat i Tirich Mir, jeśli to w ogóle były one, słyszał kiedyś, jak kobiety wymieniały te nazwy, ale jego ta rozmowa nie interesowała.

Wiele lat upłynęło od czasu, kiedy ostatnio porwał kobietę. Co innego zajmowało jego myśli.

Olbrzymi szafir Lemurów został odnaleziony! Odczuł to jak cios w serce. Błękitna poświata zalała sale zamku, rozbłysło się i roziskrzyło tak jak w pradawnych czasach, jak wówczas, gdy próbował skraść im trzy kamienie.

Prawie się mu to wtedy udało. Znalazł się tak blisko, dostał się do ich świątyni, i nieśmiertelność spłynęła w jego żyły. Strażnicy jednak odkryli jego obecność, musiał uciekać i dlatego umknęło mu to, czego wszyscy pragnęli: Droga prowadząca do wrót ukrytej krainy. Dlatego musiał zamieszkać w samotnym zamczysku, tym, co pozostało po dawnym królestwie Silinów. Jego losem stał się niepokój i samotność, bo nie był podobny do ludzi, którzy teraz zamieszkiwali Ziemię.

W dolinach zaczęto się zastanawiać, czy Wieczny przypadkiem nie umarł, od wielu lat nie dawał znaku życia.

Nie, nie umarł, po prostu opuścił swój zamek.

Powędrował na zachód, aby odnaleźć niebieski kamień. Pierwszy z trzech, stanowiący klucz do zapomnianej krainy.

Przed dziesięciu laty opuścił swój zamek na pustkowiach Karakorum na północ od Kaszmiru. Żeglował w powietrzu ponad wyżyną Pamiru, nad stepami Turkmenów,

Tatarów i Kozaków, płynął przez ochronny mrok nocy i przez rozświetlone dnie, unikając ludzi, wobec których nie odczuwał nic poza pogardą. Kiedy wreszcie dotarł do krajów na zachodzie, nauczył się słuchać, wyczuwać, dowiadywać. Miał świadomość, że nie jest podobny do ludzi ani też do Lemurów, tych o wielkich, całkiem czarnych oczach. On, Sigilion, wszechwiedzący, wywodził się z rodu Silinów.

Wszechwiedzący? Taki przydomek sam sobie nadał.

Pragnął zdobyć niebieski kamień.

Znów miał przed sobą wielki cel.

Sigilion wiedział więcej niż Cień, który zaledwie przypuszczał, że za górską, porośniętą lasami krainą Silinów mieszka jeszcze inny lud. Wciąż żyła tam nieliczna garstka Madragów, mieszkańców stepów. Ale ich zdolność poruszania się została ograniczona, zahamowana przez niego, przez Sigiliona,

Wiedział, że dawni Lemurowie przeobrazili się w błędne ogniki, za to o istnieniu Cienia nie miał pojęcia.

W jednym z krajów na zachodzie, tym zwanym Francją, usłyszał o Zakonie Świętego Słońca, podsłuchując rozmowę jakiegoś pana zamku z bratem zakonnym o mającym nastąpić spotkaniu Zakonu, Sigilion, samotny król, zawsze starał się znaleźć jak najbliżej zamków i kaszteli.

Ukrył się w niszy na dachu i nasłuchiwał. Wszechwiedzący, bez trudności rozumiał ich mowę.

Święte Słońce okazało się niczym innym, jak skarbem Lemurów, najwspanialszym z kamieni! Sigilion wsłuchiwał się w rozmowę z rosnącym zdumieniem.

Wspominali Wielkiego Mistrza owego Zakonu, kardynała, który dożył zaiste przerażającego wieku i choć był przykuty do łóżka, to jednak zacięcie bronił swojego tytułu. Rycerze umilkli, patrząc na siebie znacząco.

Niewiele informacji zdobył Sigilion na francuskim zamku, ale zapamiętał sobie, gdzie szukać wielkiego mistrza.

Te mu wystarczyło.

Obaj bracia zakonni podnieśli głowy. Do ich uszu dobiegł dźwięk, jakby jakiś wielki ptak podrywał się do lotu. Ujrzeni ostatni ruch, cień czegoś, co uleciało przez okienko wieży i zniknęło.

Wzruszyli ramionami i kontynuowali rozmowę.

Zapadł wieczór, Sigilion zaryzykował i pozwolił prądom powietrza unosić się pod szarzejącym niebem. A jeśli nawet ktoś by go zobaczył... Cóż go to obchodzi? Nic, zwłaszcza teraz, kiedy wpadł na ślad świętego skarbu Lemurów.

Tego, który miał przed nim otworzyć Wrota, zabrać z okropnego świata samotności, chłodu i prymitywnych ludzi.

Sankt Gallen. Okazały dom kardynała von Graben.

Stary leżał w łóżku, ledwie dyszał. Zdawał sobie sprawę, że powinien być umrzeć wiele, bardzo wiele lat temu. Dotknął jednak cudownego szafiru, wprowadzie tylko przez chwilę, ale to wystarczyło, by jeszcze trochę przedłużyć mu życie.

Teraz czuł, że jego czas dobiega końca. Być może zdoła przetrwać kilka następnych lat, lecz potem...

Przeklęty czarnoksiężnik z Islandii i jego towarzysze! Posiadają tak wiele bezcennych informacji o Świętym Słońcu. Gdyby tylko jemu, von Grabenowi, udało się dotrzeć do kamienia, byłby bezpieczny!

Z rozgoryczeniem przypomniał sobie, ilu rycerzy Móri i jego nędzna rodzina zdołali unieszkodliwić. Ale brat Lorenzo doniósł, że Zakon zaczyna znów stawać na nogi. Dopłynęła nowa, świeża krew. Wkrótce znów będzie ich, jak trzeba, dwudziestu jeden.

Kardynał nie przepadał za tak zwaną świeżą krwią. Młodzi ludzie zawsze okazywali się natrętnie żądni sławy, gotowi iść po trupach, byle tylko zdobyć tytuł wielkiego mistrza. Z wieloma podobnymi musiał się ścierać, zanim wreszcie udało mu się ich sobie podporządkować. Ze sam był kiedyś młody, nie lubił wspominać. Wiedział, że jednego takiego młodzieniaszka już przyjęto do Zakonu, gołowąsa z Danii, poleconego przez von Kaltenhelma. Ale von Kaltenhelm już wcześniej popełniał błędy. Czyż nie protegował niepoprawnego Heinricha Reussa von Gera?

Młody Duńczyk był tu kiedyś. Kardynał wówczas trzymał się jeszcze na nogach; siedząc na swym wysokim krześle przyjął nowego członka Zakonu, którego z dumą przedstawił von Kaltenhelm. Czyżby u von Kaltenhelma odezwały się odmienne skłonności? Nigdy nie był żonaty, a spojrzenie, jakim obrzucał swego młodego faworyta...

Co innego zajęło myśli von Grabena, kiedy popatrzył w oczy jasnowłosemu Rasmusowi Finkelborgowi. "Jesteś już za stary, dziadu - mówił mu ten wzrok. - Spiesz się do grobu, bo to miejsce będzie należeć do mnie".

Miał przy tym na myśli oczywiście tron wielkiego mistrza Zakonu Świętego Słońca, a nie krzesło kardynalskie. Młody człowiek był właścicielem ziemskim w Danii, bezwstydnie bogatym, a przy tym nie przebierającym w środkach w pogoni za karierą. Kardynał postanowił pomówić z von Kaltenhelmem o jego kolejnym błędzie, jaki popełnił, przyjmując młodego człowieka, ale obaj rycerze wyszli, zanim starzec zdążył wypowiedzieć długo wyważane słowa.

Ten chłopak może być niebezpieczny, naprawdę niebezpieczny, przypomniał sobie teraz zaniepokojony.

Właściwie nie obchodziło go wcale, kto go zastąpi, bo przecież nie miał zamiaru umierać. Kiedy już odnajdzie Święte Słońce, ani rycerze, ani świat nie będą mu już do niczego potrzebni.

Nagle poderwał się, bo kątem oka coś dojrzał.

W górze, pod sufitem, za wielką belką nośną...

Nie, chyba nic tam nie ma.

Serce zaczęło mu walić mocno, przestraszył się. Nie tolerował takich chwil wielkiego lęku.

Sięgnął po dzwonek i jak oszalały zaczął wzywać służącego, ale nikt się nie pojawiał. Prawda, cała służba miała tego dnia wychodne, a rządcę, który jako jedyny został w domu, osobiście wysłał w niecierpiącej zwłoki sprawie.

Kardynał był więc sam. Nigdy dotąd mu to nie przeszkadzało, ale teraz dławił go strach. Czyżby bał się cieni? Kto mógł wdrzeć się do jego pokoju, w dodatku pod sufit? Głupstwa!

Gdzieś za jego plecami rozległ się łoskot. Ktoś zeskoczył na podłogę.

Nie, och, nie, moje serce tego nie zniesie!

Jakaś istota szybko i cicho, niemal bezszelestnie, przysunęła się do jego łóżka.

Ruchami przypominała jaszczurkę.

Kardynał von Graben szeroko otworzył oczy, usiłując pochwycić powietrze, którego nagle zabrakło mu w płucach. W głowie mu zawirowało, serce, zdawało się, zaraz pęknie, przestał widzieć wyraźnie. Dostrzegł ciemną postać, połyskującą zielono, przypominającą człowieka, a zarazem nie ludzką...

Z całych sił starał się utrzymać wzrok w jednym punkcie.

Wreszcie mu się to udało.

Przeżegnał się i wymamrotał:

- Zdrowaś Maryjo, łaski pełna... Dominus Tecum, benedicta Tu...

Lodowata dłoń - ale czy to naprawdę dłoń? - opadła na jego usta. Z oczu biło mu przerażenie.

Odezwał się łagodny, jedwabisty głos, cichy niemal jak szept:

- Powiedz mi o Świętym Słońcu! Gdzie ono jest?

"Dłoń" się odsunęła. Von Graben oddychał ciężko, łapał powietrze jak ryba wyjęta z wody.

- Nie wiem. Przysięgam, nie wiem! Gdybym wiedział...

- Nie musisz kończyć, nie trzeba mi zbędnych słów. A błękitny kamień? Gdzie go szukać?

- Błękitny kamień? Nie my go mamy.

- Kto zatem?

- Chłopak, paskudny syn czarnoksiężnika z Islandii. Wiem, gdzie oni są, ale nie możemy się tam dostać. Otoczyli swój dom magicznym murem.

- Gdzie?

- "W Kärnten, w Austrii.

Kardynał musiał podać bardziej szczegółowy opis. Oddech mu się rwał, narastała panika w pobliżu tej istoty, mówiącej wprawdzie jego językiem, lecz w jakimś niezwykłym, śpiewnym rytmie. Gdzie znak Słońca? Pod poduszką. Kardynał sięgnął po talizman, lecz go nie znalazł.

Kobiety muszą go uwielbiać, przyszło do głowy von Grabenowi. Od istoty biła zmysłowość tak potężna, że nawet on poczuł leciutkie drżenie w tym, co kiedyś było najszlachetniejszą częścią jego ciała, a teraz zmieniło się w wysuszony, żalony kawałek skóry.

Straszliwy przybysz na wpół przymknął osobliwe oczy, jakby zakończył już sprawę z kardynałem. Von Graben, ogarnięty śmiertelnym lękiem, wydusił z siebie:

- Do Dolga... syna czarnoksiężnika... nie można się zbliżyć. Ma zbyt potężnych obrońców.

Zauważył, że niezwykła istota zaczyna się gniewać, dodał więc prędko:

- Ale on ma siostrę, Taran... Słyszałem, że różnie się o niej mówi. To najslabsze ogniwo w tym niemal nierozzerwalnym łańcuchu. Odnajdź szafir i przynieś mi go. On należy do mnie!

Potworne oczy niemal całkiem się zamknęły. Kardynał prędko się poprawił:

- Możemy się nim podzielić. Możemy sobie nawzajem pomagać...

Dobiegł go przeciągły szept: "Taran". Zabrzmiało to jak wyrok śmierci. Doskonale, ucieszył się von Graben.

Niesamowita istota wyprostowała się, a potem wyciągnęła długi szpon i głęboko zadrapała świętą skórę kardynała. Rysa biegła od gardła w dół, niemal dzieląc ciało von Grabena na dwie części.

Taki był koniec Wielkiego Mistrza Zakonu Świętego Słońca, kardynała von Grabena, człowieka, który nigdy nie powinien był się znaleźć na tak wysokim stanowisku. Często jednak zdarza się, że przywódcami zostają ludzie opętani żądzą władzy.

Nawet fakt, że dotknął kiedyś cudownego szafiru, nie mógł mu już pomóc.

Błyskawicznie zwołano rycerzy Zakonu Świętego Słońca na nadzwyczajne zgromadzenie w tajemnych salach w Burgos. Należało wybrać nowego wielkiego mistrza. Kardynał von Graben zakończył życie.

Wszyscy rycerze z wyraźną ulgą przyjęli ten fakt. Już szczerze mieli dość starca, który z łoża rządził nimi, jak mu się żywnie podobało.

Brat Lorenzo nie planował żadnych wyborów, był wszak oczywistym następcą von Grabena. Wszystko, czego nie mógł dokonać, ponieważ powstrzymywał go przed tym kardynał, miał zamiar zrobić teraz.

Przemawiał do zgromadzonych w prastarej krypcie w Deobrigula, gdzie blask pochodni i kandelabrow oświetlał mroczne ściany i okazałe meble. Płomienie odbijały się w wielkim znaku Słońca na ścianie.

- Grupa czarnoksiężnika zabrała nam wielu rycerzy. Nie ma wśród nas brata Johannesesa, biskupa Engelberta, Heinricha Reussa, Mondsteina, Georga Wetleva, brata Ottona i brata Alexandra, i wielu naszych zaufanych ludzi. A teraz odszedł nasz Wielki Mistrz. Zwerbowaaliśmy jednak nowych rycerzy. Znów jest nas dwudziestu jeden, możemy więc podjąć walkę pod moim przywództwem.

Obiecuję, że nasze działania będą odtąd znacznie skuteczniejsze!

- Chwileczkę! - przerwał mu młody hrabia Rasmus Finkelborg. - Wydaje mi się, że brat Lorenzo zanadto się spieszy. To przecież królestwo starców! Teraz, kiedy pozbyliśmy się w końcu tego żywego trupa von Grabena, nie musimy chyba się męczyć z kolejnym staruchem?

Prawdą było, że również brat Lorenzo zbliżał się do jesieni życia. Po sali przeszedł pomruk, padały coraz ostrzejsze słowa. Starsi nie zamierzali odstąpić należnego im prawa, młodsi za wszelką cenę chcieli się przebić.

Lorenzo, zasiadający na honorowym miejscu wielkiego mistrza, napotkał stanowcze spojrzenie Rasmusa Finkelborga, ale i z jego wzroku dała się wyczytać niezłomność. Młody Rasmus miał bladoniebieskie oczy, które potrafią być frapujące u życzliwie patrzącej, ciemnowłosej osoby, u niego natomiast budziły

grozę. Finkelborg był bardzo jasnym blondynem, niemal białowłosym, miał jasne rzęsy i pociągłą twarz z długim ostrym nosem i ustami zaznaczonymi ledwie kreską; trzymał się sztywno, jakby kij połknął. Nigdy się nie uśmiechał. Brat Lorenzo przyznał w duchu, że nawet gdyby wyjątkowo stało się inaczej, on nie chciałby oglądać tego uśmiechu, z pewnością przepojonego okrucieństwem i złem. Co wyrośnie z tego młodzieńca? zastanawiał się Lorenzo. Dlaczego przyjęliśmy go do Zakonu?

Znal odpowiedź na to ostatnie pytanie. Sam głosował za przyjęciem śmiałego, odnoszącego się z pogardą do świata Rasmusa Finkelborga. To twardy człowiek, w pełni zasługujący na zaufanie i powierzenie mu zadań związanych z walką z czarnoksiężnikiem i jego drużyną, człowiek, który z całą bezwzględnością będzie zabiegać o to, aby Zakon osiągnął wreszcie swój cel: odnalazł Święte Słońce. Ale Lorenzo nie przypuszczał chyba, że ów młodzian okaże się bezwzględny również wobec swoich?

Pewność, że to właśnie on, Lorenzo, obejmie stanowisko wielkiego mistrza Zakonu, w jednej chwili się zachwiała.

Dokonał szybkich obliczeń. Starsi wciąż stanowili większość, szczęśliwie! Zdawał sobie sprawę, że von Kaltenhelm także zabiega o tytuł wielkiego mistrza, ale on naprawdę zaczynał się już starzeć. Często zapominał o dokończeniu myśli, nie pamiętał nawet, od czego zaczynał. Nikt się już z nim nie liczył.

Przeszedł go zimny dreszcz na wspomnienie śmierci kardynała. Taka straszna! I niepojęta, w żaden sposób niewytłumaczalna.

Czarnoksiężnik nie działa w taki sposób. Może to banda jego duchów? Z

Mondsteinem rozprawiły się naprawdę potwornie, oplatały go gałązkami i witkami, aż się udusił. A potem kopały von Kaltenhelma, grały nim w piłkę! Właśnie między innymi z powodu tej upokarzającej kary nie chciano, by von Kaltenhelm sięgnął po najwyższe stanowisko w Zakonie.

Ale morderstwa na Mondsteinie i von Grabenie różniły się od siebie zasadniczo pod dwoma względami...

Po pierwsze, Mondstein nie nosił swego znaku Słońca. Von Graben co prawda także nie, ale miał go pod poduszką. A to najwidoczniej nie wystarczyło.

Po drugie, jeśli czarnoksiężnika Móriego nie było gdzieś w pobliżu, duchy się nie ujawniały. A szpiedzy Zakonu potwierdzili, że Móri w chwili śmierci kardynała znajdował się daleko.

Musiał więc to zrobić ktoś inny. Najbardziej makabryczna siła, jaką Lorenzo potrafił sobie wyobrazić. Ale jaka?

Przerwał gwar, jaki zapanował na sali. Chociaż zwracał się do ogółu zebranych, spojrzenie skierował na Rasmusa:

- Bez względu na wszystko, wybory nie mogą się odbyć teraz, a dopiero na następnym zwyczajnym spotkaniu. Macie czas do namysłu i dobrze się zastanówcie, czego pragniecie: doświadczonego brata, znającego większość tajemnic, chociaż kardynał tak się wzdragał przed ich ujawnieniem, czy też młodzika, nie oszlifowanego przez wielkie przeciwności, jakie przez cały czas napotykamy?

Zapadła kompletna cisza, jakby nikt więcej nie miał już nic do powiedzenia albo też nie śmiał się odezwać. Wszyscy zdawali sobie teraz sprawę, że walka rozegra się pomiędzy dwoma braćmi: Lorenzem i Rasmusem.

Brat Lorenzo oświadczył chłodno:

- Do tego czasu ja pełnić będę obowiązki wielkiego mistrza. Proponuję też wysłać brata Rasmusa na jego pierwsze zadanie, aby zdobył trochę doświadczenia i abyśmy się przekonali, do czego jest zdolny.

Finkelborg natychmiast się poderwał i stanął na baczność:

- Gotów jestem poświęcić życie w obronie idei i celów Zakonu Świętego Słońca. Mój pistolet i kord czekają na walkę.

Lorenzo popatrzył na niego nie bez politowania.

- Z pistoletem i kordem nie zajdziesz daleko, młody człowieku. Tu mamy do czynienia z czarami, a im nie taką bronią stawia się czoło.

Po tej reprimendzie na blade policzki Finkelborga wystąpił lekki rumieniec.

- Nie wierzę w tak irracjonalne kwestie, jak czary. Babskie gadanie!

Po sali poniósł się pomruk.

Gaston, brat z Francji, także wstał.

- Gdybyś widział to, co musiały znieść nasze oczy, nie przemawiałbyś tak arogancko, młodzieńcze. Brat Lorenzo ma rację, należy cię wysłać na próbne zadanie.

Twarz Rasmusa Finkelborga przypominała białą maskę z lodu.

- Na czym ma ono polegać?

Odpowiedział brat Lorenzo:

- Wiemy, że cała rodzina z Theresenhof wyprawiła się na północ. Księżna Theresa z mężem Erlingiem Müllerem, dwoje ich przybranych dzieci, teraz już dorosłych, córka księżnej, Tiril, i jej mąż, islandzki czarnoksiężnik Móri. Pamiętaj, on jest bardzo niebezpieczny! Wyjechało także ich troje dzieci, Dolg, ten, do którego należy szafir, i jego rodzeństwo, Taran i Villemann. No i oczywiście nieśmiertelny pies Nero. Jeśli uda ci się zgładzić psa, będzie bardzo dobrze.

Finkelborg z pogardą wykrzywił cienkie wargi.

- Pies? Wystarczy jeden strzał z pistoletu!

Lorenzo nie skomentował tego okrzyku, zerknął tylko na młodzieńca z ukosa, wyjątkowo bez złośliwości.

- A więc mam się zająć Dolgiem - doszedł do wniosku Rasmus. I on, i brat Gaston z powrotem usiedli na swoich miejscach.

- Dolgiem nie można się zająć - z satysfakcją poprawił żółtodzioba Lorenzo. - To się nikomu nie uda, ci, którzy go chronią, są śmiertelnie niebezpieczni. Ale możesz postąpić w następujący sposób...

Rasmus słuchał. Uznał, że zaatakowanie tego Dolga wcale nie będzie takie trudne, ale postanowił przynajmniej udawać, że wykona polecenia tych starych dziwaków.

Na palenisku trzaskał spory ogień, w piwnicach bowiem, od dość dawna stojących pusto, panowała wilgoć. Doprawdy wspaniała sala, już on, Finkelborg, doprowadzi do tego, że wybiorą go wielkim mistrzem.

Młodym ludziom zawsze się spieszy. Nie pojmują, że tego, kto osiąga swe cele w wieku dwudziestu pięciu lat, czeka puste, pozbawione sensu życie.

Lorenzo ciągnął:

- Słabym punktem rodziny jest siostra Dolga, Taran. Musisz ją pojmać! I zagrozić, że ją zabijesz, jeśli nie oddadzą ci niebieskiego kamienia.

- Na czym polega jej słabość?

- Jest młoda, głupia i żadna przygód. Nasi szpiedzy donoszą o jej kolejnych nieroztropnych postępach. Bez trudu zdołasz ją skusić.

Naturalnie, pomyślał Rasmus. Ale czy tego chcę?

- Gdzie oni są?

- Popłynęli do Bergen, do Norwegii. Erling Müller, nosi teraz, zdaje się, tytuł barona, pochodzi właśnie stamtąd. Jedź tam najszybciej jak możesz. Dalszych ich planów nie znamy, bo nigdy nie udało nam się podejść dostatecznie blisko, by ich podsłuchać.

Lorenzo z wielką radością wysyłał Rasmusa na północ. Nie zapomniał własnej wyprawy przed dwudziestu laty. Wstyd i upokorzenia...

- Dobrze znam Norwegię - odparł Rasmus Finkelborg. - To kraj chłopów, całkowicie nam podległy. Nie ma szlachty, nie ma kultury.

- Byłeś tam kiedyś?

- Nie - odparł Rasmus zirytowany tym, że Lorenzo zwraca się doń na ty tylko ze względu na jego młody wiek. Jeszcze się za to zemści. Później! Teraz cieszył się na myśl o wypełnieniu wyznaczonego mu zadania, nie miał jednak zamiaru działać ostrożnie, jak zalecał brat Lorenzo. Rasmus postanowił zastrzelić całą tę przeklętą rodzinę, razem z psem, rozkoszować się widokiem ich konania. Potem szafir będzie należeć do niego.

W opowieść o krainie wiecznej szczęśliwości czy innym miejscu, w którym się nigdy nie umiera, Finkelborg nie bardzo wierzył. Szczycił się tym, że jest trzeźwo, realistycznie myślącym człowiekiem. Najbardziej pociągała go niepojęta wprost wartość trzech wspaniałych kamieni.

Chociaż... dobrze by było nie umierać. Zostać na zawsze na ziemi, czy też tam, gdzie niby leży ta kraina. E, cóż za brednie, przed nim całe życie, nie ma co myśleć o śmierci.

Wziął udział w pożegnalnej ceremonii przed znakiem Świętego Słońca. Teraz był tylko jednym z dwudziestu.

Następnym razem to on będzie im przewodził jako wielki mistrz.

A jeśli nie uda mu się inaczej, znajdzie sposób, by się pozbyć kłopotliwego brata Lorenzo.

Najpierw jednak musi się zająć czarnoksiężnikiem Mórim i jego żalosalną rodziną. Lorenzo w blasku migotliwych świateł obserwował go spod przymrużonych powiek. Twarz młodego człowieka w przerażający sposób nie wyrażała żadnych uczuć.

Brat Lorenzo dobrze wiedział, co robi. Zdawał sobie sprawę, że brat Rasmus bezpośrednio zaatakuje grupę czarnoksiężnika, natychmiast postara się ją zniszczyć.

Doskonale! Wypatrzył już człowieka, którego wyśle po porażce Rasmusa. Młody Duńczyk zmierzał prosto w pułapkę, niewidzialni obrońcy czarnoksiężnika szybko się rozprawią z młodzieniaszkiem, nie pomoże mu nawet znak Słońca.

Miejsce na tronie wielkiego mistrza nie przejdzie Lorenzowi koło nosa. Nic mu już nie zgrozi. Z nikim więcej nie będzie musiał już walczyć.

Któż jednak tak bestialsko zabił kardynała von Grabena?

To pytanie niepokoiło brata Lorenzo po stokroć bardziej niż aroganckie typy z rodzaju Rasmusa Finkelborga.

Rozdział 6

Taran wciąż wyprawiała się na samodzielne wędrówki po Bergen i okolicach.

Czasami towarzyszył jej Nero, najczęściej jednak chodziła sama.

Pewnego dnia tuż przed wyjazdem rodziców i braci na Islandię odbyła "poważną" rozmowę z ojcem.

Móri spytał córkę, jaka jest jej decyzja: czy zostaje w Bergen, czy też woli jechać do Christiana.

- Cóż, mam ochotę na coś się przydać - oświadczyła urażona Taran. - Nie jestem meblem, który odstawia się w kącie, bo zbyt trudno jest go ciągnąć ze sobą.

Rozmawialiśmy o Morzu Bałtyckim, prawda? O tym, że musi ono mieć jakieś znaczenie w całej tej historii Świętego Słońca.

Móri unikał wiążącej odpowiedzi:

- No tak, wzmianki pojawiają się tu i tam... ale nic pewnego na razie jeszcze nie wiemy.

- Właśnie! Dlatego postanowiłam to zbadać.

- W jaki sposób? Chcesz studiować książki o Bałtyku?

- Nie, oczywiście tam pojadę.

- Sama?

Właściwie taki był zamysł Taran, zrozumiała jednak, że ojciec nie będzie temu przychylny.

- Hm, mogłabym zabrać ze sobą Rafaela.

Twarz Móriego stężała.

- Nie wolno ci wciągać Rafaela w jakieś wątpliwe przygody! On jest na to zbyt wrażliwy.

- No, a Nera? Czy też może zabieracie go na Islandię?

- Dobrze wiesz, że Nero nie opuszcza Dolga, zwłaszcza w ważnych sytuacjach.

- Nie mogę przecież jechać z Danielle. Jest za młoda i trudno mi ją wyobrazić sobie na końskim grzbiecie w deszczu czy w burzę.

- Masz rację. Sama widzisz, nie ma kto ci towarzyszyć. Zajmij się babcią i Erlingiem, gdy nas nie będzie!

Dopiero na pokładzie statku, płynącego na Islandię, Móri przypomniał sobie tę rozmowę. Ku swemu przerażeniu uświadomił sobie, że nie zabronił swej niesfornej córce wyprawy nad Morze Bałtyckie.

Wówczas jednak było już za późno.

Pewnego dnia przed wyjazdem najbliższych Taran jak zwykle chodziła po lesie. Przy śniadaniu przypuściła lekki atak na Rafaela, bo tego ranka wyglądał nieodparcie ślicznie. Był piękny niemal kobiecą urodą i Taran postawiła sobie za cel obudzić w nim męskość. Wreszcie zostali przy stole sami.

- Rafaelu - zaczęła w swoim mniemaniu przebiegle. - Czy przeżyłeś kiedyś jakieś przygody z kobietami?

Rafael spojrzał na nią rozmarzonym wzrokiem.

- Co masz na myśli, mówiąc o przygodach?

- Och, nie udawaj głupiego, masz przecież dwadzieścia jeden lat! Czy byłeś już z jakąś w łóżku?

Delikatny rumieniec wykwitł na policzkach chłopaka.

- Nigdy nie przyszło by mi do głowy tak znieważać cześć dziewczyny.

Doskonale, ucieszyła się w duchu Taran. Wobec tego ja wtajemniczę cię w misteria życia.

A przecież sama w tej dziedzinie nie miała żadnych doświadczeń!

Rafael podniósł wzrok na jasne, przejrzyste niebo, siedzieli bowiem na tarasie.

- Ale rzeczywiście przyznam, że moje serce biło mocniej do pewnej młodej dziewczyny.

Taran poczuła ukłucie zazdrości, a może raczej urażonej dumy. Nie kochała się w Rafaelu, ale nie miała ochoty rywalizować z żadną o jego względy. Takie uczucia są charakterystyczne dla młodego wieku: nie chcę cię, ale nie pozwolę, abyś oglądał się za innymi!

- Do kogo? - dopytywała się.

- Do Violetty.

- Violetty? - uniosła się Taran. - To rozchichotana gęś!

- Tak, tak - łagodnie rzekł Rafael. - Dawno już mi przeszło. Miałem wtedy zaledwie siedemnaście lat.

- No dobrze, a teraz?

- Nic takiego - uśmiechnął się. - Akurat teraz nie.

Taran rozjaśniła się zadowolona. Doprowadzę do tego, że zostaniemy sam na sam, a wtedy przypuszczę szturm i wreszcie odbiorę mu cnotę.

Irytujący głos znów odezwał się w jej głowie. "Nie zrobisz tego! Pomyśl tylko, że wtedy i twoja cnota przepadnie, a to znacznie gorzej!"

Taran musiała przyznać, że głos ma rację. Ale czy stracić cnotę to rzeczywiście takie straszne?

"Dobrze wiesz", pouczał ją głos. "Jak zniosłabyś swoją noc poślubną? Jak byś się tłumaczyła?"

Rzeczywiście, nie potrafiła odpowiedzieć, i pewnie by się w tej chwili poddała, gdyby nie kolejne stwierdzenie: "Blitildzie nigdy nie przyszłoby do głowy..."

- Nie chcę słuchać o Blitildzie!

- Co takiego? - zdumiał się Rafael. - O Blitildzie? Przecież ja nie...

- Przepraszam - uśmiechnęła się Taran. - Po prostu głośno myślałam.

Rafael także się roześmiał.

- Mam nadzieję. To najśmieszniejsze imię, jakie kiedykolwiek słyszałem.

- Prawda? Nie znoszę go.

"Nie życzę sobie niepocholebnych opinii na temat szlachetnej..."

- Ach, zamknij się już! - przerwała Taran głosowi.

Postanowiła zostawić Rafaela i podniosła się, zamierzając wyruszyć jak zwykle do lasu. W tej samej chwili na taras wyszedł Dolg. Chciał rozmawiać z Rafaelem.

Ze mną nikt nie chce rozmawiać, pomyślała urażona Taran. Popatrzyła na starszego brata.

Dolg odznaczał się wyglądem tak odmiennym od wszystkich innych, że wychodząc do ludzi wkładał zawsze płaszcz z kapturem. Taran nigdy nie spotkała drugiej tak fascynującej osoby, przyznawała jednak, że jego widok mógł także

budzić przerażenie. Dolg wyrósł na dość wysokiego młodzieńca, czego nikt się nie spodziewał, bo przecież w jego żyłach płynęła krew maleńkich “błędnych ogników”. Ale był przecież także człowiekiem, no i Cień imponował wzrostem. Kruczoczarne włosy spadały na ramiona, pojedyncze włosy były grube jak końska szczecina, ale układały się w miękkie loki. Oczy miał wielkie, skośne i całkiem czarne, rysy twarzy idealnie regularne, a skórę bladziutą jak dawniej. Przestał już jednak być dzieckiem. Był mężczyzną, któremu w pełni można zaufać.

- Wychodzę - oznajmiła Taran, ale nikt jakby nie zwrócił na nią uwagi.

Można by przypuszczać, że jestem niewidzialna, pomyślała z goryczą. Równie dobrze mogłabym ze sobą skończyć, raz na zawsze.

“Tego ci nie wolno”, natychmiast odezwał się głos.

- Nie sądzisz chyba, że myślałam tak naprawdę? - mruknęła Taran. - Wobec tego jeszcze mnie nie znasz!

Kiedy mijala pokoik ojca, przystanęła zamyślona.

Mama pokazywała mi zaułek, gdzie kiedyś dawno temu ujrzała ducha dzięki temu, że przypadkiem trzymała w dłoni jedną z run ojca. Mam ochotę tego spróbować, sprawdzić, czy i mnie się uda.

Wślizgnęła się do pokoiku i otworzyła skrzyneczkę, w której Móri przechowywał runy. Ruszanie skrzynki było absolutnie zakazane, o czym głos nie omieszkął jej przypomnieć, ale Taran posiadała osobliwą zdolność głuchnięcia, kiedy tak jej się podobało.

Po krótkiej chwili znalazła runę umożliwiającą widzenie duchów i schowała ją do kieszeni. Przez moment wydawało jej się, że dostrzegła coś kątem lewego oka, ale myślami znalazła się już w zaułku, dłużej się więc nad tym nie zastanawiała. Włożyła elegancki płaszczyk i wyszła z domu. Nera nigdzie nie było widać, tym razem więc musiała iść sama.

Do zaułka koło portu nie było daleko. Taran dokładnie przyjrzała się miejscu i doszła do wniosku, że wie, gdzie wtedy stała Tiril. To musiało być tutaj, bo nieco dalej znajdowały się drzwi do magazynu portowego, gdzie leżał chory ojciec.

Jakie to romantyczne, pomyślała. I tam na piętrze duchy pospieszyły jej z pomocą.

Nietrudno było wyobrazić sobie matkę jako młodą dziewczynę. W gestach i mimice Tiril wciąż pozostało coś dziewczęcego, jakaś wzruszająca niepewność, choć przecież była dorosłą, szczęśliwą kobietą.

Taran wsunęła dłoń do kieszeni i zacisnęła ją na czarnoksiężskiej runie.

Nic się nie wydarzyło poza tym, że ktoś stanął za nią z lewej strony. Och, odejdz stąd, pomyślała. Nie mam teraz czasu dla ludzi.

Nie chciała bezwstydnie się na niego gapić, ale nie odwracając głowy ostrożnie zerknęła w tym kierunku.

Przeżyła prawdziwy wstrząs.

Nie śmiała patrzeć, lecz nie miała ani odrobiny wątpliwości: zobaczyła "głos".

Długo stała z bijącym sercem. Nie myśl, on potrafi czytać w twoich myślach, powtarzała sobie. Nie patrz wprost na niego, nie pozwól, aby się dowiedział, że go widziałaś!

Idiotyczna sytuacja, tak bardzo przecież chciała mu się przyjrzeć! Raczej domyślała się niż widziała długą białą szatę, anielskie złotoblond włosy i piękne niebieskie oczy. Więcej zauważyć nie zdążyła. Zdusiła myśl: "Przeklęta Blitilda, którą on tak podziwia", i zaraz wypuściła z ręki magiczną runę. Dłużej nie śmiała wyzywać losu.

Towarzyszająca Taran postać natychmiast zniknęła.

Kto to, na miłość boską, mógł być?

Jej anioł stróż?

Lepszego określenia nie zdołała wymyślić, chociaż nie zauważyła u niego skrzydeł.

Starając się z całych sił skupić na obojętnych sprawach, tak, aby się nie zorientował, że został odkryty, wyszła z miasta, minęła Dwór Håkona i skierowała się do lasu.

Taran dobrze się czuła w lesie. Był jakby jej światem, tu mogła być blisko przyrody, swobodnie rozmyślać, jej samotność nabierała wtedy innego wymiaru. Stawała się jakby bardziej usprawiedliwiona.

W dole leżało morze. Taran ruszyła krawędzią skały, niebezpiecznie balansując spoglądała w niebieską toń.

“Zejdź ze skały”, nakazał głos; pobrzmiwała w nim lekka histeria. “ Natychmiast stąd odejść”.

Przekorna Taran szła dalej, z trudem utrzymując równowagę.

Oczywiście się poślizgnęła. Zdrętwiała ze strachu, bo takiego zamiaru wcale nie miała, ale w momencie, kiedy usiłowała znaleźć punkt zaczepienia dla rąk, poczuła, że ktoś łapie ją za nadgarstki i ciągnie w górę.

Taran poddała się temu więcej niż chętnie.

- Dziękuję - szepnęła. - Bardzo dziękuję za pomoc, nigdy więcej czegoś podobnego nie zrobię.

“Mam taką nadzieję”, rozległa się odpowiedź w jej głowie.

- Wiem, wiem - mruknęła. - Blitilda nigdy... wiesz co, niech ta Blitilda siedzi sobie w domu pod swoją cnotliwą kołdrą!

“Blitilda nigdy nie używała kołdry, pozwalała sobie tylko na ascetyczną derkę z końskiego włosia, biedulka!”

- Tak żeby porządnie ją gryzło - pokiwała głową Taran. - Pewnie dbała o to, że drapało ją tu i tam?

“Fe, cóż za obrzydliwy pomysł!”

- Owszem! - Taran uśmiechnęła się szeroko. - Ale bardzo zabawny!

Głos nic na to nie powiedział. Jediną odpowiedzią było tylko urażone milczenie. Nudziarz, pomyślała Taran.

Ale bawiła się świetnie. Znalazła nową, niezwykle interesującą rozrywkę. Dopóki on nie wie, że ona może go zobaczyć kiedy tylko zechce, nic nie stoi na przeszkodzie, by drażnić się z nim, ile dusza zapragnie.

I taki właśnie miała zamiar.

Rozdział 7

Przez następne dni Taran starała się jak tylko mogła wyprowadzić swego anioła stróża z równowagi. W myślach nazywała go aniołem stróżem, bo lepszego określenia nie znalazła.

Co dzień pożyczala sobie czarnoksięską runę Móriego, lecz w końcu stało się to zbyt kłopotliwe i niebezpieczne. Ktoś mógł przecież złapać ją na gorącym uczynku. Sporządziła więc sobie kopię runy. Aby dodać jej mocy, położyła ją na księdze z runami ojca i wymruczała niezrozumiałe zaklęcia. Zaklęcia nie wywarły oczywiście żadnego skutku, ale może stało się to za przyczyną magicznej księgi? W każdym razie znak działał. Wprawdzie nie tak dobrze jak oryginalna runa ojca, ale ściskając ją w dłoni dostrzegala kątem oka kontury swego opiekuna.

To jej wystarczyło.

Chyba tylko dlatego, że tak bardzo chciała spędzać dni w samotności, rodzina nagle uświadomiła sobie, że Taran zaniedbano. Wspomniał o tym przy obiedzie Dolg. Jego niezwykle badawczy wzrok długo spoczywał na dziewczynie, aż Taran zrobiło się nieprzyjemnie. Dolg stwierdził:

- Powinniśmy poświęcić naszej siostrze więcej uwagi. Ona się nudzi, podczas gdy my tak bardzo jesteśmy zajęci przygotowaniem do wyjazdu.

Gdyby wspomniał o tym kilka dni wcześniej, z wdzięcznością rzuciłaby się mu na szyję. Teraz gotowa była go udusić.

- Miewam się doskonale - zapewnił? pospiesznie.

- Naprawdę? - spytał Dolg, a Taran nie śmiała, spojrzeć mu w oczy.

Postanowili jednak zaangażować ją do codziennych obowiązków, aby nie czuła się odsunięta.

- Jedźcie sobie - oświadczyła lekkim tonem. - O mnie się nie martwcie, ja tu sobie będę siedzieć. Dobrze mi z samą sobą i z moją robótką. Och, naprawdę, naprawdę się mną nie przejmujcie!

Nie mogli się powstrzymać od śmiechu, słysząc jej słowa. Wszyscy wiedzieli, że Taran nigdy w życiu nie miała w ręku żadnej robótki.

I ona się roześmiała z nadzieją, że zapomną o swych szlachetnych postanowieniach.

Odkryła, że jej niewidzialny opiekun nic potrafi odczytywać wszystkich jej myśli, jeśli nie życzyła sobie wprost, aby jej wysłuchał. Ucieszyło ją to, bo dzięki temu mogła myśleć swobodnie.

Nawiązanie z nim kontaktu - to znaczy doprowadzanie go do granic rozpaczy - przychodziło jej najłatwiej w lesie lub innych miejscach poza obszarem miasta.

Gdzie indziej jednak również zachowywała się wobec swego anioła stróża bezlitośnie. Gdy na ulicy słała za młodymi przystojnymi mężczyznami powłóczyście spojrzenia, za każdym razem czuła pełne irytacji szarpnięcie za ramię.

Pewnego dnia w odwiedziny przyszli znajomi Erlinga z dawnych czasów.

Przyprowadzili ze sobą także syna, młodzieńca nieszczerze zabawnego, lecz Taran ukradkiem uwodziła chłopca, który na przemian czerwienił się i bladł, a coś w powietrzu wokół dziewczyny okropnie się denerwowało.

“Może pójdę z nim do łóżka”, skierowała Taran myśl do konkretnego adresata.

“Nawet sobie tego nie wyobrażaj!” rozległy się zjadliwe słowa w jej głowie. “To przecież jeszcze dziecko! W dodatku wcale nie jest interesujący!”

Taran uśmiechnęła się pod nosem. W ostatnim zdaniu dawało się wychwycić cień... no właśnie, czego?

“Oczywiście, że tego nie zrobię”, odparła uspokajająco. “Chciałam tylko usłyszeć twoje zdanie”.

Odpowiedziało jej prychnięcie prosto do ucha.

Innym razem adorował ją pewien znajomy, starszy pan. Taran z czystej złośliwości pozwalała mu na to aż do chwili, kiedy chciał ją zaciągnąć do ciemnego pokoju.

Granica została przekroczona.

“Pomóż mi”, poprosiła. “Zabierz tego obrzydliwca!”

Nikt chyba nigdy nie działał równie szybko i skutecznie. Kiedy natarczywy zalotnik podniósł do góry kieliszek z wódką, jednocześnie obejmując Taran za ramiona,

coś się stało. Kieliszek wyślizgnął się z jego rąk, a zawartość chlusnęła mu w twarz i zalała eleganckie ubranie.

Taran wybuchnęła głośnym śmiechem, lecz jej towarzysz wcale nie uważał tego za zabawne. Wkrótce wyszedł pomimo gorących usprawiedliwień dziewczyny.

Taran dotychczas nie ośmieliła się spojrzeć wprost na swego niezwyklego opiekuna. Dopóki nie zdawał sobie sprawy, że ona go widzi, miała nad nim przewagę.

Taran najlepiej czuła się w lesie. Tam mogła się drażnić ze swym aniołem stróżem i dręczyć go, ile dusza zapragnie, wprowadzając w życie najbardziej absurdalne pomysły, by go przestraszyć. Odczuwała radość słysząc, że się o nią boi, ale nie tylko. Bardzo ją to też wzruszało.

Pewnego dnia uświadomiła sobie, że go lubi. On się o nią troszczył! Zajmował się nią jak nikt przedtem, chociaż miała najlepszą rodzinę na świecie, której wszyscy członkowie bardzo się kochali i dbali o siebie nawzajem. Jedynie w ostatnich dniach Taran poczuła się odsunięta na bok, tylko dlatego, że pozostali pochłonięci byli przygotowaniem do emocjonującej podróży, w której nie pozwolono jej brać udziału.

Po zastanowieniu przyznała, że jest niesprawiedliwa. Przecież Erling, babcia Theresa, Rafael i Danielle także nie jechali na Islandię, a nikt z nich nie narzekał. Tylko ona.

Parę dni przed wyjazdem cała piątka młodych siedziała w salonie popijając lemoniadę. Wówczas to Taran odkryła coś, co powinna zauważyć już dawno temu.

Młodziutka Danielle, delikatna i niezwykle wrażliwa, miała łzy w oczach. Taran w ostatniej chwili ugryzła się w język, żeby nie wyskoczyć z jakąś niemądrą uwagą. Danielle wpatrywała się w Dolga, zajętego rozmową z pozostałymi chłopcami. Taran wiedziała, że Danielle od zawsze żywiła wielki podziw dla Dolga, ale dotychczas było to dziecinne zauroczenie. Teraz sytuacja się zmieniła.

Danielle, siedemnastolatka, przeżywała pierwszą w życiu miłość. I nikt nie mógł mieć wątpliwości, że nieszczęśliwą. Pomysł zakochania się w Dolgu od zarania był tak chybiony jak tylko można to sobie wyobrazić. Dolg dla nikogo nie żywił podobnych uczuć, Taran gotowa dać głowę, że tak jest.

Na tym nie koniec, dostrzegła bowiem coś jeszcze. Cierpiała nie tylko Danielle. Villemann, jej brat bliźniak, od czasu do czasu zerkał na Danielle, a oczy miał przy tym tak samo zasmucone. Ona bowiem nawet nie spojrzała w jego stronę.

Cóż ze mnie za egoistka, zafrasowała się Taran. Muszę coś z tym zrobić.

Zabiorę się do dzieła, kiedy wrócą, teraz jest już za późno. Ale obiecuję, że postaram się spędzać więcej czasu z Danielle.

Obaj chłopcy wyjeżdżali. Zostawała młodzianka panienka, kochająca jednego, a kochana przez drugiego.

A ja nie mam nikogo, pomyślała Taran z goryczą. Przecież nie mogę zakochać się w Rafaelu, on absolutnie nie jest w moim typie.

Wszystko nagle stało się takie trudne!

By odegnąć smutki, znów wyszła do lasu.

Czuła, że jest w okropnie złym humorze, i z czystej złośliwości ruszyła na drugą stronę drogi tuż przed nadjeżdżającym chłopskim wozem. Jak zwykle odciągnięto ją w czas, a pogrożki wzburzonego gospodarza przyjęła z ponurą miną.

Taran wiedziała, że nie jest to jej wielki dzień.

Dlaczego tak się zachowuję wobec mojego miłego opiekuna? zastanawiała się.

Dlaczego jestem taka złośliwa?

O, dobrze wiem. To przez tę przeklętą Blitildę.

Głośno zaś oświadczyła:

- Obiecuję, że będę grzeczna, jeśli ty przestaniesz stawiać mi za przykład ten ideał o idiotycznym imieniu. Co w niej jest takiego wspaniałego?

“Nie jest, było”, odpowiedział. “Czcigodna Blitilda żyła dawno temu”.

- Dlaczego więc nie przestajesz o niej marudzić?

Doszli już do lasu. Otoczyła ich cisza.

“Ponieważ była zącną, szlachetną i cnotliwą kobietą. Całkiem inną niż ty”.

- Dziękuję. Przyjmuję to za komplement. Czy ona była piękna?

“Uroda nie ma z tym nic wspólnego”, odparł dostojnie.

Nagle Taran przyspieszyła. Ruszyła przez las szalonym pędem, żeby przekonać się, czy uda się jej go pozbyć.

On jednak spieszył za nią, wyczuwała jego poirytowane ostrzeżenia: “Możesz się potknąć, przewrócić, podrapiesz się o świerkowe gałęzie albo spadniesz z wysokości, albo...”

- Nie gadaj tyle! - syknęła Taran biegnąc dalej. - To znaczy, że Blitilda była brzydka!

Drażniła się z nim przez cały dzień. Postanowiła popływać w leśnym jezioru.

“Uważaj, pędy lilii wodnych mogą cię ściągnąć w głąb. Bądź ostrożna, tu jest głęboko”.

Nie było końca gwałtownym protestom, kiedy rozbierała się do naga, żeby wskoczyć do wody. Taran jednak tylko się śmiała. Dobrze ci to zrobi, pomyślała, uwodzicielskim krokiem podchodząc do brzegu.

Przeliczyła się jednak co do własnej wytrzymałości. Pływała, jak się jej zdawało, przez całą wieczność, kiedy nagle poczuła, że ręce jej mdleją, a całe ciało w wodzie dziwnie ciąży. Akurat znalazła się na środku jeziora.

- Pomóż mi - poprosiła, - Pomóż mi się dostać do brzegu, nie mam już siły!

Musiał ją ciągnąć, bo od chłodu leśnej wody chwycił ją kurcz. Tym razem Taran porządnie się wystraszyła, ale uścisk wokół ramion dawał poczucie bezpieczeństwa. Po trwającej dobre pół godziny męce wyciągnął ją wreszcie na ląd.

Na brzegu Taran zmęczona osunęła się na ziemię, przedtem owinęła się tylko płaszczem, zarówno po to, aby się wysuszyć, jak i zakryć.

Gdy wreszcie doszła do siebie, zorientowała się, że nie wyczuwa obecności swego ducha opiekuńczego.

Czyżby ją opuścił? Zrezygnował z niej?

Bardzo tego nie chciała!

Rozżalona wyjęła z kieszeni runę umożliwiającą widzenie duchów.

Zobaczyła go. Leżał wyciągnięty na niewielkim wzniesieniu, w miękkim mchu.

Rozłożył się na plecach, zamknął oczy kompletnie wyczerpany.

Postąpiłam tak złośliwie, wyrzucała sobie Taran. Jaki on piękny! To anioł, chociaż nie ma skrzydeł. A może duch opiekuńczy? Ale nie ten co zwykle. Wygląda mi na to, że się zamienili. Czyżby mój mały elf, ten, który mi stale towarzyszył, nie mógł sobie ze mną poradzić?

Popatrzyła na niego, przyjrzała mu się uważniej. W głowie zaczęły jej krążyć przewrotne myśli.

Ciekawe, czy aniołowie zbudowani są tak jak ludzie? Wszędzie? Ciekawe, czy on jest czuły na takie wrażenia?

Interesujące byłoby sprawdzić, jak wygląda.

Najdelikatniej jak umiała uniosła kraj białej szaty. Czy starczy mi odwagi, żeby pod nią zajrzeć?

Ten pomysł okropnie ją rozśmieszył, ale nie wydała z siebie ani jednego dźwięku.

Jeśli jednak chciała coś zobaczyć, musiała podsunąć ją wyżej.

Centymetr po centymetrze przesuwała rękę coraz dalej, popychając delikatnie materiał.

W pewnym momencie zrobiła nieostrożny gest i natychmiast znieruchomiała. Nie śmiała drgnąć ani nawet odetchnąć.

Ponieważ jednak on się nie obudził, nabrała śmiałości. Musnęła ręką jego kolano, pogładziła wewnętrzną stronę uda.

Przeszył ją dreszcz, roześmiała się bezgłośnie. Szata odrobinę się podniosła w tym tajemniczym miejscu, jakie mają mężczyźni. A więc on jest stworzony tak jak ziemianie, pomyślała podniecona. I ona także odczuła przyjemne, łaskoczące napięcie.

Nagle poderwała się przestraszona. Obudził się.

Usiadł z jękiem, patrząc prosto na nią. Taran prędko opuściła jego szatę, ale na twarzy wyraźnie miała wypisane poczucie winy. Duch opiekuńczy rzecz jasna doskonale rozumiał jej zamiary.

Zerwał się na równe nogi.

- Dość tego! - oświadczył. - Mam cię już dość!

A gdy pojął, że Taran na niego patrzy, wrzasnął bardzo nie po niebiańsku:

- Od jak dawna mnie widzisz?

- Od pewnego czasu - odparła wymijająco. - Przepraszam, teraz już...

- Dostyc! - powtórzył. - Naprawdę mam cię dość. Miarka się przebrała. Wracaj do domu sama - ciągnął oburzony. - Nie godzę się na to, poskarżę się swoim przełożonym...

Gniewne słowa cichły coraz bardziej, kiedy rzucił się biegiem przez las ku Bergen.

Wspaniale, pomyślała Taran i wolno zaczęła się ubierać. Nareszcie będę mogła być sama.

Ale jej spokój był pozorny. Wargi jej drżały, a ręce się trzęsły, kiedy naciągała ubranie.

Podczas tej gwałtownej wymiany zdań żadne z nich nie zauważyło, że nie są sami. Ktoś się pojawił, czarny cień na moment przesłonił słońce.

Taran nie spostrzegła, że coś przysiadło na strzelistej sośnie.

Coś, co obserwowało ją z nieskrywanym triumfem.

Istota długo przyglądała się dziewczynie.

Wreszcie zaczęła spuszczać się ku niej w dół. Zsuwała się po pniu drzewa ruchem jaszczurki, okrążając pień z głową w dół.

Rozdział 8

Uriel, kandydat na anioła, niemal płynął nad ziemią, parskając urażony. Okropna dziewczyna! Fe, f e! Piękna jak grzech, i w rzeczy samej straszna grzesznica!

Jak śmiała tak postąpić z przyszłym aniołem?

Zwolnił wreszcie, aby w końcu się zatrzymać.

Przysiadł na porośniętym trawą wzgórzu i oparł głowę na rękach. O mało nie wybuchnął płaczem, tak bardzo poczuł się urażony.

- Mistrzu - zwrócił się ku niebu. - Nie zasłużyłem na to, zwolnij mnie z wyznaczonego zadania!

W powietrzu świsnęło i zwierzchnik stanął przed nim. Uriel prędko strzepnął z szaty kilka sosnowych igieł i mocniej ścisnął uda. Nie dlatego, aby jego kłopotliwy stan był wciąż widoczny, zrobił to po prostu odruchowo.

- O tym właśnie ci mówiłem, Urielu. Nigdy dotąd nie byłeś narażony na pokusy, a poddajesz się pierwszej drobnej...

- Drobnej? - przerwał mu Uriel. - To najgorsze, co mnie kiedykolwiek spotkało.

- Wobec tego niewiele doświadczyłeś. A może Blitilda przywiodła cię na zatracenie, namawiając, abyście pozbierali maliny za płotem sąsiada? Albo bezmyślnie pozwoliła ci trzymać motek z wełną w sobotni wieczór, kiedy dzwony obwieściły już nadejście święta? - W głosie dostojnika pojawiła się surowość: - Ta dziewczyna, Taran, potrzebuje cię. Wciąż wplątuje się w coraz większe kłopoty.

- Ale dlaczego ja? Jestem przecież... - nie podobało mu się to określenie, ale musiał je wypowiedzieć: - ...taki niedoświadczony.

- Ma to również pomóc tobie dostać się dalej - wyjaśnił zwierzchnik z niezmaconym spokojem.

Nad ich głowami wesoło ćwierkał jakiś ptaszek. Dzień był piękny, las wspaniały, lecz Uriel akurat w tej chwili tego nie dostrzegał.

- Nie mogę do niej "wrócić - oświadczył gniewnie. - Ona się ze mnie naśmiewa.

- Będziesz musiał to znosić.

Uriel wysunął kolejny argument:

- Ona mnie widzi!

- To nonsens! Taran nie jest podobna do swego ojca czy do Dolga. Nie posiada żadnych nadprzyrodzonych zdolności, nie może cię widzieć!

- Ale tak właśnie jest! Przysięgam!

- Żadnych przysięg!

- Przepraszam!

Zwierzchnik Uriela zastanowił się.

- Jej ojciec ma pewną szczególną runę... Sprawdź, czy Taran ją zabrała.

- Nie wracam do niej.

Mistrz go nie słuchał. Dalej myślał głośno:

- Żaden zwykły śmiertelnik nie może cię zobaczyć. Owszem, zdarza się czasami, bardzo rzadko, że ludzie widzą swoich opiekunów, lecz ciebie nie powinna, przybywasz wszak z wyższego wymiaru niż duchy opiekuńcze. Ale zapominamy o jednym...

- O tym, że jest córką czarnoksiężnika?

- Nie, nie. Nie to miałem teraz na myśli. Wszyscy, zarówno duchy opiekuńcze, jak i cała rodzina Taran zapomnieliśmy o pewnym epizodzie z dzieciństwa tej dziewczyny.

Uriel patrzył na niego pytająco.

- Mała Taran dość długo trzymała cudowny szafir przyciśnięty do piersi. Wtedy, na bagnach, kiedy zły brat Johannes chciał odebrać Dolgowi tornister. Jakie to miało dla niej znaczenie, nie wiemy. Może w ten sposób przedłużono jej życie, może zyskała jakąś dodatkową ochronę, a może nawet obdarzono ją zdolnością jasnowidzenia. Niewykluczone, że to właśnie pomaga jej cię zobaczyć.

Uriel zadrżał.

- Przyjemna perspektywa - mruknął.

- Z pewnością jednak nie wyjaśnia to wszystkiego. Przypuszczam, że Taran zdobyła także czarnoksiężską runę. Inaczej widziałaby cię przez cały czas, a tak nie jest. Wracaj teraz do niej i odbierz jej magiczny znak.

- Ale ja...

- Koniec z tymi "ale"!

Uriel rozłożył ręce, dając tym wyraz swej pełnej rozpacznej rezygnacji.

- Proszę mi pozwolić przynajmniej raz jeszcze zobaczyć szlachetną Blitildę. Chociaż jeden jedyny raz. Abym z jej czystości mógł zaczerpnąć odwagi i siły na spotkanie z tym przerażającym dzieckiem, Taran.

Taran z pewnością nie jest już dzieckiem, cierpko pomyślał zwierzchnik Uriela. Wahał się.

- Możesz ujrzeć ten wzór cnót, jeśli sądzisz, że w czymś ci to pomoże. Pamiętaj jednak: ona cię nie widzi i nie możesz z nią rozmawiać. Nie próbuj nawet wedrzeć się w jej dawno miniony czas!

- Wystarczy mi sam jej widok - uradował się Uriel. - Tak dobrze mi się z nią współpracowało.

- Nie wątpię - odparł beznamytnie jego zwierzchnik. - Czy obiecujesz później wrócić do swych zadań opiekuna?

Uriel nie odpowiedział wprost:

- Jeśli tylko będę mógł ujrzeć Blitildę...

Mistrz westchnął:

- Zamknij więc oczy i otwórz je dopiero po chwili. A teraz żegnaj!

Uriel spełnił jego polecenie.

Otworzywszy oczy ujrzał przed sobą całkiem inny krajobraz, widok z czasów, które już dawno minęły. Przy klasztorny ogród, w którym unosił się rozkoszny aromat przypraw i ziół.

Dróżką szła Blitilda - ach, miła Blitilda! - i wrywała chwasty. Poznał tę przysadzistą sylwetkę w szerokim ascetycznym odzieniu.

Blitilda nie była mniszką, pochodziła ze dworu sąsiadującego z klasztorem. Uwielbiała spełniać dobre uczynki na chwałę Pana. Spełniała posługi wśród ubogich w miasteczku, ale tylko ci, którzy odmawiali wieczorną modlitwę, dostawali ciastka. Można żałować grzeszników, ale ich nie pochwalać!

Oto właściwe myślenie!

Uriel podzielał kiedyś jej zdanie. Teraz nie był już tego taki pewien.

Blitilda wyprostowała się i otarła pot z czoła. Okropnie się pocila, całkiem zapomniał o bijącym od niej ostrym odorze. Wszelkie zło wywodzi się z próżności, powtarzała zwykle Blitilda.

Twarz jej błyszczała, na tłustej skórze, upstrzonej wągrami, widoczne były kropelki potu, nad górną wargą wąsik.

Czy naprawdę trzeba ubierać się tak brzydko, kiedy ma się tak niezgrabne ciało? I cóż za nieładna twarz!

Oriel wziął się w garść. Porównywał ją teraz z Taran, a to niesprawiedliwe.

“Rozwydrzona Taran wobec cnotliwej Blitildy...”

Im dłużej jednak przyglądał się z ukrycia Blitildzie, tym lepiej uświadamiał sobie, że właściwie nie ma nic przeciwko nieciekawemu wyglądowi do tego stopnia małostkowy nie był. Odpychający natomiast wydawał mu się wyraz twarzy jego byleż podopiecznej. Ta mina: “Patrzcie, jaka jestem dobra! Jaka cnotliwa! Żaden mężczyzna nigdy nie ucałował mojej ręki, jestem bowiem oblubienicą Chrystusa, o wiele lepszą od wszystkich mniszek - hipokrytek, moje dobre uczynki wśród godnych tego potrzebujących są powszechnie znane. Wszyscy mnie szanują, i tak właśnie być powinno. Nie wiedzą, jaka jestem wspaniała, bo potrafię zachować skromność. To podoba się Panu. Nie ma nic piękniejszego, niż urodzić się w bogatym domu i poświęcić wszystko, złożyć w ofierze, pokornie wyrzec się doczesnych dóbr”.

Uriel poczuł ogarniającą go coraz większą irytację. Żaden mężczyzna po prostu nie chciał ucałować twojej ręki, Blitildo, pomyślał gniewnie. Daleko ci też do pokory! Rządzi tobą chęć wywyższenia się, choć w odmienny niż zwykle sposób. Chcesz pokazać się od najgorszej strony, bo tylko w taki sposób możesz zwrócić na siebie uwagę.

Jak mogłem być wówczas taki zaślepiiony! Wprawdzie nie uważałem cię za pociągającą, ale cię podziwiałem. Wystarczy mi już tego, co teraz zobaczyłem. Zamknął oczy, a kiedy znów je otworzył, stał w pięknym, pachnącym żywicą lesie w okolicach Bergen.

Siedząc poczuł nadpełzający niepokój. Coś się działo z Taran. Opuścił ją, tchórzliwie zrezygnował z wyznaczonego mu zadania. Taran została całkiem sama, a powietrze aż wibrowało od grożącego jej niebezpieczeństwa. Musi do niej wracać, szybko, jak najszybciej!

Taran się bała.

Stała nieruchomo, nie śmiała nawet odwrócić głowy, wyczuwała jednak czyjaś obecność.

Powietrze zgęstniało w jakiś straszny, a zarazem przyjemny sposób. Zorientowała się, że ciało jej reaguje na niezwykłą atmosferę zmysłowości, piersi jej się naprężyły, poczuła nagły skurcz w podbrzuszu.

To paskudne, nie chciała brać w tym udziału, wrażenie narastającego pożądania było niebezpieczne, niszczące, zgubne!

Pomóż mi, pomóż! prosiła w myśli.

Ale przecież wypędziła swego ducha opiekuńczego. Wystraszyła go niemądrymi figlami, ciągłym drażnieniem się z nim. Śmiała się z niego. Jak mogła przypuszczać, że zechce jej pomóc?

Wiedziała, że za plecami ma gęste zarośla, wśród których rosło kilka pojedynczych sosen.

Zwierzę?

Bzdura, żadne zwierzę nie zdoła w taki sposób zagęścić atmosfery.

Ojcie, Dolgu! Duchy - towarzysze ojca, przyjdźcie mi z pomocą!

Ale z całej rodziny Taran miała chyba najmniejszy kontakt z duchami, dlatego więc miałyby teraz przybyć na jej wezwanie?

Nagle poczuła, że coś wstrzymuje istotę stojącą za nią. Coś odpiera jej atak, hamuje.

Taran nie rozumiała, że to dotknięcie przez nią przed laty cudownego szafiru stało się przyczyną tego wahania. Przecież powiedziała wtedy: Czuję się, jakbym... została poświęcona!

Chyba rzeczywiście miała trochę racji.

Próbowała uciekać, ale nie mogła ruszyć się z miejsca, jakby stopy wrosły jej w ziemię. Ręce zdrętwiały, oddychała z trudem.

Jeśli wezmę teraz do ręki moją runę... a potem się odwrócę...

Co wtedy zobaczę?

Nie, za nic w świecie!

W tej samej chwili ktoś szarpnął ją za ramię, przestraszona głośno krzyknęła.

Ale w głowie rozległ się znajomy głos ducha opiekuńczego: "Biegnij Taran, biegnij!

Ruszaj!"

Szarpnął ją mocno, nareszcie oderwała stopy od ziemi, znów mogła poruszać rękami i nogami.

Ciągnięta w przód, wbrew własnej woli odwróciła głowę i spojrzała na zarośla.

Nie potrzebowała runy umożliwiającej widzenie duchów, aby zobaczyć, co się tam kryło. Istota jednak okazała się niesłychanie szybka, jak błyskawica schowała się za większym drzewem i zniknęła w krzakach.

Taran nie zdążyła więc zorientować się, co to takiego, dostrzegła jedynie stworzenie ludzkiego wzrostu, o skórze połyskującej niebieskozielonoczarno, gładziej niż ludzka, bardziej sprężystej.

Przywiodło jej na myśl węża albo jaszczurkę.

"Chodź", ponaglił jej duch opiekuńczy. Zostawili już za sobą polankę nad jeziorem i co sił w nogach pędzili przez las ku miastu.

- Co to było? - spytała przerażona Taran.

"Nie wiem. Ale ta istota nie należy do dobrych sfer. Nie możesz biec prędzej?"

Jego trwoga przeraziła Taran najbardziej.

Rozdział 9

Taran oszaląta ze strachu pędziła przez las. Gałązki uderzały ją w twarz, chwilami musiała przedzierać się przez gęste zarośla, ale prawie tego nie zauważała.

Dziwne, lecz przez cały czas miała wrażenie, że jej duch opiekuńczy biegnie tuż obok niej, a w głowie rozlegał się jego szept: "Pospiesz się! Prędzej!"

Wspaniale, że z nią był!

Cokolwiek by to znaczyło, obok niej czy tylko w jej głowie. Wolą jednak to pierwsze.

Wydostali się wreszcie na otwarte pole. Taran dostrzegła młodziutkie jagniątko, które jakimś cudem znalazło się za płotem. Kręciło się w kółko, pobekując żałośnie. Odpowiadała mu wystraszona matka.

- Poczekaj - poprosiła Taran. - Muszę pomóc jagnięciu.

“Oszalałaś, możesz przyplacić to życiem i duszą!”

Taran nie przejmując się protestami swego anioła stróża podbiegła do płotu.

- Twierdzisz, że ziemia to padół łez i że Tamten Świat jest o wiele lepszy. Ponadto twoim zdaniem ja nie mam duszy.

“Tego nigdy nie powiedziałem. Mówiłem tylko, że ty...”

- Och, zamknij się wreszcie!

Cóż za obraźliwe słowa! Nie powinno się tak zwracać do przyszłego anioła!

Ale nie starał się już powstrzymać dziewczyny.

Taran zdawała sobie sprawę, że może przestraszyć jagniątko, jeśli da mu czas, by ją spostrzegło, zadziałała więc błyskawicznie: zdecydowanym ruchem podniosła stworzonko do góry i przestawiła je za płot.

Jak przyjemnie trzymać w objęciach taką maleńką istotkę! Cudownie miętka wełna!

Jagniątko szczęśliwe potruchtało do matki. Taran bardzo ucieszył ten widok.

Kiedy dotarli do pierwszych zabudowań, jej duch opiekuńczy oznajmił, że teraz nie muszą się już tak spieszyć. Przypuszczał, że nikt już ich nie goni.

- Dlaczego?

“Myślę, że to jakaś leśna istota, a przecież wyszliśmy już z lasu”.

- Muszę przyznać, że jak na leśną istotę bardzo zmysłowa!

“Owszem, ale jest wiele takich. Choćby Pan, fauni i satyrowie...”

- Rzeczywiście, w skandynawskich wierzeniach też ich nie brakuje. Na przykład Król Gór. Pewnie masz rację - przyznała bez przekonania.

Szli krawędzią wzniesienia, - w dole huczało morze.

- Czy nie możemy usiąść na tamtej skale i popatrzeć na ujście fiordu?

“Oczywiście”.

Taran usiadła, schowana za krzakami jeżyn, nogi zwiesiła poza krawędź skały - nie było tu bardzo stromo - i powiedziała:

- Dziękuję, że wróciłeś!

“Czułem, że coś jest źle. Zresztą nie miałem prawa cię opuszczać. Ale nigdy więcej nie wolno ci robić czegoś podobnego!”

- Wiem, paskudnie się zachowałam - przyznała z żalem Taran. Zaraz jednak uśmiechnęła się szeroko. - Ale masz takie ładne stopy! Naprawdę!

On nic na to nie odpowiedział. Zarówno temat, jak i wspomnienie tamtej sytuacji nie były dla niego przyjemne.

- Jak ty się właściwie nazywasz? Masz chyba jakieś imię?

“Uriel”.

- Uriel? Czy to nie jeden z siedmiu archaniołów? Uriel, dawca światła. Mój ty świecie, czyżbym była aż tak ważna?

“O, nie, nie wyobrażaj sobie za wiele. Po prostu takie imię otrzymałem w trzecim wymiarze”.

- Jak nazywałeś się za swego ziemskiego życia?

“Miałem wiele imion”.

- No dobrze, w tym ostatnim? Czy wszystko trzeba z ciebie wyciągać na siłę? Ciężko myślisz, czy co?

“Muszę cię prosić o większy szacunek...”

- Nie wpadaj w taki pompatyczny ton! Powiedz lepiej, jak się ostatnio nazywałeś tu na Ziemi?

Przez chwilę milczał, a potem mruknął zawstydzony tak cicho, że ledwie go usłyszała: “Gustava”.

Taran na moment zaniemówiła, zaraz jednak wybuchnęła nieopanowanym śmiechem.

- Powiedz mi, kim ty właściwie jesteś? Mężczyzną czy kobietą?

“Mężczyzną, powinnaś o tym wiedzieć”, odparł urażony. “Przepraszam, tak mówić nie powinienem. Ale dusza musi odbyć długą wędrówkę, zanim się w pełni ukształtuje, wcielić w wiele ludzkich typów, w bogatych i biednych, mężczyzn i kobiety, łajdaków i szlachetnych...”

Przerwała mu:

- Rozumiem. A więc dobrze, Urielu. Zawrzemy pokój?

Jego milczenie świadczyło o tym, co sądzi o pomysłe dziewczyny.

Taran spróbowała jeszcze raz:

- Czy nie byłoby łatwiej, gdybym cię widziała przez cały czas? To trochę męczące, kiedy wciąż, jak dzień długi, muszę się wsłuchiwać w swój wewnętrzny głos, nie zawsze można go właściwie zrozumieć.

“Nie zawsze chce się go właściwie rozumieć”.

- No, może masz rację. Ale ty wcale nie najgorzej się prezentujesz, nie musisz się wstydzić.

“Dziękuję”, odparł wcale nie ucieszony. “Sądzę jednak, że twoja propozycja nie padła na podatny grunt”.

- Ale to takie irytujące, kiedy nie wiem, gdzie stoisz. Mogę przypadkiem na ciebie wpaść i przewrócić cię na ziemię.

“To niemożliwe. Masz czarnoksiężską runę, prawda? Oddaj mi ją”.

- Nie mam żadnej... No dobrze, mam. Przed tobą nie ma sensu nic ukrywać. To właśnie mi się nie podoba. Może potrafisz przejrzeć mnie na wskroś, a już na pewno widzieć przez moje ubranie. Wiesz o mnie wszystko, widzisz mnie przez cały czas...

“Wcale nie”, odparł z nieoczekiwaną łagodnością. “Jestem bardzo dyskretny.”

- Boję się nawet podłubać w zębach.

“Ja takich rzeczy nie widzę, to funkcjonuje inaczej”.

- Dzięki Bogu przynajmniej za to! Chciałabym korzystać z toalety w samotności. Ale pragnęłabym mieć nad tobą pewną kontrolę.

Zawahał się. "Rozumiem", powiedział w końcu. "Nasz związek jest dość szczególny, rozumiem teraz, dlaczego właśnie ja zostałem wyznaczony. Widzisz, wybrano kogoś z trzeciego wymiaru, a nie z drugiego, jak jest w zwyczaju. Ale aby być widzialnym - tylko dla ciebie, rzecz jasna - muszę starać się o pozwolenie u mego zwierzchnika".

- Cóż za okropna hierarchia! Ale dobrze, jeśli musisz... W którym miejscu teraz siedzisz?

"Wcale nie siedzę", odparł zdumiony. "Stoję tutaj, na... Teraz rozumiem, o co ci chodzi. To rzeczywiście musi być irytujące nie wiedzieć, w którą stronę się zwrócić. Na pewno zapytam".

- Bardzo miło z twojej strony, Urielu. - Poklepała kamień, jakby miała do czynienia z Nerem. - Usiądź teraz tu koło mnie, nie kręć się tak Wprawiasz mnie w niepokój.

"W niepokój? Ciebie? Nie, nie mamy czasu... Dobrze, niech będzie jak chcesz".

- Ostatnio jakoś nie wspominałeś o zachwycającej Blitildzie - zauważyła Taran.

"Owszem... zrozumiałem, że..."

- Co takiego? - podpytywała łagodnie.

"Blitilda nigdy nie ryzykowałaby swego drogiego życia dla jagniątko", wybuchnął wreszcie. "A już na pewno, kiedy nikt jej nie widzi".

- Ach, tak?

"Nie podeszłyby także do tego leśnego bożka, czy kto to tam był, z takim spokojem jak ty. Krzyczałyby wniebogłosy, dostała ataku serca i miotała się na wszystkie strony".

- Człowiek po ataku serca nie miota się na wszystkie strony - trzeźwo zauważyła Taran. - Czy tylko dlatego postanowiłeś zapomnieć o Blitildzie?

Niewinny i niedoświadczony Uriel nie przypuszczał nawet, jak bardzo Taran interesowała jego odpowiedź. Niewiele wiedział o kobiecych podstępach.

A Taran miała wrażenie, że Uriel się wykręca.

"No, nie. Poprosiłem swego zwierzchnika, aby pozwolił mi ją jeszcze raz zobaczyć. Chciałem zaczerpnąć odwagi i siły z jej czystego ducha. A ona była..."

Okropna! Wręcz obrzydliwa! Kandydat na anioła nie powinien tak mówić, ale tobie to powiem, tylko tobie”.

- Nie była taka wspaniała, jak ją wychwalałeś?

“Tylko we własnych oczach”.

- Fantastycznie! - zagruchała Taran. - Czy można powiedzieć, że kończymy z nią?

“Naprawdę mam taką nadzieję! Jeśli, oczywiście, mój zwierzchnik nie wyśle jej za mną”.

Głos Taran był teraz słodki jak miód.

- A dlaczego miałby to zrobić?

“Hm, może żeby udzielić mi moralnego wsparcia”.

- A czy ono jest potrzebne?

Uriel zorientował się, że wpadł we własne sidła.

“Pójdziemy dalej do miasta?”

- Chyba powinniśmy - westchnęła Taran, wstając. - Akurat teraz, kiedy trochę rozwiązał ci się język. Obiecałam, zdaje się, że nie będę próbowała cię uwodzić, ale chyba cofnę tę obietnicę.

“Nie zrobisz tego!” uniósł się.

- Spróbuję - odparła Taran z uśmiechem. - Potrafisz mi się chyba oprzeć, prawda?

“Oczywiście!”

- No tak, bo przecież mnie nie lubisz.

“Prawie - aniołowi nie wolno kogoś nie lubić”.

- To nie odpowiedź, Urielu. Przysięgam, czeka cię ciężka służba.

Poczuła wręcz, jak zadrżał.

“Mylisz się, Taran. To nieprawda, że cię nie lubię. Po prostu twoje usposobienie jest mi całkowicie obce”.

- Nie potrafisz mnie zrozumieć? - zaćwierkała.

“Rzeczywiście. Jesteś diabolicą, ale miłą!”

- Teraz mnie uraziłeś.

“Owszem, diabolicą to nieładne określenie”.

- Nie, nie, mój aniołku! Pamiętaj, żadna kobieta nie marzy o tym, aby nazwać ją miłą! Pragnie być piękna i godna pożądania w oczach ukochanego, podziwiana za swą inteligencję, jeśli potrafi umiejętnie ją wykorzystać. Ale miła? To prawie tak, jakby powiedzieć: "Ta biedaczka to nic ciekawego, ale jest miła..." Rozumiesz? "Nie całkiem. W naszym wymiarze takie stwierdzenie jest nieznane".

- No cóż. Chciałabym, abyś odpowiedział mi na jedno pytanie, zanim dojdziemy do ludzi, którzy pomyślą sobie, że oszalałam, bo idę i mówię do siebie. Nie mam ochoty skończyć w domu wariatów. A pytanie brzmi: Jak to możliwe, że mnie widzisz, a zarazem nie widzisz?

"O co ci chodzi?"

- Twierdzisz, że nie muszę się bać, że się wygłupię. Że to nie kwestia: "Bóg widzi wszystko", ale że mogę mieć swoje prywatne życie bez węszących ciągle aniołów stróżów.

"Ach, to masz na myśli! Zwykle postrzegam cię jako obłok skondensowanej siły. Znam twoje instynkty i uczucia, wiem gdzie się znajdujesz, ale nie wiem, co robisz".

- Moje myśli?

"Nie, nie umiem ich odczytać, oprócz tych szczególnych, skierowanych wprost do mnie. Wyczuwam też, czy grozi ci jakieś niebezpieczeństwo".

- Dzięki Bogu!

"Kiedy jednak zauważam, że potrzebujesz pomocy albo pociechy - to właśnie wychytuję najlepiej, bo na tym opiera się najważniejsze zadanie ducha opiekuńczego - wtedy cię widzę. Wówczas jestem obecny w twoim świecie, a ty w moim".

- Nieprawda, ja cię przecież nie widzę.

"Chyba się tak zdarzyło", zauważył cierpko,

- Tak. Pięknie wyglądałeś. Nie tylko stopy, cały,

"Cały?" zachłysnął się.

- Nie, nie - machnęła ręką. - Za wcześnie się obudziłeś.

“Teraz na mnie kolej dziękować Bogu”.

Taran przystanęła i popatrzyła na niego, to znaczy w stronę, gdzie, jak sądziła, stał Uriel.

- Jesteś okropnie zasadniczym i cnotliwym aniołem, Urielu. Powinieneś umieć spojrzeć na to wszystko z większym dystansem, ty, który zaszedłeś tak wysoko po drabinie kariery.

“A cóż to za wyrażenia!” uniósł się. “Sama powiedz, czy chciałabyś, żeby jakiś mężczyzna tak cię zaskoczył podczas snu?”

- Nie byle jaki mężczyzna - zauważyła słodkim głosem. - Masz rację. Ale prosiłam już o wybaczenie. Czyżbyś był pamiętliwy i długo się gniewał?

“Wcale nie, to ty znów poruszyłaś ten temat”.

- Ja? O, nie, to ty do niego wróciłaś. Ale przestańmy tak się droczyć, to bez sensu, tylko ludzie tak robią. Czy teraz mnie widzisz?

“Na to ci nie odpowiem. Pewne tajemnice muszę zachować dla siebie”.

Taran znów zaczęła iść.

- Wiesz, Urielu, twoją najmiłą stroną nie jest wcale ten nieznośnie łagodny, pełen wyrozumiałości ton, który, jak przypuszczam, łączy się nierozdzielnie z twym anielskim powołaniem. Najbardziej lubię te przebłyski humoru, które czasami wychwytyję w twoim głosie. Czy nie mógłbyś się mniej od tego powstrzymywać?

“Pst!” szepnął zadowolony. “Mnie nie wolno się śmiać, bo istnieje obawa, że wybuchnę śmiechem w niewłaściwym miejscu i sytuacji, i mogę przy tym kogoś zranić”.

- Moim zdaniem śmiertelna powaga potrafi ranić o wiele bardziej dotkliwie. I taka jest okropnie nudna!

“Ja również tak myślę”, uśmiechnął się. “To jak, umawiamy się, że tak będzie?”

- Oczywiście. Nikomu nie doniosę.

“Doskonale!”

Taran oczywiście musiała zepsuć tę miłą chwilę.

- Urielu, czy twoim zdaniem jestem ładna?

“No wiesz!” odparł oburzony i znów zaczęli się spierać.

Rozdział 10

Przy wysokim kominie na dachu jednego z domów w Bergen przysiadła niesamowita smukła postać. Czuwała, chociaż całe miasto spało, skapane w nocnym świetle księżyca.

Sigilion zdawał sobie sprawę, co jest jego dobrą, a co złą stroną. Niezaprzeczalną zaletą była zdolność swobodnego unoszenia się w powietrzu. Między górnymi kończynami a korpusem miał cienkie, ledwie widoczne skrzydła, czy może raczej błony, przypominające te, które zobaczyć można u lotokotów. Podobne organy widniały po wewnętrznej stronie nóg. Dzięki nim mógł wzbić się w powietrze.

Za wadę uważał brak umiejętności stawania się niewidzialnym. Krótkiej, niezwykle intensywnej chwili, kiedy to znalazł się tak blisko trzech świętych kamieni w krainie Lemurów, zawdzięczał niewiarygodnie długie życie, a być może nawet nieśmiertelność; nigdy nie ośmielił się tego sprawdzić. Blask bijący od kamieni uczynił go także częściowo przezroczystym, wprawdzie nie całkiem, ale kiedy pragnął się ukryć, potrafił przeobrazić się w połyskujący cień. Nie mógł jednak zniknąć bez śladu, jego obecność zawsze dawało się wyczuć. Niezmiernie go to irytowało, powinien był dotknąć świętych kamieni, powinien był je zabrać!

Nigdy nie marzył, nigdy nie odczuwał głodu. Rozkoszą jego życia były stosunki z kobietami - na wyznaczonych przez niego zasadach - i odwieczne marzenie, aby opuścić ten marny świat i udać się do tego innego, jasnego, tego, który znajdował się za tajemniczymi wrotami.

Wrota otworzyć mogły tylko trzy kamienie Lemurów.

Jeden z kamieni ujrzał nareszcie światło dzienne. Cudowny szafir.

Sigilion “wiedział już, w którym domu mieszka Taran, jej brat Dolg i czarnoksiężnik. Przysiadł na sąsiednim dachu, skąd miał widok na cały budynek, zwłaszcza na drzwi. Ponieważ był widzialny, z trudem przedostawał się do

zwykłych, dobrze chronionych domów mieszkalnych. Czasami jednak otwierano okna; Sigilion czekał teraz, aby okno otworzyło się w domu Taran.

Albo żeby ona sama wyszła.

Widział już Dolga i przeraziło go nadzwyczajne podobieństwo chłopaka do Lemurów, jego największych wrogów. Wprawdzie Lemurowie i Silinowie nigdy nie prowadzili ze sobą wojen, ich kraje bowiem leżały w zbytnim oddaleniu, ale Lemurowie posiadali skarb, kamienie, i już z tego powodu Sigilion uważał ich za nieprzyjaciół.

Zdawał sobie sprawę, że Dolga nie da się zaatakować, mogło się to skończyć katastrofą. Weźmie za to jako zakładniczkę jego siostrę, a wtedy Dolg będzie musiał oddać klejnot.

W dodatku młoda Taran okazała się niezwykle powabną kobietą. Przeciągnął wąskim językiem po wargach na wspomnienie chwili, kiedy ujrzał ją przed kilkoma dniami w lesie. Znalazł się wówczas tak blisko dziewczyny, obudziły się jego żądze, ledwie zdołał się pohamować.

Ale potem coś się stało...

Nie, ona sama miała w sobie jakąś moc sprawiającą, że trudno było jej dosięgnąć. Sigilion nie wiedział, że to dotknięcie szafiru w pewnym stopniu zapewniło Taran bezpieczeństwo. Za to później z lasu nadciągnęło coś, co chroniło ją jeszcze mocniej, nie zdążył się zorientować, co to takiego, sam musiał się ukryć, a potem dziewczyna zniknęła.

Teraz znów ją wytropił. Ponieważ trudno było ją pojmać, musiał podzielać na nią erotyzmem, tak aby nie miała sił mu się opierać.

I po prostu czekał.

Tego dnia widział ich wszystkich. Cała rodzina wspólnie opuściła dom, ale w obecności krewnych nie mógł tknąć Taran. Wkrótce jednak Taran wróciła wraz z parą starszych ludzi, kobietą, którą nazywała babką, i mężczyzną, do którego zwracała się Erling. Towarzyszyło im dwoje zwyczajnych młodych ludzi. To

dopiero połowa rodziny. Czarnoksiężnik, jego żona i dwaj synowie nie pojawili się do wieczora.

Na pewno wróca...

Sigilion usadowił się wygodniej.

Byстрыm wzrokiem wpatrywał się w nocną ulicę. Nadchodziła samotna kobieta.

Poczuł, jak rozpalają się w nim żądze...

Następnego dnia ze statku w bergeńskim porcie zszedł mężczyzna. Wąskimi, bladymi oczyma rozejrzał się dokoła. Nosił przypominający uniform płaszcz, miał bowiem zamiłowanie do mundurów, a za granicą nie pozwalano mu nosić jego własnego. W dodatku chciał zachować pełną anonimowość.

Nie było to wcale takie proste. Ludzie odruchowo oglądali się za sztywną postacią, uwagę zwracały także bardzo jasne, krótko przystrzyżone włosy i lodowato zimne oczy. To twarz, na której nigdy nie gości uśmiech, myślano, wydawało się bowiem, że właściciel używał ust jedynie do wkładania w nie jedzenia, obrzucania ludzi sarkastycznymi uwagami i wydawania poleceń.

Hrabia Rasmus Finkelborg zamówił dorożkę i rozkazał woźnicy zawieźć się do najlepszej gospody w mieście.

Niechętnie zapłacił za podwiezienie, bez napiwku, nie patrząc nawet na woźnicę, uważał bowiem, że to poniżej jego godności. Taki był jego sposób upokarzania plebejuszy.

Po ascetycznym posiłku - pieniędzy miał dość, lecz lubował się w żołnierskim stylu życia - zaczął się rozpytywać. Na początek wspomniał Erlinga Müllera, który, jak wiedział, pochodzi z Bergen. Baron von Bergenmüller...

Rzecz jasna nie mógł rozmawiać z nikim innym jak z samym oberżystą, lecz i wobec niego przybrał pogardliwy ton.

Gospodarzowi wcale się nie spodobał nowy gość. Jako jeden z tych, którzy z wielką niechęcią traktują wszelką podległość, miał na ogół złą opinię o wszystkim, co duńskie. Duńczyków goszczących u niego od biedy tolerował.

Ale nie tego.

Ten gość okazał się najbardziej aroganckim, zadzierającym nosa obrzydliwcem, jakiego zdarzyło mu się spotkać. Nie miał najmniejszej ochoty udzielać mu jakichkolwiek informacji.

Odpowiadał mu jednak z lodowatą uprzejmością.

- Owszem, Erling Müller mieszka tutaj, na tej ulicy, w tym wielkim białym domu. Nie było go w Bergen od wielu już lat, ożenił się bowiem z damą z austriackiej rodziny cesarskiej, z bocznej linii. Właśnie całą rodziną przyjechali w odwiedziny. Cóż za czarujący ludzie, wszyscy bez wyjątku! Miałem przyjemność obsługiwać wczoraj księżną panią, doprawdy wcale nie okazywała wyniosłości. Prawdziwa arystokratka! Pan Erling także. Jest teraz baronem.

Nie wiadomo, czy Rasmus Finkelborg pojął aluzję.

- Otaczają się czarownikami, prawda? - spytał nonszalancko. Wyjął tabakierkę, zażył tabaki i kichnął głośno, po męsku.

Oberżysta za kontuarem jeszcze bardziej się spiął.

- Nie nazwałbym zięcia księżnej czarownikiem. Owszem, on wiele potrafi, lecz swoje umiejętności wykorzystuje dla dobra innych.

Finkelborg sprawiał wrażenie niesłychanie znudzonego.

- A jego dzieci? Tacy sami bezbożnicy?

- O ile wiem, od czasu do czasu chodzą do kościoła, nie można więc ich nazwać bezbożnikami.

- Podobno ma jakiegoś dziwnego syna?

Twarz gospodarza się rozjaśniła.

- Jeśli młodego Dolga jaśnie pan ma na myśli, to on jest najzyczliwszą istotą stającą po ziemi! Pomógł mi zaprowadzić porządek w moim ogródku z ziołami.

- Słyszałem, że czarownik ma też córkę?

Jeśli wiesz aż tyle, to nie musisz mnie zadręczać, bryło lodu, pomyślał gospodarz.

- Owszem, ma troje dzieci, wśród nich czarującą córkę. Może trochę szaloną, ale bardzo sympatyczną.

- Czy oni także mieszkają u Müllerów? - spytał Rasmus, nie patrząc na oberżystę.

- Nie, wynajmują oddzielny dom na czas pobytu w mieście. Leży dwie przecznice stąd. Można go poznać po bogato zdobionej bramie.

Oberżysta miał zamiar dodać jeszcze, że czarnoksiężnik z rodziną udał się na Islandię, ale Finkelborg wyniosłym ruchem ręki kazał mu się oddalić. Rób sobie, co chcesz, pomyślał właściciel gospody i odszedł.

Rasmusa Finkelborga nie obchodzili Müllerowie. Odnalazł dom z okazałą bramą i wziął go pod obserwację.

Z kolei Sigilion ze swego punktu obserwował Duńczyka.

Król Silinów - król bez poddanych - zmienił miejsce, widział bowiem, jak starsze małżeństwo zabrało Taran do swej siedziby. Dlatego też Sigilion poszukał dachu, z którego roztaczał się widok na oba domy i rozdzielającą je ulicę.

Nie miał zamiaru informować nowego przybysza, że w domu czarnoksiężnika nikt nie mieszka. Niech ten człowiek sam się zorientuje.

Sigilion lubił mieć przewagę.

Dwie doby zabrało Rasmusowi odkrycie, co się stało. W końcu, wściekły, zaniechał wszelkich reguł ostrożności i zadzwonił do sąsiedniego domu tak gwałtownie, że o mały włos nie urwał dzwonka.

Służąca niewiele umiała mu powiedzieć. Obcy, a zwłaszcza jego twarz naznaczona podłużnymi bliznami, wydał jej się odrażający. Słyszała kiedyś, jak państwo rozmawiali o czymś podobnym, o niemieckich studentach fechtujących się dla zabawy wyostrzonymi szablami i szczycących się jak największą ilością blizn.

Ale ten człowiek mówił czystym językiem duńskim. Pewnie studiował w Prusach, doszła do wniosku dziewczyna. Słusznie, bo Finkelborg rzeczywiście tam studiował i przejął pruski ideał żołnierza, twardego, żyjącego po spartańska lrytowało go nawet, że nie jest Prusakiem, a tylko duńskim właścicielem ziemskim. Ale... mógł przecież uchodzić za jednego z żołnierzy elitarnych oddziałów krok Fryderyka II.

Dziewczyna potrafiła mu powiedzieć jedynie, że obecnie dom stoi pusty. Młoda dama, która w nim mieszkała, przeniosła się do swej babki i dziadka.

Finkelborg zauważył, że w domu bawiło przedtem jeszcze kilka osób, chyba nawet cała rodzina?

Owszem, ale oni wyjechali wcześniej.

Dokąd?

Tego służąca nie umiała wyjaśnić.

Finkelborg niczego więcej już się nie dowiedział, ale od razu się domyślił, kim jest babka Taran. To ta księżna, która poślubiła Erlinga Müllera. Znaczyło to, że musi wziąć pod obserwację ich dom.

Dwa zmarnowane dni! Rasmus ze złości zazgrzytał zębami. Często zgrzytał zębami, nie zdawał sobie sprawy, do jakiego stopnia są już starte i że z czasem, jeśli się od tego nie odzwyczai, będą sprawiać mu ból. Nie rozumiał także, że na ostre bóle głowy cierpi również właśnie za przyczyną zębów. Często to przypadłość u osób mocno zaciskających szczęki.

Przeniósł swój strategiczny punkt obserwacyjny w pobliże wielkiej posiadłości Müllerów, dawnej rezydencji hanzeatyckiej. Sigilion nie spuszczał z niego oka, patrzył, jak Finkelborg wyszukuje sobie kryjówkę, pusty magazyn na piętrze kupieckiego domu.

Sigilion zastanawiał się, o co chodzi temu człowiekowi, dlaczego i on pilnuje tej rodziny? I gdzie się podzieli tamci, czarnoksiężnik z żoną i synami? Została tylko Taran, tamtych od dawna nie widział. A Taran przeniosła się do tego drugiego domu.

Król Silinów nie panował nad sytuacją, a to uczucie było mu bardzo niemiłe. Od paru dni nie widział też dziewczyny. Ale dobrze wykorzystał ten czas...

Władze miejskie musiały się zająć rozwikłaniem niezwyklej zagadki. Co się stało z pięcioma ulicznicami? Zniknęły bez śladu.

Rasmus Finkelborg w kwestii Taran posunął się nieco dalej. Kilka drobnych, niewinnych pytań przyniosło rezultat: dowiedział się, że w domu Müllerów

odbędzie się bal, wydany na cześć księżnej Theresy, ale także i po to, aby troje młodych ludzi, którzy pozostali w mieście, Taran, Danielle i Rafael, mogło się zabawić i poznać bergeńską młodzież z wyższych sfer.

“Troje młodych ludzi, którzy pozostali w mieście? - spytał Finkelborg swego rozmówcę. - A co z resztą rodziny? Z braćmi Taran?”

Mężczyzna, z którym rozmawiał, popatrzył na niego zdziwiony. Czyżby naprawdę o niczym nie wiedział? Przed tygodniem pożeglowali na Islandię. Podobno mieli tam długo zabawić, może nawet parę miesięcy.

Twarz Finkelborga pobladła, rysy wyostrzyły się jeszcze bardziej. Odwrócił się na pięcie i odszedł bez pożegnania.

Na Islandię? Tak daleko, na prawie niedostępnej wyspę w samym środku nicości? I jeśli Dolg wyjechał, to zabrał też z pewnością szafir.

Na cóż w takiej sytuacji zda się pojmanie Taran jako zakładniczki?

Ścisnął trzymany w kieszeni cienki sznur, za którego pomocą zamierzał ją pochwycić. Miał wrażenie, że tą informacją zadano mu straszny cios, nie zdawał sobie sprawy, że oddalając się od nabrzeża chwieje się na nogach i zatacza.

Wreszcie jednak twarz mu się nieco rozjaśniła. Parę miesięcy to nie wieczność.

Dobrze wykorzysta ten czas, dowie się więcej o Taran, ona też z pewnością posiada wiele cennych informacji. Może trzymać ją w ukryciu, dręczyć i torturować, jeśli okaże się to konieczne.

Wszystko będzie dobrze!

Musi tylko zdobyć zaproszenie na bal. Wiedział już, do kogo powinien się zwrócić.

Wcześniej, korzystając z drobnej wymówki, odwiedził kantor Müllerów i poznał tam siostrę Erlinga, zimną, oddaną interesom damę, sprawiającą wrażenie ulepionej z tej samej gliny co on.

Okaże jej swoje zainteresowanie.

Rasmus Finkelborg rozumował słusznie. Siostra Erlinga Müllera dała się złapać na haczyk i z przyjemnością zaprosiła czarującego Duńczyka na bal.

Chyba tylko ona mogła uznać za czarującego lodowatego aroganta, jakim był Rasmus Finkelborg.

Rozdział 11

Taran promieniała radością.

Bal, bal we wspaniałym domu rodzinnym Erlinga! Mnóstwo młodych, sympatycznych Norwegów. Dziewcząt oczywiście także, ale w tej chwili ich obecność miała drugorzędne znaczenie. Rafael wyglądał tak pięknie, tak romantycznie, widać było, że to obdarzony darem bogów poeta, przybywali też kolejni młodzieńcy, których przedstawiano "trojgu austriackim dzieciom", jak o nich mówiono. Taran w równym stopniu czuła się Norweżką i Islandką, co Austriaczką, a ponadto dawno temu przestała już być dzieckiem, ale to przecież nieistotne szczegóły.

Danielle wyglądała uroczo niczym pączek dzikiej róży. Jej pierwszy bal. Taran dostrzegała jednak smutek w oczach dziewczyny. Nigdy jeszcze Danielle nie wyglądała tak pociągająco, a nie widział tego ani ubóstwiany przez nią Dolg, ani Villemann, wierny towarzysz dziecięcych zabaw.

Biedny Villemann, taki zakochany w Danielle, a ona nawet go nie zauważała! Taran wiedziała, że musi coś z tym zrobić, skierować myśli i zainteresowania dziewczyny w odpowiednią stronę, ale to później, kiedy bracia wrócą.

Sama Taran wyglądała wprost zjawiskowo i doskonale zdawała sobie z tego sprawę, ale kiedy chciała, potrafiła osiągnąć mistrzostwo w fałszywej skromności. Doskonale się bawiła udając wstyd i onieśmienie, a w odróżnieniu od Blitildy stać ją też było na autoironie. Od czasu do czasu musiała wychodzić do hallu, gdzie mogła się szczerze z siebie pośmiać. Wracała później i uczestniczyła w ceremonialnych powitaniach z wyrazem czystej niewinności na twarzy.

Babcia Theresa postarała się, aby wnuczka prezentowała się jak najpiękniej. Taran dostała nową białą sukienkę, ozdobioną bukietami jasnoniebieskich i różowych kwiatków, tak szeroką, że na biodrach musiała mocować specjalną konstrukcję podtrzymującą spódnicę. Wycięcie sukni było skandalicznie głębokie,

ale cienusieńki woal niwelował nieco tę śmiałość. Do sukni dobrano parę jedwabnych trzewiczków na obcasie.

No i włosy. Babcia uważała, że nie należy ukrywać pięknych ciemnych włosów Taran, ale madame, która przyszła pomóc w ułożeniu koafiury, nalegała, aby kierować się najświeższą modą z Paryża.

Włosy Taran nasmarowano więc klajstrem z mąki i wody, sterczały po tym na wszystkie strony. Taran zaśmiewała się z tego do łez. Potem madame ułożyła z nich kunsztowną fryzurę - wronie gniazdo, stwierdziła natychmiast Taran - i przypudrowała całość na biało.

- Jeśli teraz przyleci ptak, to skąła własne gniazdo - mruknęła Taran.

I, wiercie albo nie, ale madame próbowała umieścić na czubku fryzury sztucznego rajskiego ptaszka! Taran jednak gwałtownie zaprotestowała, twierdząc, że ptaszek przyda fryzurze nadmiernego realizmu. Nieco urażona madame ozdobiła więc włosy dziewczyny jasnoniebieskim kwiatkiem z jedwabiu.

- Ratunku, jak ja się będę ruszać z tą latarnią morską na głowie - jęczała Taran, musiała jednak przyznać, że wygląda naprawdę interesująco. Gdy później pojawiło się jeszcze kilka dam z podobnymi sięgającymi nieba fryzurami, uznała, że jej nie jest wcale najgorsza.

Przez długą chwilę stała przed wielkim lustrem. Wyginając się i obracając, z zapartym tchem podziwiała swoje odbicie.

- Ślicznie wyglądam, wprost nieprzyzwoicie pięknie, prawda, Urielu?

Nie otrzymała odpowiedzi, zresztą wcale się jej nie spodziewała. Uriel nigdy się nie odzywał, kiedy przymawiała się o komplement.

Taran zdążyła już wypatrzeć sobie trzech młodych mężczyzn z zamiarem zaangażowania ich na cały wieczór. Rafaela postanowiła zostawić w spokoju, jego widywała wszak na co dzień. Jej wybór padł na uczonego Bartolomeusa, bawidamka Jarla i zamkniętego w sobie Nilsa Fredrika. Taran lubiła mężczyzn, z którymi trudno się flirtowało, traktowała to jako wyzwanie.

Sztywna i wyniosła siostra Erlinga, Christine, przedstawiła młodego człowieka, z którego była nadzwyczaj dumna. Odnosiło się wrażenie, że podstarzała dama podbiła serce młodzieńca i za wszelką cenę pragnie pokazać wszystkim swoją zdobycz.

Taran zdrzętała na jego widok. Nie wierzyła, aby przedstawiony jej hrabia Rasmus Finkelborg w ogóle miał serce. Nie widziała chyba nigdy bardziej pozbawionego uczuć aroganta. Wydawało się jednak, że on z jakiegoś powodu interesuje się Taran, czego ona nie mogła pojąć, wcale jej się to też nie podobało. Jeszcze mniej zachwycona była tym Christine, Taran poznała to po jej ostrych jak sztylet spojrzeńiach i po tym, że hrabia został jak najprędzej pociągnięty gdzieś dalej. Christine nie znosiła rywalek.

“Myślisz, że on ma się czym pochwalić tam na dole, Urielu? pomyślała rozbawiona Taran. “Chyba jakimś malutkim sopłem lodu!”

“Taran, nie wolno ci się wyrażać w ten sposób!” usłyszała w odpowiedzi.

“Dlaczego? Bo pójdę do piekła, tym próbujesz mi grozić? O, nie, przecież sam nie wierzysz w piekło, masz informacje z pierwszej ręki na temat Tamtego Świata, a poza tym zorientowałam się, że trudno ci zachować powagę. Wyobraź sobie, że sople lodu stopnieje w ciepłe. Myślisz, że hrabia zostanie wówczas upomniany za to, że narobił w spodnie?”

W głosie Uriela zabrzmiał zduszony śmiech. “Taran, czy naprawdę musisz być taka wulgarna? Proszę cię o trochę powagi. W ten sposób nie mam szans, by zostać aniołem!”

Ludzie witający się z Taran w hallu nie mogli pojąć, z czego dziewczyna tak się śmieje. Jej rozbawienie było jednak zaraźliwe, gościom także udzielał się wesoły nastrój.

Liczono się z tym, że kolacja podana zostanie dość późno, rozpoczęto więc od krótkiego poczęstunku powitalnego, składającego się z maleńkich eleganckich kanapeczek z wędliną i szklaneczki najlepszego domowego wina z rabarbaru, po

czym zapowiedziano tańce. Miały to być tańce z figurami, zarówno francuskie, jak i norweskie, "chłopskie", jak wyraziła się jedna z nadętych mieszczek.

Taran z zapalem uczestniczyła w tej zabawie, a mężczyźni starali się przytrzymać ją jak najdłużej przez poszczególne figury, zanim porwał ją następny kawaler.

Jeśli to wronie gniazdo się rozleci, będzie prawdziwy skandal, przemknęło Taran przez głowę.

Włosy jednak były porządnie zaklajstrowane i żadna katastrofa się nie wydarzyła.

Rafaël ujął ją za rękę i poprowadził do następnej figury.

- Rafaëlu, już się zdecydowałam - poinformowała go cicho.

- O czym myślisz?

- Jadę z babcią i Erlingiem do Christianii.

- Doskonale! Danielle i ja także zamierzamy im towarzyszyć. Pragniemy zobaczyć jak najwięcej. I trochę się niepokoiłiśmy, że zostaniesz tutaj całkiem sama.

- Kochany Rafaëlu, o mnie nigdy nie należy się martwić! Zawsze dam sobie radę.

- Owszem, nie raz już to widzieliśmy. Dlaczego zmieniłaś decyzję?

- Ponieważ doszłam do wniosku, że w ten sposób znajdę się w połowie drogi do Morza Bałtyckiego.

- Nie zamyślasz chyba...

- Mam swoje plany.

- Taran, nie wolno ci!

- Może zabiorę cię z sobą?

Otworzył usta, by surowo ją zganić, ale Taran już przeszła do następnego kawalera. Szeroko uśmiechnęła się do Rafaëla, ale jego oczy błysnęły ostrzegawczo.

Kiedy spotkali się w kolejnym okrążeniu, Rafaël zaczął bez wstępów:

- Taran, jesteś szalona! A twoje pomysły jeszcze bardziej nie na miejscu wydają się dzisiejszego wieczoru, kiedy piękna niczym egzotyczny kwiat królujesz wśród śmietanki towarzyskiej tego miasta. I mówisz o wyprawie nad Bałtyk! Samotnie!

- Nie, postanowiłam, że ty będziesz miał okazję cieszyć się moim duchowionym towarzystwem.

- Duchowiona? Ty? Nie znam nikogo innego, kto tak obcesowo, ciężkimi butami potrafi zdeptać najbardziej nastrojowy moment. Nie pojedę z tobą. Czy ty masz pojęcie, jak wielkie jest Morze Bałtyckie? Gdzie chcesz rozpocząć poszukiwania? I czego będziesz szukać?

- Nie bądź taki drobiazgowy, Rafaelu! Ja... do diaska, muszę iść dalej. Wyjaśnię ci to w następnej rundzie.

Taniec jednak się skończył, zanim znów się spotkali, a później porwali ją inni młodzieńcy. Taran tak zawzięcie flirtowała z obytym w świecie Jarlem, że Uriel dosłownie prychnął jej do ucha. On, zawsze taki spokojny, dobroduszny i łagodny, a przynajmniej taki powinien być. Najwidoczniej wyprowadził go z równowagi ciężar odpowiedzialności za Taran, której tak niechętnie się podjął.

W towarzystwie Bartolomeusa Taran odgrywała rolę mądrej i wykształconej, zaimponowała mu swoją wiedzą. Zaproponował nawet, aby usiedli gdzieś i porozmawiali dłużej.

Taran przystała na to, a Uriel syknął: "Nudziarz! I jak on się prezentuje!", Taran natomiast skorzystała z okazji, by wypytać swego rozmówcę o Bałtyk. Niestety Bartolomeus, Norweg, w dodatku pochodzący z zachodniej części kraju, musiał przyznać, że niewiele wie o tym morzu.

Długo zresztą nie posiedzieli w spokoju, bo młody Jarl poprosił piękną pannę do kolejnego tańca.

Za każdym razem, gdy Taran tańczyła z pochmurnym, zamkniętym w sobie Nilsem Fredrikiem, starała się go zauroczyć. Uriel nie omieszkał wyrazić swego oburzenia. "Co chcesz osiągnąć? Pragniesz, aby się w tobie zakochał?"

"Oczywiście", odparła Taran. "A potem? Ktoś taki jak on nigdy o tobie nie zapomni. Gdy ty już znudzisz się zabawą, gotów odebrać sobie życie!"

Taran zrozumiała, że jej opiekun ma rację, i poprosiła o wybaczenie za lekkomyślność. Od tej pory starała się być bardziej powściągliwa w demonstrowaniu swych wdzięków.

Sprawiający wrażenie bryły lodu kawaler Christine przez cały czas nie spuszczał z Taran oczu. Miał nadzieję, że Christine tego nie zauważa.

Nie tańczył jednak, widać uznał, że to uwłacza jego godności. Należał do ludzi, którzy za wszelką cenę zabiegają o prestiż, do ostatniego tchu zachowywać będą chłód i opanowanie. Hrabia Finkelborg sprawiał wrażenie, że po brzegi przepelnia go uwielbienie dla własnej osoby. Taran miała wielką ochotę wbić mu w zadek szpilkę, tylko po to, by zobaczyć, jak z twarzy spada mu kamienna maska i jak zanosi się przeraźliwym, kobiecym krzykiem.

“Nie rób tego”, przestrzegł ją Uriel. “To ty na tym stracisz”.

“Posłuchaj, łotrze”, zirytowała się Taran. “Twierdziłeś, że nie potrafisz czytać w moich myślach”.

“Wychwytyuję płynące od ciebie impulsy, nic poza tym”.

Mam w to wierzyć? zastanawiała się Taran. Chwilę porozmawiała z babcią i Danielle i ośmieliła się wreszcie zasugerować coś młodsiutkiej pannie.

- Danielle, powinien cię teraz zobaczyć Villemann! Nigdy nie wyglądałaś tak uroczo jak dzisiaj!

Danielle popatrzyła na nią zdziwiona, potem zarumieniła się i wyraźnie zmieszana. Wreszcie jednak rozjaśniona odwzajemniła komplement.

- Dziękuję - odparła Taran wielkodusznie. - Rzeczywiście muszę przyznać, że nieźle dzisiaj wyglądam.

Ponieważ jednak powiedziała to z humorem, obie mogły się śmiać z jej słów.

Muzykanci zrobili sobie krótką przerwę na łyk piwa. Taran oświadczyła, że musi zaczerpnąć świeżego powietrza, i wyszła na balkon.

“Poza wszystkim nie nazywa się swego anioła stróża łotrem!”

“Ależ, Urielu! Wciąż o tym myślisz? Czy wybaczysz mi, jeśli ci zdradzę, że powiedziałam to pieszczotliwie?”

“Co rozumiesz przez »pieszczotliwie« ?”

“Nie mam na myśli zaciągania cię do łóżka i sprawdzania, jak reagujesz na moje pieszczoły, tylko »z czułością, z oddaniem«„.

Jeśli prawie - anioł może zachłysnąć się powietrzem i doznać wstrząsu, pewnie spotkało to Uriela, ale Taran nie miała pewności. W każdym razie zapadła zdradzająca głęboką urazę cisza.

Wielu mężczyzn spoglądało za wychodzącą Taran, gotowych, by za nią pospieszyć, ale najszybszy okazał się hrabia Rasmus Finkelborg. Pozostali musieli zrezygnować.

W głowie Taran znów rozległ się głos Uriela, tym razem wysyłał ostrzegawcze sygnały. “Uważaj na niego, nie wiem, kim on jest, ale wyczuwam fale, jakie od niego biją. Ma nieczne zamiary”.

Taran nie miała najmniejszej ochoty na nawiązanie bliższej znajomości z Finkelborgiem, uspokoiła więc Uriela. Stała oparta o balkonową balustradę, spoglądając w jasną letnią noc. Lekka mżawka spowijała okolicę delikatną mgielką, dodając jej jeszcze uroku i tajemniczości.

Finkelborg oparł łokcie na balustradzie obok dziewczyny.

- Właśnie przybyłem do pani czarującego miasta - oznajmił. W jego ustach słowo “czarujące” zabrzmiało jak przekleństwo. - Czy mógłbym prosić, by podjęła się pani jutro obowiązków mojej przewodniczki?

Cóż za bezpośredniość! Zresztą przypominało to raczej rozkaz niż uprzejmą prośbę. Czyżby nie umiał prowadzić lekkiej, swobodnej konwersacji?

Taran odparła, że, niestety, nie ma czasu, bo musi...

Nie zdążyła dokończyć zdania, kiedy on złapał ją za rękę.

- Możemy iść już teraz. Ten idiotyczny bal jest całkiem niepotrzebny.

Taran usiłowała przyciągnąć rękę do siebie, ale trzymał ją mocno, jak w stalowych kleszczach. Bez słowa pociągnął ją ku schodkom prowadzącym do ogrodu.

- Proszę mnie puścić! - zażądała trochę wystraszona Taran.

Gdyby akurat nie przyszedł po nią Rafael. Rasmus Finkelborg zabrałby ją z domu, była tego więcej niż pewna.

Dlaczego? Po co? Nie mogła uwierzyć, że kierowały nim miłosne zamiary, ani szlachetne, ani nieczyste. Z całą pewnością w jego żyłach płynęła lodowata woda, nie krew. Czegóż więc od niej chciał?

Puścił ją bardzo niechętnie, wydawało się nawet, że ocenia, czy mimo wszystko nie uda mu się jej porwać, być może odepchnąć albo powalić młodzieniaszka, który przeszkodził mu w realizacji planu. Zapanował jednak nad sobą i sztywno się uklonił.

- Innym razem, panno Taran.

Na pewno nie, odpowiedziała mu w myślach, z radością wchodząc z Rafaelem do środka.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo ucieszył mnie twój widok, kochany braciszku.

- To mama zaczęła się o ciebie niepokoić. Nie spodobał się jej kawaler Christine.

Nie jestem twoim bratem, Taran - poprawił ją łagodnie. - Tylko przybranym wujem, a to zupełnie coś innego.

Popatrzyła na niego w świetle bijącym z otwartych drzwi sali balowej.

Czyżby jednak Rafael się nią zainteresował?

Nie, chyba nie.

Wiele lat upłynęło od czasu, kiedy znaleźli przestraszonego, zagłodzonego chłopca, przykutego do łóżka w Virneburg. Rafael dorósł. Chociaż wzrostem niewiele przewyższał Taran, był zdrowym, dobrze zbudowanym młodym mężczyzną, umiejącym się o siebie zatroszczyć.

Co nie zawsze dało się powiedzieć o Taran.

“Nie podoba mi się ten bal”, poskarżył jej się do ucha Uriel. “Zbyt wielu szczeniaków kręci się wokół ciebie”.

“Ależ, Urielu, nie jesteś chyba zazdrosny?” odparła w myślach Taran.

Spodobało jej się to i rozbawiło. Uriel jednak gorąco zaprzeczył, twierdząc, że chodzi mu tylko i wyłącznie o to, że musi jej strzec, aby w przyszłości z nową siłą

móc powrócić do swego trzeciego wymiaru. Sprawa wyglądała jednak na dość beznadziejną, bo podopieczna w niczym nie starała mu się pomóc, przeciwnie. "Strzec mnie, przed czym?" zniecierpliwiała się Taran. "Masz na myśli moją cnotę?" "Twoje życie", odparł.

Rzeczywiście, dziś wieczorem miał ku temu powody, pomyślała Taran. Po plecach przebiegł jej zimny dreszcz.

Rozdział 12

- Neeee! - zawodziła Taran, szarpiąc się za włosy. Siedziała w wielkiej balii w pokoju kąpielowym. - Nigdy nie pozbędę się tego klajstru! Spójrz tylko, jaka woda! Jak rozmoczone ciasto!

- Zmienimy wodę jeszcze raz - spokojnie odparła Danielle. - Ale przyznaję, cieszę się, że mnie to ominęło.

Danielle miała bardziej tradycyjną fryzurę, z małymi loczkami przylegającymi do głowy i paroma "świderkami" na skroniach. Ale i jej włosy przypudrowano na biało i udekorowano drobnymi kwiatkami. Suszyła teraz głowę po splukaniu pudru.

- Madame chyba nie wiedziała, jak to należy zrobić - parsknęła Taran. - Ach, do cho... Przepraszam, nic nie słyszałaś. Na pewno doszły ją tylko jakieś plotki z dworu w Wersalu i spróbowała własnych sposobów. Mam na głowie jeden wielki kołtun. Wszędzie grudki mąki, to zupełne szaleństwo. I te rzeczy, których użyła, żeby zbudować fryzurę! Zobacz, leżą na krześle: wałki z ubitej wełny, nawet skórka chleba. Nic dziwnego, że tak mnie swędziało. Nigdy, nigdy więcej!

- Amen - potwierdziła Danielle. - Ale wyglądałaś ładnie.

- Rzeczywiście - roześmiała się Taran. - Naprawdę, naprawdę ładnie.

Po trzykrotnej zmianie wody Taran nareszcie była zadowolona. Ciemne loki błyszcząły jak nigdy.

- Cieszę się, że jedziesz z nami do Christianii - powiedziała Danielle. -

Wyżywamy we wtorek.

- Jestem gotowa - zapewniła Taran. - Gotowa na nowe przygody.

“Uff”, westchnął pełen złych przeczuć Uriel.

Móri i jego synowie minęli Wyspy Owczę. Koło Szetlandów potężnie wiało, ale teraz na morzu panowała cisza. Długie fale przelewały się leniwie.

Znaleźli się już tak daleko na północy, że słońce prawie w ogóle nie zachodziło. W jasną noc stali na pokładzie, rozkoszując się ciszą, przerywaną tylko niekiedy łopotaniem żagla lub lekkim trzeszczeniem kadłuba czy bomu, pod kilem pieniała się woda. Tiril spała w kajucie.

Załoga przebywała na rufie, oni zaś stanęli z samego przodu, na dziobie.

Wtedy właśnie poczuli, że duchy znów im towarzyszą.

- Villemannie, weź moją runę umożliwiającą widzenie duchów - mruknął Móri.

On i Dolg mogli je widzieć bez żadnych wspomagających środków.

Wokół nich zebrały się wszystkie duchy, cała ósemka, oraz Cień. Nero zamerdął ogonem.

- Bądźcie pozdrowieni - powitał przybyszy Móri, a obaj chłopcy nisko się skłonili. -

Przez wiele lat tęskniliśmy za wami.

- My także - Nauczyciel uśmiechnął się lekko. - Bardzo się nudziliśmy.

- To znaczy, że teraz znów czeka nas zabawa? - spytał Móri z sarkazmem. -

Wiem. co was bawi: przeszkody, trudności, niebezpieczeństwo.

- Obawiam się, że przynosimy niedobre wieści - odparł Nauczyciel, teraz już bez uśmiechu. Uczynił gest w stronę Cienia, wskazujący, że to on powinien zabrać głos.

Móri z lękiem spoglądał na możnego opiekuna Dolga.

- Rzeczywiście, sprawa jest poważna - przyznał Cień. - Pamiętacie, wspominałem już o Sigilionie, królu Silinów.

- Tak?

- Zabił kardynała von Grabena.

- Czy to takie straszne? - wtrącił się Villemann. Móri prędko go uciszył.

- Kardynał najpewniej opowiedział mu o waszej wyprawie na północ. A ponieważ Dolg jest za dobrze strzeżony, zalecił mu zaatakować Taran.

- Och, nie! - jęknęli wszyscy trzej.
- Musimy wracać! - gorączkował się Móri. - Czy uda nam się nakłonić szypra, żeby zawrócił z kursu?
- Cień podniósł rękę.
- Spokojnie! Nie wysłuchaliście jeszcze wszystkiego.
- Powinniśmy byli ją zabrać! - robił sobie wyrzuty Dolg.
- Nie, byłoby jeszcze gorzej - stwierdził Nauczyciel. - Wówczas Sigilion zaatakowałby was, a to opóźniłoby waszą podróż. Niestety, mam jeszcze jedną wiadomość, zanim powiem, co może uratować dziewczynę.
- Powiedz wreszcie wszystko - poprosił przygnębiony Móri.
- Rycerze Świętego Słońca także polują na Taran. Mają wobec niej takie same zamiary: wziąć ją jako zakładniczkę i w ten sposób zmusić Dolga do wydania szafiru. Ani rycerze jednak, ani Sigilion nie wiedzieli, że wyjechaliście na Islandię. Teraz być może już to wiedzą, rycerz w każdym razie na pewno.
- Kto to taki? Brat Lorenzo?
- Nie, Lorenzo jest już za stary. To nowy nabytek, paskudny typ, całkowicie pozbawiony skrupułów. Nazywa się Rasmus Finkelborg.
- Móri jęknął cicho.
- Na Taran czyha więc niebezpieczeństwo z dwóch stron?
- To prawda. Ale teraz lepsza nowina...
- Czy ktoś z was jej pilnuje?
- To niemożliwe, ja odpowiadam za Dolga, a pozostali tu obecni należą do ciebie, Móri.
- Przecież Nidhogg i Zwierzę czuwali nad Tiril?
- Ale zrobić nic nie mogli. My jednak nie jesteśmy potrzebni Taran. Pozostaje pod możliwą opieką.
- Jak to?
- Po pierwsze, dotknęła kiedyś cudownego szafiru. Dawno temu przyciskała go do piersi. Po drugie, zmieniono jej anioła stróża, czy, jak wolisz, ducha opiekuńczego.

- Zmieniono? Co chcesz przez to powiedzieć?

Cień nonszalanckim gestem podniósł ręce do góry.

- Ktoś w wyższych sferach doszedł do wniosku, że duch, którego jej przydzielono, nie poradzi sobie z zadaniem. Właściwie zgłosił to sam ten duch, drobna, przypominająca elfa istota. Taran stała się dla niego zbyt trudną podopieczną.

- Wyobrażam sobie - pokiwał głową Villemann.

- Kiedy więc teraz zawisło nad nią podwójne niebezpieczeństwo, postanowiono przydzielić jej opiekuna z wyższego wymiaru, niemal anioła.

- Czy on jest dostatecznie silny?

- Powinien być. Kłopot polega na tym, że Taran go widzi. I drwi sobie z niego.

- O mój Boże - mruknął Dolg.

Cień podjął:

- On z pewnością poradzi sobie z tym lodowatym przedstawicielem Zakonu. Ale Sigilion..

Móri głęboko nabrał powietrza

- Kim naprawdę jest ten Sigilion? To właściwie wiemy, ale czym on jest?

Cień zamyślił się:

- Silinowie...? Musimy cofnąć się daleko, bardzo daleko w czasie. Mniej więcej dwieście milionów lat.

- Czy ty jesteś taki stary? - z niedowierzaniem spytał Dolg.

- Nie, ja nie. Mówimy teraz o pochodzeniu Silinów. Musimy wrócić do czasu wielkich jaszczurów, do okresów geologicznych zwanych triasem, jurą i kredą.

Móri, Dolg i Villemann popatrzyli po sobie. Nie zabrzmiało to zanadto przyjemnie.

- Rozwinęło się wówczas wiele gatunków gadów, które później wyginęły - ciągnął

Cień. - Od chodzącego na dwóch nogach niedużego dinozaura, którego wy,

ludzie, nazywacie Saltoposuchus, wywodzi się gad latający zwany

Rhamphorhynchus, praprzodek olbrzymich gadów latających, pteranodonów,

które pojawiły się w okresie kredy przed mniej więcej stu czterdziestoma pięcioma milionami lat.

- Rzeczywiście może się od tego zakręcić w głowie - przyznał Villemann. - Ale to bardzo interesujące. Mów dalej!

- Widzicie, istniał także inny gatunek gadów, nieduży, coś pośredniego między Saltoposuchusem a pradawnymi gadami latającymi. Gatunek ten rozwijał się odrębnie, zaniknął mu ogon, zaczął poruszać się na dwóch nogach, przy kończynach miał błonę. Wyróżniał się wielką inteligencją i dlatego przeżył. To właśnie byli Silinowie. Ludzie jednak nie odnaleźli żadnych ich śladów. Silinowie wyginęli w tym samym czasie, co moi pobratymcy, Lemurowie, wszyscy, oprócz Sigiliona, który wszedł do naszej świątyni, gdzie przechowywaliśmy trzy kamienie. Nie udało mu się ich skraść, ale promienie, które na niego padły, niezwykle wydłużyły mu życie. Czy zyskał przy tym nieśmiertelność, nie wiemy. Dolg i Villemann pomyśleli o tym, że obaj dotykali niebieskiego szafiru. Może i oni stali się nieśmiertelni?

Chyba nie, do tego potrzeba wszystkich trzech kamieni.

- Sigilion jest więc jaszczurką? - spytał z pozoru obojętnie Móri, ale w jego głosie dało się wyczytać niepokój.

- Czymś pośrednim. Jaszczurką o wzroście i inteligencji człowieka. Obdarzoną przy tym wieloma innymi cechami, których człowiek nie posiada.

- Jakimi?

Cień zawahał się.

- Hmm... w to nie będę się zagłębiać. Ale błędne ogniki opowiadały mi, że Sigilion przez krótki okres swego długiego życia obleciał świat i poznał wszystkie języki, nauczył się bardzo wiele o ludziach i ich słabościach. Stało się to jednak dla niego niebezpieczne, powrócił więc do swej dobrze ukrytej siedziby i tam pozostał. Do czasu aż niebieski kamień ujrział światło dzienne.

Statek uderzony mocniejszym powiewem nocnego wiatru zakołysał się, ale zaraz odzyskał równowagę. Villemann badawczo przyglądał się duchom ojca. Ostatni raz widział je, kiedy był jeszcze dzieckiem. Teraz starał się jak najlepiej zapamiętać ich wygląd, aby przypadkiem ich nie pomylić z nieznanym Sigilionem.

Byli tam Nauczyciel, Duch Zgasłych Nadziei, Nidhogg i Zwierzę, istoty, których widoku większość ludzi by nie zniosła. Dalej niewidzialna Pustka, której obecność tylko się wyczuwało, wokół i w głębi własnej duszy, dwie piękne panie: Powietrze i Woda, a także przystojny Hraundrangi - Móri. Aż dziwnie się robiło na myśl, że to dziad Villemanna.

No i Cień, nadzwyczaj potężny opiekun Dolga. Właściwie nie należał do gromadki duchów, ale teraz się do nich przyłączył, Dolg bowiem znajdował się tutaj.

- Wspominałeś o innym jeszcze ludzie - zwrócił się Dolg do Cienia. - O plemienu żyjącym na stepach za krainą Silinów.

- Tak, rozmawiałem o nich z moimi oswobodzonymi krewniakami. Twierdzą, że Madragowie, jak zwie się ten lud, właściwie wyginęli. Ale Sigilion zdołał porwać czterech z nich i trzyma ich w niewoli w swoim zamku. W jaki sposób zdołał przedłużyć im życie, tego nie wiem.

- Jakiego rodzaju to istoty?

- Nie wiem - wolno odparł Cień. - Ale kojarzy mi się z nimi określenie zasłyszane w czasach, kiedy żyłem na ziemi: bawoli lud. Silinowie - jaszczurczy lud.

Madragowie - bawoli lud. Nie mam jednak pewności, na ile jest to prawdą.

- Czy możemy uwolnić tych czterech Madragów? - równocześnie spytali Villemann i Dolg.

Cień spojrzał na nich z uśmiechem.

- Jakie to podobne do dzieci Tiril i Móriego! Nie śmiem odpowiadać na to pytanie.

Czekają nas teraz ważniejsze sprawy. Zobaczmy później. Jeśli przeżyjemy.

- Ale nie możemy zostawić Taran samej w obliczu podwójnego zagrożenia ze strony Sigiliona i Finkelborga - zaprotestował Móri.

Wtrąciła się piękna pani powietrza:

- Podejmę się zaglądać do niej od czasu do czasu, ale nie będę mogła nic zrobić poza złożeniem wam sprawozdania z tego, co zobaczę.

- Tak, jak ja i Zwierzę byliśmy przy Tiril - powiedział ochryplym głosem Nidhogg. - Wiesz przecież, Móri, że jesteśmy związani z tobą.

- Wiem. Co więc zrobimy? Niech Dolg i Villemann jada sami na Islandię, aby wykonać zadanie, a Tiril i ja wrócimy do Norwegii. Wy ze mną.

- To niemożliwe, Móri - tłumaczył Nauczyciel. - I ty, i my musimy być na Islandii. A Ciebie towarzyszy Dolgowi. Trzeba wierzyć, że anioł stróż Taran poradzi sobie z nowym zadaniem, które zaiste nie będzie łatwe!

Cień przez chwilę stał pogrążony w myślach. Powiedział z wahaniem, jakby słowa rodziły się z napływających myśli:

- Zaczekajcie chwilę...

Czekali, jak ich o to poproszono.

- Sigilion ma pewną wstrętną cechę, o której przed chwilą nie chciałem wspominać. Ale być może zdołamy ją obrócić na naszą korzyść.

- Tak? - odezwał się Móri, kiedy cisza zanadto się przedłużała.

Cień popatrzył na nich rozjaśnionymi oczyma:

- On nie potrafi obyć się bez kobiet i działa na nie niemal paraliżująco.

- Uf - westchnął Móri.

- Wydaje mi się jednak, że wiem, co powinniśmy zrobić. W Norwegii mieszka pewien ród, bardzo szczególny ród, posiadający zdolności różniące go od innych ludzi. Toczą oni swą własną walkę z przerażającym przodkiem...

- Ale to ludzie, zwykli, tacy jak my. Nie możemy ich w to wciągać! - zaprotestował Móri.

- Nie, żywych nie! Obecnie żyje aż czworo obdarzonych niezwykleymi zdolnościami, lecz ich nie będziemy angażować. Ale także ich zmarli wciąż istnieją, jako duchy, a wśród nich są dwie nadzwyczaj silne indywidualności. Olśniewająco piękna kobieta, czarownica, i jej wuj, bardzo dobry człowiek, obdarzony magicznymi zdolnościami mogącymi się równać z twoimi, Móri. Chyba poproszę ich o pomoc, zwłaszcza ją. Ona zdoła odciągnąć uwagę Sigiliona od Taran. Ta piękność jest na tyle diaboliczna, aby potraktować naszą prośbę jako wyzwanie, a i zadanie z pewnością jej się spodoba.

Milczeli.

- Co to za rodzina? - spytał w końcu Villemann.

A Cień odpowiedział:

- Nazywają ich Ludzie Lodu.

Rozdział 13

Następny wieczór był ostatnim, jaki spędzali na pokładzie statku. Na horyzoncie dały się już dostrzec szczyty wysokich wulkanów Islandii.

Tiril i Móri stali na dziobie, zapatrzeni na ląd.

- Cudownie tu wrócić - powiedziała Tiril. - Chociaż ogromnie niepokoję się o Taran.

- Dobrze, że ze mną jedziesz - wyznał Móri. - Bardzo się cieszę, że znów zobaczę swój kraj i pokażę go synom.

Tiril zdziwiona odwróciła głowę, podniosła wzrok w górę na maszt.

- Co się stało? - spytał.

- Nie wiem - odpowiedziała. - Pewnie tylko żagiel załopotał.

Móri spojrzał w górę, ale nic nie zauważył.

- Jakby jakiś cień nad nami przeleciał - zadrżała Tiril. - Zejdźmy na dół.

Móri kiwnął głową i rzuciwszy ostatnie spojrzenie na maszt, ruszył za żoną.

Sternik także coś zauważył. Miał wrażenie, jakby zawisła nad nim czarna chmura.

Stał na rufie i na maszt z żaglami patrzył z innej perspektywy.

Dostrzegł coś. Z całych sił wytężył wzrok.

Czy czegoś tam nie było? Przy samym maszcie? Wysoko na rei?

Nie, to niemożliwe, chyba ma omamy! Tak szczupłego człowieka nie ma na pokładzie. Ptak? Drapieżne ptaki w pozycji siedzącej potrafią wyglądać na szczupłe i wysokie.

Nie, za duże jak na ptaka.

Unieruchomił ster i zszedł na dół po kapitana. Idąc mrucał pod nosem modlitwę.

Sigilion dość już zobaczył. Zrozumiał, że Dolg ma zbyt mocną ochronę, poczuł to aż do szpiku kości. Na pokładzie znajdowały się niewidzialne istoty, z którymi być

może mógłby podjąć walkę, ale nie miał czasu, by to sprawdzić. Nie powinien też tracić sił na starcie.

Eleganckim ruchem wznosił się z masztu. Dzięki błonom ślizgał się nad wodą w stronę Norwegii, by wrócić do realizacji pierwotnego planu. Tutaj tylko chciał coś sprawdzić.

Tak, cudowny szafir z pewnością znajdował się na pokładzie, ale całkowicie nieosiągalny. Musi zdobyć coś na jego wymianę. Taran...

Kiedy sternik wrócił z szyprem, maszt wyglądał zwyczajnie. Biedny marynarz nasłuchiwał się pouczeń.

Taran przed wyjazdem do Christiana przez dwa dni nie opuszczała domu, więc ani Sigilion, ani Rasmus Finkelborg nie mogli się do niej zbliżyć.

Rekonesans Sigiliona zakończył się dla niego niemal katastrofą, kiedy bowiem wrócił do Bergen, znów pilnował pustego domu, tym razem przez trzy dni. Widział służących, wchodzących i wychodzących kilkakrotnie w ciągu dnia, starą jędzę, czyli siostrę Erlinga, najwidoczniej właścicielkę tej rudery. Sigilion wszystkie domy mniejsze od zamków uważał za rudery. A przecież siedziba dynastii Müllerów była naprawdę okazała.

Kiedy wreszcie zrozumiał, że ptaszek wyfrunął z klatki, i to nie sam, było już za późno. Sigilion nie miał kogo spytać.

Natomiast Rasmus Finkelborg zdobył wiadomości.

Nie było go na posterunku, kiedy rodzina opuszczała dom, statek do Christiana bowiem odpływał bardzo wcześnie rano, a Rasmus spał, szczerze przekonany, że tak samo czynią wszyscy inni.

Swój błąd jednak odkrył wcześniej niż Sigilion, bo już pierwszego dnia.

Choć sama myśl napawała go obrzydzeniem, musiał jeszcze raz odwiedzić Christine, siostrę Erlinga. Zdawał sobie sprawę, że może zostać nieprzychylnie przyjęty, gdyż opuścił bal tak nagle, bez uprzedzenia, nie mówiąc już o podziękowaniu.

Nie miał ochoty spotykać się z tą damą, niestety innego wyjścia nie miał. Będzie musiał wypić to piwo, uznał, jak zwykle nawet myśląc frazesami. Kiedyś w szkole, gdy miał napisać wiersz, użył tylu przysłów, cytatów i wytartych frazesów, że nauczyciel spytał, czy naprawdę nie posiada bodaj odrobiny wyobraźni. Cała grupa wybuchnęła śmiechem, a Rasmus postanowił zabić nauczyciela młodych szlachciców. Finkelborgowi brakowało fantazji, nie potrafił też śmiać się z siebie. Wziął się jednak w garść i zadzwonił do drzwi domu Müllerów. Wpuszczono go do środka, w hallu spotkał się z Christine.

Rasmus Finkelborg stuknął obcasami, aż echo odbiło się od ścian, a jego zaboląły kostki. Zanim Christine słowami zdążyła wyrazić to, co zdradzał już surowy wyraz twarzy, pospiesznie oznajmił:

- Madame, chciałbym serdecznie przeprosić za tak pospieszne opuszczenie balu. Niestety, odezwała się dawna wojenna rana, a kiedy dolegliwości się nasilają, nie jestem miłym towarzystwem. Mam nadzieję, że wybaczy mi pani, choć zachowałem się niewybaczalnie.

Christine już stopniała.

- Ależ, drogi chłopcze! Rana z wojny? Jakież to interesujące! Z której?

Twardy jak kamień brat zakonny nie lubił, kiedy nazywano go "drogim chłopcem", nie bardzo też potrafił zdecydować, jaką wojnę należałoby wymienić. Ostatnimi czasy w Danii panował spokój.

- Nie chciałbym o tym mówić - mruknął z wyrazem udręki w oczach, a przynajmniej sądził, że udało mu się go przywołać. Tak naprawdę wyraz twarzy Rasmusa można było określić tylko jako kamienny albo jeszcze bardziej kamienny.

Poproszono go do salonu, gdzie musiał konwersować, chociaż siedział jak na szpilkach. Zdołał jednak, udając przy tym w ogóle nie zainteresowanego sprawą, dowiedzieć się, dokąd wybrała się Taran z kompanią.

Ledwie słuchał jakiejś niemądrej relacji z wydarzeń na balu, jakie miały miejsce po jego wyjściu, bo jego myśli pracowały gorączkowo.

W drodze do Christianii? Na statku? Wypłynęli rano? Christine nie miała całkowitej pewności, czy statek rzeczywiście wyruszył. Pewne opóźnienia...

Rasmus Finkelborg wpadł we wściekłość.

Czy miał się w ostatniej chwili rzucić na pokład? Po pierwsze, mogło to wzbudzić podejrzania. Po drugie...

- Tak, pamiętam burmistrzynie. Nie, jej sukni nie uważam za szczególnie...
twarzową, zwłaszcza dla osoby w jej wieku. (Och, zamknij się, babo, muszę pomyśleć!)

Po drugie: Co miał do roboty na statku? Jego zadaniem było pochwycenie Taran jako zakładniczki i wymienienie jej na szafir. Jak dokonać tego na pokładzie?

Przetrzywać ją w kajucie? No i przecież ten statek żeglował do Christiana, a szafir zmierzał na zachód, na Islandię.

Nie, albo będzie musiał czekać, aż wróca, albo też dostać się do Christiana w inny sposób.

Przekleństwo!

- Tak, pasztet z kurczęcia był rzeczywiście wyborny. Wie pani, kto go przyrządził?
Fantastyczne! Takiej żony jak pani życzyłby sobie każdy mężczyzna!

Christine na moment się zmieszała. Przez chwilę całkiem zapomniała, że jest kobietą zamężną, tak zafascynował ją młody hrabia i jego adoracja. Pospiesznie dodała, że umie przygotować wiele specjalnych dań.

Nic mnie to nie obchodzi, pomyślał Rasmus. Usiłował się skupić i dopóki kiwał głową albo mrucał w odpowiednim momencie, wszystko szło dobrze, gdy jednak Christine zadawała jakieś pytanie, sytuacja stawała się kłopotliwa, gdyż tak naprawdę wcale jej nie słuchał.

Wreszcie powziął decyzję. Doszedł do wniosku, że nie stać go teraz na marnowanie czasu. Musiał jechać do Christiana, bo nie wiedział, jak długo Taran tam zabawi.

Na "przypadkowe" pytanie Duńczyka o to, gdzie brat Christine zamierza się zatrzymać w stolicy, nie podejrzewająca podstępów dama chętnie odpowiedziała. Z

natury drobiazgowa, wyjaśniła mu ze szczegółami, gdzie mieszka hrabianka Aurora wraz ze swym mężem, właścicielem ziemskim, o którym mówiła "wieśniak August Mikalsen". "Hrabianka to dawna przyjaciółka mojej szwagierki, księżnej austro - węgierskiej. Mój brat jest teraz baronem".

Tym także zdołała się pochwalić.

Finkelborg miał szczęście. Jeszcze tego samego dnia wypływał na wschód inny statek. Może uda mu się nawet zdążyć przed nimi?

Za późno się zorientował, że to jednak niemożliwe. Statek wiozł duży ładunek, płynął powoli i zatrzymywał się w wielu portach na długim południowym wybrzeżu Norwegii między Bergen a Christianią.

Kapitan statku chwilami miał ochotę wyrzucić swego duńskiego pasażera za burtę, tak bardzo ten człowiek marudził i wrzeszczał, żądając, aby statek przyspieszył. Starał się nawet przekupić kapitana, aby nie zawijał do portów w Mandal i Arendal, nic mu jednak z tego nie wyszło. Raz nawet zagroził kapitanowi pistoletem, ale człowiek morza był twardy i nie chciał się ugiąć.

W Tvedestrand Finkelborg się poddał. Prychając ze złości zszedł na ląd z postanowieniem, że resztę drogi pokona konno. Nim do tego doszło, o mały włos nie został pobity przez załogę, odmówił bowiem zapłacenia za "wszawą podróż". Marynarzy było jednak zbyt wielu, uiścił więc należność, ale usta zacisnęły mu się w wąską kreskę i dyszał żądzą zemsty.

Sigilion powrócił do Bergen na czas, by zobaczyć, że Finkelborg opuszcza miasto statkiem.

Pozbyłem się konkurencji, doszedł do wniosku król Silinów, wiedział wszak, że zarozumiały hrabia także pilnuje Taran.

Kiedy jednak upłynęły trzy dni i Sigilion przyznał, że Taran wraz z pozostałą rodziną się nie pojawiła, zaczął przypuszczać, że coś się stało. Kobiety, które tak łatwo padały jego łupem, także przestały krążyć po mieście. Nie miał tu już nic do roboty.

Jedynym jego śladem pozostawał ów jasnowłosy mężczyzna, o zimnych oczach.

Sigilion mógł spróbować wypytać kogoś z pozostałych w domu ludzi, na przykład tę podstarzałą damę, to jednak oznaczało krzyk, zabijanie, zaczęto by go szukać. Nie chciał ściągać na siebie uwagi, to mogło zabrać mu czas.

Lepiej śledzić statek. Nic się nie stanie, jeśli po wydobyciu informacji od jasnowłosego potraktuje go swoimi szponami. Morze kryje zmarłych.

Sigilion opuścił więc Bergen i wyruszył szlakiem, którym, jak widział, popłynął statek konkurenta.

Nie rozumiał jednak, że szkuta zawijała do rozmaitych portów, i wiele czasu stracił kręcąc się nad pustymi wodami.

Kiedy nareszcie odnalazł właściwy statek, okazało się, że minął on już Tvedestrand, a hrabia Finkelborg co koń wyskoczy ruszył na północ.

O tym Sigilion nie wiedział. Opadł na pokład za plecami sternika. Bezszelestnie jak jaszczurka, którą był w połowie, przesunął się wzdłuż relingu i po schodach w dół.

Świdrującym wzrokiem przyglądał się śpiącym marynarzom. Któremuś być może przyśnił się koszmarny sen o paskudnym, niezwykle gładkim potworze, ale żaden się nie obudził.

Sigilion przeszukał wszystkie kąty.

Wreszcie zdobył pewność: jasnowłosego nie było na statku.

Kiedy wrócił na pokład, miał mniej szczęścia. Kucharz opróżniał właśnie wiadro z odpadkami i na widok Sigiliona uderzył w krzyk.

Kapitan i sternik słuchali przerażonego, jękającego się z przejęcia człowieka:

- Widziałem coś! Przysięgam, że widziałem, jak coś wpłynęło po schodach i przesunęło się wzdłuż relingu na dziób. Prześlizgnęło się przez reling i zniknęło, tam, dokładnie w tym punkcie.

Przeszli we wskazane miejsce i wyjrzeni przez reling. Cokolwiek to było, nie znajdowało się już na pokładzie ani też na burcie.

- Jak to coś wyglądało? - spytał lekko poirytowany szyper. Gdyby kucharz nie mówił z tak bezwzględą pewnością, nawet by go nie słuchał.

- Duże! Wzrostu człowieka, i przez moment stanęło nawet wyprostowane koło masztu. Wtedy przypominało ludzką istotę. Zaraz jednak zniknęło, jakby przykleiło się do relingu, jakby miało przyssawki albo szpony. Straszniejszej postaci nigdy w życiu nie widziałem!

Dyskutowali przez chwilę o rozmaitych morskich stworach, ale w końcu zrezygnowali. Sternik jednak poprosił, aby tej nocy ktoś mu towarzyszył, bał się zostać na pokładzie sam.

Sigilion rzeczywiście uczeplił się burty statku, ale pod wodą. Wciąż w razie potrzeby, wprawdzie nie na długo, mógł posługiwać się odziedziczonymi po przodkach resztkami skrzeli.

Gdy mężczyźni odwrócili się plecami, pozwolił wodzie unosić się w kierunku lądu. Statek do niczego już nie był mu potrzebny.

Na pewnym strychu w Bergen dozorca ku swemu przerażeniu znalazł zwłoki pięciu zmarłych całkiem niedawno kobiet. Były to ulicznice, które ostatnio zagięły.

Straszny był to widok. Zostały zgwałcone, ale to być może nie było dla nich pierwszą. Później jednak rozdarto je na pół od góry do dołu i po prostu ciśnięto na bok.

Władze przeraziły się nie na żarty. Teraz należało wszcząć poszukiwania wielokrotnego mordercy. Najdziwniejsze, że wszyscy mieszkańcy domu, gdzie dokonano makabrycznego znaleziska, przysięgali, że drzwi wychodzące na ulicę każdej nocy były starannie zamknięte. Tą drogą nikt nie mógł się tam dostać.

Rozdział 14

Aurora oczekiwała gości od wielu dni, niezwykle serdecznie powitała Theresę. Nie było końca okrzykom radości w rodzaju: "Och, to przecież Erling! Jaka szkoda, że nie ma Móriego! I Tiril z chłopcami! I Nera, starego Nera, pomyśleć tylko, że on wciąż żyje!" I z drugiej strony: "Jak dobrze wyglądasz, Auroro, August jeszcze wyprzystojniał, pomyśleć tylko, że na stare lata masz syna, och, przepraszam, ty wiesz, co mam na myśli, śliczny chłopiec, i wnuk, jak ten czas leci!"

Naturalnie opowiadały sobie także o trudnościach i kłopotach, bo i Theresa, i Aurora je przeżywały, ale odsunięto je jakby na drugi plan, przede wszystkim obie przyjaciółki chciały się podzielić wspomnieniami.

Taran i Aurora bardzo dobrze się rozumiały. Starsza już dama wciąż pozostała młoda duchem i rozumiała młodzieńką dziewczynę może nawet lepiej niż jej rodzina. Aurora natychmiast dostrzegła w Taran jej niezłomną żądzę przygód oraz niechęć wobec konwenansów i właśnie ona poparła plany młodej panny związane z Morzem Bałtyckim.

Nie zachęcała dziewczyny do wyjazdu, zwłaszcza że miała to być podróż w pewnym sensie na ślepo, bez konkretnego celu. Aurora jednak знаła pewnego uczonego w Christiana, który powinien sporo wiedzieć o Bałtyku, jego wybrzeżach, historii, geografii i ewentualnych związanych z nim tajemniczych historiach. Aurora co prawda nie bardzo mogła zrozumieć, jakie tajemnice mogą się kryć w takim niedużym, leniwie pluskającym morzu.

Taran, szczerze mówiąc, także nie bardzo to sobie wyobrażała.

Postanowiła natychmiast pojechać do uczonego w Christiana.

- Nie sama! - zaprotestowała Theresa. - I nie konno! Trzeba mieć jakiś umiar w tych wybrykach!

Taran napierała, ale nic jej z tego nie przyszło. Wreszcie po wielu dyskusjach postanowiono, że towarzyszyć jej będzie Rafael, a wtedy chciała pojechać i Danielle. Wyznaczono silnego parobka na woźnicę i przydzielono drugi co do okazałości powóz. Musieli też obiecać, że wrócą następnego wieczoru.

- Nie bój się, babuniu - mruknęła Taran pod nosem. - Otaczają mnie archaniołowie, Rafael i Uriel, brakuje tylko Michała i Gabriela, i jeszcze ze dwóch, których imion nie pamiętam. Uwierz mi, jestem pod dobrą ochroną!

Aurora dała im list polecający do swego przyjaciela badacza (któremu udzieliła wsparcia przy wielu kosztownych eksperymentach). Zakończyła go następującymi słowami: Bądź ostrożny i nie podsycaj żądz przygód u młodej Taran! Zadbaj o to, by nie wyruszyła samodzielnie nad Bałtyk! Ma wrócić do domu, do mnie, nie gódź

się na żadne ustępstwa. Pozostali dwoje młodzi ludzie są bardzo ukladni, to Taran jest wicherzycielką. Ale to naprawdę dobra i miła dziewczyna.

Przy odjeździe Erling przykazał Taran:

- Nie narażaj życia moich dzieci na niebezpieczeństwo!

- A jakie niebezpieczeństwo może nam zagrozić w drodze do Christiana? -

prychnęła Taran. - Norwegia to czarująca kraina wieśniaków, zagrozić nam może jedynie chłop, któremu ukradniemy rzezę.

- Ty wplątujesz się w groźne sytuacje, ledwie otworzysz usta! - stwierdził przygnębiony Erling.

Niestety, miał co do tego pełną rację.

Taran krytycznie przyjrzała się Rafaelowi, który właśnie wsiadał do powozu. Ten delikatny, łagodny Rafael miał być jej obrońcą? Czyżby przypuszczano, że przerwie tworzenie wiersza i wbije gęsie pióro w pierś wroga?

Ale dlaczego w ogóle mówić o wrogach? Tutaj, gdzie nikt ich nie znał i gdzie byli tylko trójką grzecznych młodych ludzi podróżujących zamkniętym powozem?

No cóż, określenie "grzeczni młodzi ludzie" odnosiło się zaledwie do dwojga.

Uriel się martwił. Instynkt prawie - aniola podpowiadał mu, że wyprawa do Christiana może się źle skończyć. W powietrzu wisiało coś niepokojącego. Istoty takie jak on to wyczuwają.

A wszystko zapowiadało się tak niewinnie. Troje młodych ludzi w powozie gawędziło. Uriel także tam siedział, razem z duchami opiekuńczymi Rafaela i Danielle, które doprawdy niewiele miały do roboty, odkąd ich protegowani przeszli pod opiekę Erlinga i Theresy. On natomiast solidnie się napracował w tym krótkim czasie, kiedy zajmował się Taran. Taran, ta słodka, nieznośna Taran, spytała go zresztą, w jaki sposób się mieści w ciasnych powozach. "Nie martw się o mnie", odparł. "Ja się mieszczę wszędzie". "Bardzo bym nie chciała usiąść na tobie", stwierdziła Taran. "To by było przekroczenie wszelkich granic". "Nie przypuszczałem, że znasz słowo »granica«,, powiedział wtedy nieco złośliwie.

Taran zrobiło się przykro, a on gorąco pożałował swoich słów. Ale duch z

trzeciego wymiaru nie może prosić o wybaczenie, bo w trzecim wymiarze nie popełnia się żadnych błędów. Tak mówił jego zwierzchnik. Owszem, on mógł tak powiedzieć, nie musiał “wszak czuwać nad Taran!

Jechali przez idylliczne okolice wśród zielonych wzgórz i liściastych gajów, mijali pasące się krowy i konie, porozrzucane wiejskie zagrody. Uriel wiedział jednak, że zanim dotrą do Christianii, będą przejeżdżać przez górską, porośniętą lasami okolicę.

Uriel obserwował Taran. Wyostrzył wzrok tak, aby móc ją widzieć wyraźnie, nie tylko jako kolumnę energii.

Piękna dziewczyna, ma takie czerwone usta i złoto - brązową skórę, o odcieniu mocniejszym niż przypominająca dziką różę cera Danielle.

Im więcej czasu Uriel spędzał na przyglądaniu się Taran, tym bardziej zdawał sobie sprawę, że z tą zabawą powinien natychmiast skończyć. Taran była taka pociągająca, taka kusząca!

Wiedział, że ostatnimi czasy zbyt często się jej przygląda...

Nigdy, rzecz jasna, nie był niedyskretny. Nie obserwował jej, kiedy przebywała sama, uznał, że dziewczyna ma prawo do prywatnego życia. Ale w sytuacjach takich jak teraz mógł się jej przyglądać bez przeszkód.

Zabrał jej runę pozwalającą widzieć duchy, uznał bowiem, że nie wypada, aby na niego patrzyła.

Właściwie nie powinien też podglądać, kiedy zostawała sam na sam z młodym mężczyzną, ale ostatnio zaczął tak robić. Oczywiście tylko i wyłącznie po to, by czuwać nad jej cnotą. Nigdy nie wydarzyło się nic niestosownego, Taran pod tym względem nie przekroczyła żadnej granicy, potrafiła jednak śmiało i bezczelnie flirtować.

Urielowi sprawiało to wyraźną przykrość. Nie podobało mu się to uczucie, usuwał się wtedy i wachlował “nocna koszulą”, jak Taran nazywała jego piękną białą szatę.

Najgorsze, że Uriel zdawał sobie sprawę, iż Taran jest bardzo ciekawa erotycznej, zmysłowej strony życia. Pewnego dnia jakiś młodzian mógł ją sprowadzić na manowce.

Uriel westchnął. Musi nad tym czuwać. Dlatego właśnie nie spuszczał z niej oka, kiedy zostawała z kimś sam na sam. Tylko i wyłącznie dlatego.

Tak sobie powtarzał.

Westchnął jeszcze raz. Niejednokrotnie miał ochotę podać jej czarnoksięską runę i zawołać: "Spójrz na mnie, Taran, patrz na mnie!"

Długo rozmyślał nad jej prośbą o to, by przez cały czas mógł być dla niej widzialny. Dobrze znał tę sztukę, była ona jednak surowo wzbroniona wśród duchów opiekuńczych, a przynajmniej w górnej sferze, z której on pochodził.

Wiedział, że istnieją ludzie, którzy widzą swych opiekunów, lecz dotyczyło to tych słabszych, z wymiarów najbliższych ziemskiemu życiu.

Jemu nigdy na to nie pozwolą. Nawet nie próbował prosić.

Cudowne oczy tej dziewczyny...

Powóz zatrzymał się z szarpnięciem. Jechali przez las. Wprawdzie droga wiodła przez nie porośniętą drzewami okolicę, a na wzgórzu leżała nawet opuszczona chłopska zagroda, lecz dookoła przestrzeń zamykały lasy i skały któregoś ze wzniesień koło Christiana, którego dokładnie, nie wiedzieli.

Rafael wyrzwał przez okno.

- Rozbójnicy - oznajmił swym towarzyszkom podróży.

- Co robimy? - natychmiast spytała Taran.

- Widziałem tylko jednego, akurat kiedy wyrząłem, zmuszał woźnicę pistoletem do zejścia z kozła.

- A czy my jakiś mamy?

- Pistolet? Nie.

Danielle wyglądała na bardzo przestraszona.

- Schowaj się - nakazali jej natychmiast. - Wsuń się pod siedzenie.

Dziewczyna usłuchała.

Taran wysunęła głowę przez okienko i natychmiast ją cofnęła.

- Wielkie nieba! To przecież ten irytujący Finkelborg, wyśniony bohater ciotki Christine! Co on tu robi? Z pistoletem?

- Dowiedzmy się, czego chce - postanowił Rafael i wysiadł. - Może to posłaniec od ciotki.

Rasmus Finkelborg nie przynosił jednak żadnych wieści. Gdy Taran i Rafael wysiedli, celował w nich już z dwu pistoletów.

- Ojej! - zafrasowała się Taran. - Proszę obchodzić się z nimi ostrożnie! Strasznie pan nimi wymachuje, może za ciężkie dla białych hrabiowskich rączek?

- Milczeć! - rzucił ostro hrabia Finkelborg. - Pani, panno Taran, niech zbliży się tutaj, a wtedy panicz i woźnica ujdą cało.

To znaczy, że nie zauważył Danielle, pomyślała Taran. Świetnie!

- Nie mam zamiaru nigdzie chodzić - powiedziała. - Niech pan przestanie tak nerwowo wymachiwać bronią. Okropnie niemądrze to wygląda.

Na twarzy Rasmusa Finkelborga pojawiły się rumieńce jak u niemowlęcia, ale oczy zapłonęły zimnym blaskiem.

- Podejź tu natychmiast, panienko, inaczej zastrzelę woźnicę!

- Nigdy nie trafisz - mruknęła Taran niemal bezgłośnie, nie chciała jednak ryzykować niczyjego życia, zrobiła więc kilka kroków w stronę Finkelborga. -

Czego pan ode mnie chce? - spytała już głośnie. - Gryzę, cierpię na wściekliznę, wyję w nocy i piję krew.

- Zamknij się! - wrzasnął Rasmus Finkelborg. Przyciągnął Taran do siebie i przycisnął pistolet do jej pleców.

- Musi pan o coś go opierać? - spytała Taran. - Pięknie! Urielu! - zawołała. - Zrób coś z tym bladookim wariatem!

- Urielu? - zdumieli się obecni.

“Jestem tutaj”, usłyszała Taran głos w swym wnętrzu. “Nie bój się, nie pozwolę, żeby ci zrobił coś złego”.

“Bać się!” odpowiedziała Taran już w myśli. “Jestem wściekła!”

“Fe, co za język!”

“Masz zamiar odgradzić mnie od pistoletu? Bardzo będziesz musiał się splaszyczyć”.

“Nie, rób to, co on ci każe, zaraz się nim zajmę”.

“Dobrze, posłucham ze względu na innych”.

“No właśnie”.

- Co miałaś na myśli, mówiąc “Urielu”? - dopytywał się Rafael.

- Nie czas teraz na tłumaczenie - mruknęła Taran. - Hrabio Finkelborg, co ma znaczyć takie zachowanie? Skończyło się panu kieszonkowe? Nie, Rafaelu, nie usiłuj odgrywać boha...

Było już jednak za późno. Rafael, bardziej niemądrze niż odważnie, ruszył do ataku i tylko Uriel, który mocno stuknął Finkelborga w plecy, uratował Rafaela od pewnej śmierci. Kula trafiła w bagno.

- Dureń! - syknęła Taran do Rafaela. - Pomyśl, co by było, gdyby on użył tego drugiego pistoletu? Strzelił we mnie? Chodźcie, woźnica także, prędko!

Zanim Finkelborg zdołał podnieść się z ziemi, wszyscy troje kierowali się już w stronę opuszczonej zagrody. Za nimi padł strzał, ale niecelny. Rafael się odwrócił.

- Teraz musi załadować obydwie pistolety. Biegnie za nami, wobec tego Danielle jest bezpieczna. Szybciej, musimy się schować!

Taran nie była wcale taka pewna, czy w zagrodzie będą bezpieczniejsi, dobiegli jednak w każdym razie do otwartych drzwi. Woźnica starannie je zamknął za nimi, zaraz też zajęli się zabezpieczaniem wszystkich pozostałych otworów.

Koń stał spokojnie zaprzęgnięty do powozu na drodze.

- Mam nadzieję, że Danielle nie wystawi głowy - mruknął Rafael.

Dostrzegli Finkelborga na zboczu. Biegnąc usiłował naładować broń.

- Poszukajmy izby bez okien - zaproponował Rafael. - Tam będziemy bezpieczni.

Taran stała nieruchomo. Wyczuła coś w powietrzu.

- Co się stało?

- Ta atmosfera...

- Masz na myśli zapach? Nie, to coś innego. Zgęszczony, skondensowany... Fui!

- Racja - przyznał woźnica.

Nikt nie chciał tego głośno nazwać. Ale tym, co wyczuwali, była chuć. Erotyzm w takiej formie, że powietrze zdawało się nim nasiąkać.

Taran już kiedyś czuła coś podobnego, Wówczas w lesie, gdy widziała jakąś okropną istotę na poły schowaną za pniem drzewa.

“Urielu, zrób coś!”

Rozdział 15

Sigilion długo szukał.

Obrzydliwy sztywny człowiek o żółtobiałych szczeciniastych włosach jako jedyny mógł zaprowadzić go do Taran. A nie było go na pokładzie statku.

Dużo, bardzo dużo czasu zajęło królowi Silinów wytropienie go.

Wpadł na jego ślad tylko dzięki niezwykle dobrze wykształconemu zmysłowi powonienia.

Przeszkadzał mu koń. To koń dotykał ziemi, a nie ten człowiek, którego nazywano Finkelborg. W mleczne mgliste noce Sigilion czołgał się po drogach, węsząc posuwał się naprzód. Czasami ścigany przezeń człowiek zsiadał z konia, wtedy wyraźnie wyczuwał jego ślady, szczególnie wówczas, gdy człowiek “znaczył terytorium” przy drzewie. Wtedy Sigilion także to robił, w większym stopniu był bowiem zwierzęciem, niż chciał się do tego przyznać.

Potem znów podejmował pościg.

Niezwykły zapach, jaki wydzielał, nie zawsze dał się wyczuć, tylko wtedy, kiedy w pobliżu znajdowała się kobieta. Wszystkie jego zmysły ogarniało wówczas pożądanie. Kobiety z Karakorum zostawały jego niewolnicami, nie mogły się oprzeć jego zmysłowości, erotycznej sile przyciągania. Pięć kobiet, które wykorzystał w Bergen, okazało się inne. Prędko się ich pozbył. Sprawiały wrażenie, że brakuje im czegoś: uczucia. Ich miłość była mechaniczna. Kobiety w Karakorum były dla niego gotowe na wszystko, ubóstwiały go. Wtedy wystarczała mu tylko jedna naraz, wykorzystywał ją, dopóki go pociągała, mniej więcej

dwadzieścia, może trzydzieści lat. Potem sprowadzał nową. To one powinny go kochać, on sam nie odczuwał nic poza czystą żądzą.

Sporo czasu upłynęło od momentu, kiedy posiadał kobietę. Ostatnio w Bergen. Potem zabrakło mu czasu.

Wprawdzie Taran miała mu posłużyć jako zakładniczka, ale była przecież taka powabna...

Tego dnia odnalazł Finkelborga. Duńczyk zaczął się, czekał na coś. Sigilion przeczuwał, że wypatruje Taran.

Król Silinów, wywodzący się z dawno minionej epoki, zapomniany, bez kraju i poddanych, dla Rasmusa Finkelborga nie żywił nic poza pogardą. Człowiek przydawał mu się, dopóki mógł go prowadzić do Taran. Potem...

Jaszczur zajął miejsce na dachu starego domu, skąd miał widok na kępę drzew, za którą ukrył się Finkelborg.

Nadjechał powóz.

Finkelborg wyskoczył na drogę i zatrzymał ekwipaż, Sigilion widział, że grozi. Ściągnął woźnicę z kozła. Potem wysiadło jeszcze dwoje ludzi.

Taran!

Sigilion czekał.

Głos dziewczyny odbijał się od skały. Klóciła się z rym białowłosym durniem, sprawiającym wrażenie, że chce ją zabić?

Nie można do tego dopuścić.

Sigilion poznał już broń strzelecką. Prędko uczył się wszystkiego, co nowe.

Rozległ się wystrzał, ale Taran się nie przewróciła. Przeciwnie, to Finkelborg upadł na twarz.

Taran, młody chłopak i woźnica ruszyli biegiem w stronę domu.

Prosto w objęcia Sigiliona.

Doskonale!

Uśmiechnął się zimno, jak jaszczur, którym w połowie był.

Finkelborg nadciągał za nimi. Nie ma się czym przejmować.

Dobiegli już na górę. Weszli do domu...

Byli wewnątrz.

Sigilion przechylił się przez krawędź komina i przewodem kominowym, jak zwykle głową w dół, bo tak było mu najłatwiej, wślizgnął się do środka. W kominie nie zalegała sadza, dawno go już nie używano, a niewielka ilość, jaka pozostała, przekształciła się w zbitą substancję.

Wślizgnął się do wnętrza przez otwór w palenisku. Usłyszał głosy ludzi i znalazł kryjówkę.

Kobieta...

Sigilion nie potrafił stłumić swoich żądz, chociaż wobec Taran miał przecież inne zamiary. Ale... mógł skorzystać z okazji.

W oczekiwaniu na następne posunięcie Finkelborga ludzie się zabarykadowali. Potem jednak zapadła cisza.

Sigilion nie wiedział, że wyczuli jego zapach. Sądził, że nikt nie może go odkryć. Gdyby tylko Taran i ci dwaj mężczyźni się rozdzielili! Pragnął zostać z nią sam, wtedy prędeż by mu uległa.

Wiele dni i nocy upłynęło od czasu, kiedy Dolg wyruszył na Islandię, zabierając kamień. Sigilion postanowił porwać Taran i korzystać z jej kobiecości do chwili, kiedy cudowny szafir znów znajdzie się na norweskiej ziemi.

Wtedy wymieni bezwartościową już dla niego dziewczynę na kamień.

Nikt go wówczas nie powstrzyma, bo dla nich Taran była cenna.

Nie będą wiedzieć, że wykorzysta ją do ostatka, wysączy z niej ostatnią kroplę życia.

Z izby, w której znajdowali się ludzie, nie dochodził żaden odgłos. Sigilion czekał. Potrafił czekać. Nic innego wszak nie robił przez tysiące lat, przytomny albo pogrążony w letargu.

Z drugiej części domu dobiegł dźwięk, jakby otwierano jakąś pokrywę. Sigilion nie znał współczesnych domów na tyle dobrze, by zorientować się, że dźwięk dochodził z kuchni. Ktoś otworzył wąż do piwnicy.

Rozumiał jednak, co się stało: Rasmus Finkelborg dostał się do domu.
Król Silinów uśmiechnął się zimno, pogardliwie. Tego przeciwnika się nie obawiał.
Troje w zamkniętej izbie również usłyszało Finkelborga.

- Co teraz zrobimy? - szepnęła Taran, otwierając szeroko oczy.
- Czekamy - cicho odparł Rafael.
- No tak - pokiwał głową woźnica. - On ma po swojej stronie pistolety.
- A jeśli podpali dom? Wpadliśmy w pułapkę.
- Tego nie robi - szeptem zapewnił ją Rafael. - On chce ciebie, w dodatku żywą.
- Dlaczego?
- Nie zrozumiałaś tego jeszcze? Nie widziałaś, co przez chwilę zalśniło na jego piersi?
Taran, jeśli to możliwe, jeszcze szerzej otworzyła oczy.
- Nie zdążyłam, on stał za mną. Chcesz powiedzieć, że... Zakon Świętego Słońca?
- Tak.
- Znow się zaczyna ta zabawa - sapnęła.
- To wcale nie zabawa.
- Dobrze wiem. Ale ja przecież nie mam...
- Ciii, nie tak głośno. Wystarczy, że Dolg ma. Założę się, że rycerze zamierzają wymienić cię na niebieski kamień.
- Rzeczywiście, brzmi to dość prawdopodobnie - odparła Taran po namyśle. - A ta druga istota, ta, która sprawia, że ciarki przechodzą po plecach? Kim on jest i czego chce?
- Nie wiem. Nic mi o nim nie wiadomo, nigdy dotąd go nie widziałem.
- Za to ja, owszem - z ponurą miną przyznała Taran. - Prawie. I nie było to przyjemne spotkanie. Przydałby nam się teraz Uriel.
- Kim jest Uriel? - jeden przez drugiego dopytywali się mężczyźni.

- Mój anioł stróż - odparła roztargniona. - A raczej był już prawie aniołem, pochodzi z drugiego wymiaru powyżej naszego. Otrzymał zadanie pilnowania mnie i wtedy utracił swą świętą pozycję.

- Wcale mnie to nie dziwi - stwierdził Rafael. - Kochana Taran, przestań wygadywać bzdury, musimy coś wymyślić!

- Wcale nie wygaduję bzdur, potrzebuję pomocy Uriela.

- Masz rację - odparł Uriel, tym razem ludzkim głosem, więc usłyszeli go wszyscy troje. - Wybaczcie mi, ale muszę się wam ukazać. Sytuacja jest bardzo poważna. Mężczyźni cofnęli się o kilka kroków, wstrząśnięci, kiedy stanął przed nimi świetlisty anioł, wprawdzie bez skrzydeł, ale nie ulegało wątpliwości, że pochodzący z wymiaru daleko lepszego od ludzkiego.

- Ach, Urielu! - uradowała się Taran. - Jakiż ty jesteś śliczny!

Woźnica odruchowo rzucił się na kolana przed tym niebiańskim objawieniem.

Uriel łagodnym, lecz dostojnym gestem nakazał mu wstać. Rafael nie mógł znaleźć słów. Wiele słyszał o duchach Móriego, ale nigdy ich nie widział, zrozumiał jednak, że ma do czynienia z jeszcze wyżej stojącą istotą. Duch opiekuńczy Taran! Ze wszystkich ludzi jedna z najbardziej szalonych i nieokielznanych osób miała za opiekuna prawie - anioła!

A może właśnie dlatego?

Posłaniec z wyższego wymiaru wyglądał cudownie, surowy, a jednocześnie łagodny jak letni wieczór, miał długie złote loki, przejrzyste niebieskie oczy, na kształtnych wargach igrał zawstydzony uśmiech. Podoba mu się podziw Taran, doszedł do wniosku Rafael. Ale nie chce się do tego przyznać.

- Czy na ziemi także byłeś taki urodziwy? - chciała wiedzieć Taran.

Uriel się zmieszał.

- Nie... ja...

- No tak, nazywałeś się przecież Gustava - przypomniała cierpko.

- Owszem, ostatnim razem - dodał pospiesznie, tracąc przy tym co nieco ze swego dostojęstwa. - Ale masz rację, przechodząc wyżej, awansując do wyższych wymiarów, pięknieje się.

- Jesteś fantastyczny - oświadczyła zachwycona Taran, ale zaraz przekrzywiła głowę, przyglądając mu się krytycznie. - Powinieneś chyba jednak nosić pasek, nie płałałbyś się i nie potykał o tę nocną koszulinę.

- Ależ, Taran! - oburzył się Rafael.

Taran ciągnęła niewzruszona:

- Uriel może pożyczyć twój, nie podtrzymujesz nim żadnych niewymownych, używasz go tylko do ozdoby.

Prędko zabrała pasek Rafaelowi i przewiązała szatę Uriela.

- Od razu lepiej! - oświadczyła zadowolona. - Szkoda, że nie marny nożyczek, ucielibyśmy tę koszulę do kolan albo jeszcze wyżej.

- Taran - syknął gniewnie Rafael. - Grozi nam niebezpieczeństwo!

- Oczywiście, przepraszam! Ale Uriel jest taki śliczny.

- Później będziesz go podziwiać, teraz musimy się zastanowić.

Uriel podczas całej tej sceny stał nieruchomo jak sparaliżowany. Oniemiał. W duchu musiał jednak przyznać, że z paskiem było mu o wiele wygodniej.

Taran się zamyśliła.

- Coś mi się śniło dzisiejszej nocy...

- Sny - prychnął Rafael. - Czy musisz opowiadać nam teraz takie głupstwa?

- Wydaje mi się, że ten sen był wyjątkowo ważny. Przyszła do mnie pani powietrza...

Teraz Rafael słuchał z większym zainteresowaniem.

- Przybyła do mnie i powiedziała coś o... o jakimś Sigilionie.

- Sigilion? Co to znaczy?

- Zagrożenie. Wiesz przecież, że w snach pojawiają się dziwne imiona. Imię jest nieistotne, najważniejsze, że chciała mnie ostrzec. "Strzeż się Sigiliona - mówiła. -

Nie zbliżaj się do niego, on potrafi cię zwabić wbrew twojej woli. Pragnie za twoją sprawą zdobyć niebieski kamień”.

- Podobna sytuacja jak z Finkelborgiem! - wykrzyknął Rafael. - Jesteś więc atakowana z dwóch stron!

- Na to wygląda - żałośnie przyznała Taran. - I oni obaj są w tym domu!

- Bądź spokojna, jestem przy tobie - oświadczył Uriel. - Ale słyszę, że jeden z nich się zbliża. Nie powinien mnie zobaczyć. Pamiętajcie jednak, że tu jestem.

Uriel zniknął. W jednej chwili poczuli się osamotnieni i bezbronni.

Rozdział 16

Hrabia Rasmus Finkelborg skradał się przez dom. Wszędzie unosił się bijący w nozdrza paskudny słodkawy zapach. Nie podobał mu się, oddziaływał nań w jakiś nieprzyjemny sposób.

Miłość w życiu Finkelborga nie odgrywała żadnej roli. Czasami, gdy tego bardzo potrzebował, korzystał z usług sprzedajnej kobiety, ale nie zdarzało się to często. W inny sposób wyładowywał energię. Kariera. Bezwzględne parcie naprzód, to było sednem jego życia.

Wszedł do pomieszczenia będącego niegdyś zapewne izbą paradną. Tutaj zapach stał się jeszcze bardziej wyczuwalny, zdawało się nawet, że powietrze zgęstniało. Zadrżał, poczuł mdłości. Starał się myśleć o czymś innym.

Gdzie oni mogli się ukryć?

Szedł dalej, zostawił cuchnącą izbę za sobą i oddychał z mniejszym trudem.

Poprawił napiętą lewą nogawkę spodni. Idąc sprawdzał wszystkie drzwi, otwierał je i zaglądał do kolejnych pomieszczeń.

Nareszcie zamknięta izba. Spróbował zajrzeć do środka przez dziurkę od klucza, ale klucz tkwił w zamku od drugiej strony.

Musieli się tam ukryć.

Oba pistolety miał załadowane. Poświęci jedną kulę.

Precyzyjnie wycelował w zamek; huk wystrzału wstrząsnął całym domem i drzwi stanęły otworem.

Spostrzegł troje ludzi biegnących do innych drzwi w głębi i mocujących się z kluczem.

- Stójcie, inaczej was zastrzelę! - wrzasnął Finkelborg, kierując na nich lufę.

Więcej zauważyć nie zdołał, gdyż coś jak błyskawica ze świstem przemknęło po podłodze, cios trafił go nad uchem, rozorał skórę na głowie, zostawiając długą, bolesną ranę, głęboką do samej czaszki.

Rasmus nigdy nie przypuszczał, że to możliwe, ale zemdlął z bólu.

Ostatnią jego myślą było: Dzięki wam, dobre moce, za znak Świętego Słońca, który mam na piersi. Bez niego rozstałbym się z życiem. Ten cios miał zadać śmierć!

Taran i jej przyjaciele zdołali otworzyć drzwi i wybiegli na jakiś korytarz. W progu jeszcze się odwrócili.

- Co się stało? - zdziwił się woźnica. - Ten człowiek leży na podłodze.

- Krwawi - stwierdził Rafael.

- Czy to ty, Urielu? - dopytywała się Taran.

- Och, oczywiście, że nie - rozległa się tuż obok odpowiedź. - Ja tak nie postępuję.

Biegnijmy dalej!

Ton jego głosu wskazywał, że gdzieś w pobliżu czai się niebezpieczeństwo.

Ruszyli na oślep przez korytarz.

- Bardzo praktyczne, kiedy wrogowie wybijają się nawzajem - mruknęła Taran.

Na końcu korytarza zauważyli dwoje drzwi. Usłyszeli za plecami nagły świst i wpadli w panikę. Wszyscy troje, krzyżąc ze strachu, chcieli jak najprędzej znaleźć bezpieczne miejsce. W korytarzu było ciemno i pewnie dlatego popełnili fatalny błąd. W pośpiechu ruszyli do różnych drzwi. Dopiero znalazłszy się w jakiejś sypialni Taran odkryła, że jest sama. Usłyszała głos Rafaela:

- Taran, jesteśmy w sieni! Wyjdź!

Ale co mogła zrobić? Czuła raczej niż widziała, że droga przez drzwi jest zagrodzona. Nie była jednak tak zupełnie sama, jak się jej wydawało. To, co blokowało drzwi... żyło?

Okna zasłaniały okiennice, w pomieszczeniu panowała niemal całkowita ciemność.

- Urielu - szepnęła. - Jesteś tutaj? Boję się.

“Jestem”. Tym razem odpowiedź rozległa się w jej głowie.

- Dziękuję!

Dostrzegła jakiś ruch. Coś weszło do izby, ohydny smród jeszcze się wzmógł, pulsował w jej nerwach i żyłach, sprawiał, że oddychała z trudem.

“Miecz”, usłyszała w swoim wnętrzu. “Czy dostanę miecz?”

W powietrzu zagrzmiało i w tej samej chwili, gdy ukazał się Uriel, nie wiadomo skąd pojawił się jaśniejący miecz. Uriel zacisnął dłoń na rękojeści. Bijące od brzeszczotu światło stało się za jasne dla oczu Taran, przykryła powieki dłońmi, wcześniej zaś zdążyła tylko zauważyć przy drzwiach niebieskozieloną istotę wzrostu człowieka. Ona także zasłaniała oczy przed Urielem i ciskającym błyskawice mieczem. Zanim Taran zdążyła się zorientować, co to za istota, stworzenie parskając i prychnając wyślizgnęło się z izby. Odeszło.

Taran działała odruchowo. W przerażeniu szukała pociechy u Uriela, otoczyła go ramionami, ukryła twarz w białej szacie, pachnącej wiatrem i kwiatami rumianku. Uriel przyjaźnie, lecz zdecydowanie odsunął ją od siebie.

- Już dobrze, Taran. Proszę cię, nie rób więcej podobnych gestów.

- Przepraszam - mruknęła poprawiając włosy. - Kim on był?

O dziwo, wszyscy uważali niezwykłą istotę za stworzenie rodzaju męskiego, a przecież nie mieli okazji dokładnie się jej przyjrzeć.

- Nie wiem, Taran. Wiem jedynie, że nie był dobry.

- O, z całą pewnością! Wiesz, Urielu, wydaje mi się, że u jego ramion widziałam coś w rodzaju skrzydeł.

- Ja także, widać je było na tle ściany, kiedy padło na niego światło miecza. Miał kilka ostro zakończonych wyrostków.

- A gdzie się podział miecz? - spytała zdziwiona.

- Został zabrany z powrotem, kiedy niebezpieczeństwo minęło.

Taran nie skomentowała tego. Wiedziała, że nie wszystko musi rozumieć.

- Taran? - rozległo się wołanie z hallu. - Gdzie jesteś?

- To Rafael - powiedziała do Uriela. - Pójdziemy do nich?

- Tak, zniknę teraz, ale wciąż tu będę.

- Cudownie - uścisnęła go za rękę. - Tak pięknie wyglądałeś z mieczem! Jak archanioł, pałający gniewem wymierzonym przeciwko złu!

Odwzajemnił jej uścisk i zniknął.

Pani powietrza wróciła do swych towarzyszy u wybrzeży Islandii. Przekazała im wieści:

- Próbowałam we śnie ostrzec Taran przed Sigilionem. Chyba mnie zrozumiała.

- Gdzie ona teraz jest? - spytał Nauczyciel.

- Opuściłam ją we śnie, w domu. W pobliżu nie było żadnego niebezpieczeństwa, nie wyczułam ani Finkelborga, ani Sigiliona.

Cień rzekł po chwili zastanowienia:

- Nie obawiam się tego brata zakonnego, natomiast Sigilion jest ze wszech miar groźny. Swą niezwykłą siłą przyciągania, jaką oddziałuje na kobiety, może sprowadzić nieszczęście na tak żadną przygód dziewczynę, jaką jest Taran.

Pokiwali głowami.

Omylili się jednak. Wcale nie Taran została narażona na atak obezwładniającej zmysłowości, lecz inna, której nikt nie brał pod uwagę.

Młodziutka Danielle drżała, leżąc na podłodze powozu. Jak długo to trwa!

Dlaczego nie wracają?

Ostrożnie podniosła głowę. Widziała, że pobiegli w stronę tej dużej pustej zagrody. Słyszała także dochodzące stamtąd krzyki, ale nikogo nie było widać.

Czy powinna ich szukać?

Nie, nie miała odwagi.

Słyszała jeden strzał, przy powozie, ale nikogo chyba nie trafił. Potem padł jeszcze jeden z głębi domu. Ktoś krzychał.

To Finkelborg strzelił w zamek, a krzyczała Taran, kiedy nie udawało im się otworzyć następnych drzwi, ale tego Danielle nie wiedziała.

Tak bardzo, bardzo się bała. Usiłowała zdusić szloch. Nie była w stanie dłużej siedzieć w powozie. Danielle nic nie wiedziała o Sigilionie, bała się natomiast okropnego człowieka grożącego pistoletem. Gdyby wrócił tutaj, natychmiast by ją znalazł.

Nie zastanawiając się dłużej, wyskoczyła z powozu i pobiegła w przeciwnym kierunku, do lasu, żeby się schować. Stamtąd mogła mieć widok na drogę i na dom.

Kiedy kuliła się za krzakami, spostrzegła bijące z budynku ostre, przypominające błyskawicę światło. Co to mogło być?

Miała wrażenie, że serce ściska się jej z bólu. Dolg, Dolg, dlaczego cię tu teraz nie ma?

Potrzebuję cię, pragnę wiedzieć, że jesteś blisko, wsunąć rękę w twoją dużą, silną dłoń, dającą poczucie bezpieczeństwa. Kiedy bierzesz mnie za rękę, wiem, że się o mnie troszczysz.

Gdybyś tylko zechciał mnie zauważyć, przestał traktować jak młodszą siostrę.

Mam siedemnaście lat, Dolgu, i płonę! Pragnę być przy tobie, patrzeć, jak w twoich oczach pojawia się miłość, jak uśmiechasz się z czułością, inaczej, całkiem inaczej niż dotychczas.

Ale tak się nie dzieje, twój uśmiech jest ciepły, lecz przelotny, i nie kryje się w nim nic więcej.

W opuszczonym domu zapanowała teraz cisza. Myśli Danielle powędrowały dalej, jakby za wszelką cenę starała się oderwać od groźnej sytuacji, w jakiej się znalazła.

Zmarszczyła delikatnie zarysowane brwi. Słowa Taran...?

“Powinien cię teraz zobaczyć Villemann! Nigdy nie wyglądałaś tak uroczo jak dzisiaj!”

Villemann? A co on ma z tym wspólnego?

Przecież to jej starszy brat. Zawsze miły, zawsze ma w zanadrzu tysiąc szalonych pomysłów, jak Taran. Są tak do siebie podobni, sercem i duszą. Być może właśnie dlatego Danielle nie dostrzegła, że Villemann wyrósł na bardzo przystojnego dziesiętnastolatka.

Villemann? Próbowała go sobie wyobrazić, nie bardzo bowiem pojmowała, o co mogło chodzić Taran, ze wstydem jednak musiała przyznać, że nie potrafi przywołać w pamięci twarzy Villemanna.

Widziała tylko Dolga.

O, Dolg, drogi, najdroższy Dolg! Tak nieodparcie pociągający swą tajemniczością i skupieniem wewnętrznym. Od momentu kiedy po raz pierwszy ujrzała przypominającego raczej elfa niż ludzkie dziecko chłopca, uwielbiała go.

Pokochała miłością beznadziejną, pełną goryczy.

Gdyby tylko zechciał ją zauważyć. Budzi się w niej kobieta...

Pojawiła się jeszcze jedna błyskawica, ostrzejsza, jakby cały dom od środka rozjaśniło oślepiające światło. Danielle wpadła w panikę, poderwała się i z głośnym jękiem pobiegła głębiej w las.

Sigilion czuł się upokorzony, zhańbiony w swej królewskiej dumie. Przestraszył się także, nie rozumiał bowiem zjawiska, jakie zaszło we wnętrzu zagrody. Pioruny i błyskawice znał dobrze, zetknął się także z ogniskami, lecz to było czymś zupełnie innym. Okropne światło, a jakiś człowiek wyciągnął ku niemu przypominający miecz przedmiot, nie widział tego wyraźnie, bowiem światło go oślepiło.

Nie pozostawało mu nic innego, jak się wycofać i z powrotem przez komin opuścić dom. Wszystko to było niepojęte, przecież widział tam jedynie dwóch zwyczajnych mężczyzn! I nagle pojawił się jeszcze jeden, towarzyszył Taran, która wszak miała należeć do niego, do Sigiliona.

Tak blisko zwycięstwa i taka klęska!

Głupi kardynał twierdził, że Dolg ma potężnych opiekunów i co do tego się nie mylił. Podsunął Sigilionowi pomysł pojmania Taran jako zakładniczki, bo ona jest bezbronna.

Kłamstwo!

Gdyby wcześniej nie zabił kardynała, uczyniłby to teraz, mszcząc się za wprowadzenie w błąd. Sigilion nie przywykł, by żyjący obecnie ludzie stawiali mu jakikolwiek opór. Kiedyś natrafił na silniejszych, wywodzili się z wymarłego już plemienia Lemurów, a zetknął się z nimi wówczas, gdy usiłował skraść im trzy bezcenne kamienie. Później jednak nikt nie mógł się mierzyć z Sigilionem, jedynowładczym królem Silinów.

Nietrudno być jedynowładcą, kiedy pozostało się jedynym żyjącym przedstawicielem własnego plemienia.

Okrzyknął powóz, ale ekwipaż przestał już go interesować.

Właśnie wtedy spostrzegł dziewczynę, biegnącą w szalonym pędzie przez las.

Przybliżył się, zaczął się jej przyglądać.

Delikatnie zbudowana, nieduża i bardzo ładna w dość szczególny sposób, inna niż Taran. Przypominała raczej porcelanową kruchość drobnych kobiet z Karakorum, chociaż one miały ciemniejszą skórę i szersze twarze. Ta tutaj...

Niczym leśny kwiat. Czysta, nietknięta, ale wzbudzająca wielkie pożądanie.

Sigilion nie miał pojęcia, że Danielle byłaby równie dobrą zakładniczką jak Taran, a może nawet lepszą, gdyż nikt nie mógł sobie wyobrazić, że byłaby zdolna poradzić sobie sama w trudnej sytuacji. Taran nigdy nie traciła głowy, Danielle u wszystkich budziła współczucie, wzruszała swoją bezbronnością. W ciele Sigiliona znów zapłonęły żądze. Widział w niej tylko kobietę, którą może zdobyć i wykorzystać. Nie wiedział nawet, kim jest, nie zdawał sobie sprawy, że jest tak blisko spokrewniona z Dolgiem i całą tą rodziną.

Powoli, z rosnącym napięciem, zniżył lot.

Danielle jako pierwsza ujrzała Sigiliona w całej okazałości.

Rozdział 17

Dom nagie stał się taki pusty, taki... swobodny.

- Nie ma go już tutaj - powiedziała Taran.

Rafael odetchnął głęboko.

- Tak, dzięki Bogu.

- Co zrobimy z tym Finkelborgiem? Nie możemy go chyba tak zostawić?

- To prawda - przyznał niechętnie Rafael. - Musimy go zabrać ze sobą. A co z Danielle?

Woźnica wyjrzał przez okno.

- Przy wozie jest spokojnie. Ale... Nie, nic takiego.

- Co zamierzałeś powiedzieć?

- Spostrzegłem tylko, jak jakiś wielki drapieżny ptak znika wśród świerków.

Zauważyłem jedynie krawędź skrzydła czy czegoś podobnego i zniknął mi z oczu.

Koń stoi spokojnie, a dziewczyny nigdzie nie widać.

- Rozumiem. To dobrze, zatem Danielle rozsądnie została na swoim miejscu.

Ich kroki zadudniły w całym domu, kiedy wyruszyli na poszukiwanie Rasmusa Finkelborga.

Leżał dokładnie w tym samym miejscu, gdzie upadł. Ostrożnie podeszli bliżej.

- Ojej - jęknęła Taran. - To nie wygląda dobrze.

- Rzeczywiście obrzydliwe - mruknął Rafael. - Dziwne, że on jeszcze żyje.

- Żyje - potwierdził parobek. - Oddycha.

- Ale cóż za rana! - dziwiła się Taran. - Co z nim zrobimy? Rafaelu, czy poświęcisz swój śnieżnobiały szal?

- Jeśli jest dostatecznie długi. Możesz postarać się o trochę wody? - zwrócił się do woźnicy.

Potęźnie zbudowany parobek pośpiesznie się oddalił, nie bez ulgi. Nie mógł już patrzeć na kawał skóry oderwany od głowy tak, że widać było białą kość czaszki, a nawet rysę na niej.

- Co to za potwór? - dziwił się mrużąc pod nosem. - Żaden człowiek nie mógłby dokonać czegoś podobnego!

Odruchowo rozejrzał się dokoła, ale dom zdawał się oswobodzony od wszelkich niesamowitych istot, sprawiał wrażenie spokojnego.

Kiedy wrócił z czerpakiem pełnym wody, ranny właśnie się ocknął i jęczał cicho.

- Proszę leżeć spokojnie - Taran rozkoszowała się surowością w swoim głosie. -

Kto uderzył pana z taką siłą?

Otworzył oczy, mrugnął kilkakrotnie.

- Umieram...

- Niestety nie - odpowiedziała Taran. - A my jesteśmy tacy mili i sympatyczni, że zajmujemy się panem, chociaż wcale pan na to nie zasłużył. A więc kto pana tak urządził?

Wyglądało na to, że Finkelborgowi przejaśnia się w głowie.

- Nie wiem. Nie zdążyłem zauważyć.

- To znaczy, że ja najlepiej widziałam tego podrzutka, a także nie potrafię stwierdzić, co to było. Wyglądało na ludzką, a zarazem nieludzką istotę.

- Zadziwiających ma pani przyjaciół, panno Taran.

- To doprawdy nie był mój przyjaciel. Uriel przypuszcza, że istota o żelaznych szponach przybyła tu w tej samej sprawie, co pan, hrabio Finkelborg.

- Niby jaka to sprawa? - wyrwało się Rasmusowi.

Taran, jak można się było spodziewać, oznajmiła triumfalnym, a zarazem oskarżycielskim tonem:

- Wziąć mnie jako zakładniczkę i wymienić na niebieski kamień. - Zakończyła jadownicie słodko: - Prawda, hrabio?

A więc wiedzą! Wiedzą, dlaczego tu jestem! Rzeczywiście narzekania braci zakonnych, że ci ludzie zawsze wyprzedzają ich o kilka kroków, okazały się nie przesadzone!

Nie zadał sobie nawet trudu, by zapytać: Jaki niebieski kamień? Poza tym kiedy zaczęli czyścić ranę, ból stał się nie do zniesienia i Rasmus znów o mały włos nie zemdlał. Przywołał całe swe pruskie wychowanie, by nie stracić przytomności. A tak w ogóle, kim był Uriel, o którym ona wspominała?

- Doskonale, panie Finkelborg - odezwała się nieznośna pannica. - Przybędzie panu jeszcze jedna blizna, choć w trochę niepraktycznym miejscu, na samym środku głowy. Męczące będzie zdejmowanie peruki za każdym razem, kiedy zechce się pan nią pochwalić.

- Nie noszę peruki - odpowiedział krótko, urażony.

Rafael się martwił:

- Tę ranę powinno się zaszyć. Ale jak my to zrobimy tutaj, na pustkowiu?

Finkelborg zadrżał na myśl o szyciu.

- Musimy go zabrać do domu ciotki Aurory - stwierdził Rafael.

- I tak za późno, żeby dzisiaj jechać do Christiana - zgodziła się Taran. - Zresztą ten uczonec wcale na nas nie czeka.

- To prawda, w ogóle nie wie, że przyjedziemy. Lepiej będzie zawrócić.

Woźnica podzielał ich zdanie.

Wspólnymi siłami postawili Rasmusa Finkelborga na nogi. Głowę miał obandażowaną starannie, chociaż może trochę niezgrabnie.

- Cha, cha! - zaśmiała się Taran. - Wygląda pan, jakby był pan na niezłej popijawie i czapka za mocno się panu przekrzywiła. Nie, nie, proszę się nie obrażać. Nie wolno dotykać naszego wspaniałego bandaża. Idziemy, będziemy pana podierać, żeby pan bezpiecznie dotarł do powozu.

Bezsilny Finkelborg usłuchał poleceń. Ciężko zawisł między ramionami mężczyzn.

Taran szła przodem zachęcając go okrzykami, a w każdym słowie kryła się wymyślna zjadliwość. Rasmus nienawidził tej dziewczyny. Żaden człowiek na ziemi nie okazywał mu takiego braku szacunku jak ona. Zawsze przecież podziwiano go za jego twardość i surowość.

Dostanie za swoje! Na znak Świętego Słońca, jeszcze dostanie za swoje!

Danielle zatrzymała się w lesie.

Nie wiedziała już, jak długo biegnie. Jak mogła pozwolić, by do tego stopnia o władnął ją strach? Uciekła od przyjaciół, którzy być może potrzebowali jej pomocy.

Zawróciła, chcąc pobiec do powozu.

Znajdowała się w ciemnym, wilgotnym, spowitym welonami mgły lesie. Tamten słoneczny las przy drodze zostawiła za sobą, tutaj dookoła były skały i mroczne rosochate świerki, cierpiące na niedostatek światła i powietrza.

Danielle stanęła nieruchomo.

Poczuła coś niesamowitego, jakąś duszną atmosferę bijącą od ziemi. Nie, nie od ziemi, jej źródło było gdzieś indziej. Gdzie?

Dziewczyna zaczęła odczuwać coś dziwnego w swoim wnętrzu. Pomimo ukończonych siedemnastu lat Danielle była niewinna i naiwna jak dziecko.

Kochała Dolga miłością platoniczną, pozostawał jej bohaterem, o którym pragnęła śnić. Marzyła, by szeptał jej miłosne słówka, ale dalej się nie posuwała nawet w myślach.

Poza tym o Dolgu trudno było myśleć w kategoriach erotycznych.

To, co teraz się z nią stało, przeraziło ją i jednocześnie zachwyciło.

Miała wrażenie, jakby jej skóra nagle ożyła, napięła się, zaczęła pulsować. Ciało zapłonęło, Danielle przestraszyła się, niemal zawstydzila.

Nagle jakby cały las wstrzymał oddech, Danielle poczuła, jak robi się jej zimno, mróz przenikał ją od stóp do głowy, wreszcie skupił się na czubku czaszki i zniknął. Wiedziała, że oto dzieje się coś strasznego, wyczuwała to każdym nerwem, ale zła nie potrafiła nazwać.

Wówczas go zobaczyła.

Ze strachu krew w całym ciele zaczęła tętnić ze zdwojoną siłą, a jednocześnie wstrząs i zdumienie całkowicie sparaliżowały dziewczynę. Zdrętwiała, nie mogąc nawet unieść dłoni do oczu, by zasłonić okropny widok. Nie mogła nic zrobić, tylko patrzeć, z szeroko otwartymi oczami i po dziecinnemu uchylonymi ustami.

On błyskawicznym ruchem wysunął się zza drzewa i stanął spokojny, wyczekujący, pewny swej ofiary, swej zdobyczy.

Danielle ledwie zdołała myśleć. W głowie jej się kręciło, przestała widzieć wyraźnie.

A jednak mimo wszystko widziała dobrze.

Był człowiekiem, a jednocześnie wyglądał nieludzko. Miał fascynującą twarz, ledwie zdołała oderwać od niej wzrok. Właściwie to oczy miały taką zniewalającą moc. Gdyby nie te oczy, kobiety, które napotykał, uznawałyby go za przerażającego ponad wszelkie granice. Tak jednak się nie działo.

Skóra połyskiwała ciemnymi odcieniami błękitu i zieleni, rysy twarzy mogły przypominać ludzkie, sama twarz była jednak bardziej płaska. Nos, stapiający się w jedno z kośćmi policzkowymi, nie wystawał tak jak u człowieka. Oczy ów stwór miał wąskie, ciemne, skośne, o źrenicach pionowych, przypominających wąską kreskę. Kiedy mrugnął, spostrzegła, że na oko nasunęła się zarówno górna, jak i dolna powieka, a także wewnętrzna, pionowa. Natychmiast w głowie powstała jej myśl: Jaszczur. Usta tego stworzenia były szerokie, wargi wąskie i bardzo czerwone, podobnie jak igrający między nimi język. Uszu nie było widać, a zamiast włosów miał łuski układające się na głowie niczym hełm.

Szczupłe ciało o smukłych kończynach poruszało się z elegancją i wdziękiem. Danielle zauważyła, że jego ramiona łączy z tułowiem coś w rodzaju błony. Ku swemu przerażeniu zobaczyła, że istota ma palec wskazujący zakończony długim, zagiętym, bardzo twardym i ostrym pazurem. Gdyby wiedziała nieco więcej o pterodaktylach i pteranodonach, latających jaszczurkach, wiedziałaby zapewne, że ich ogromne skórzaste skrzydła zakończone były szponem, dzięki któremu mogły się czepiać gałęzi i spać zawieszane głową w dół, podobnie jak współczesne nietoperze. Silinowie wywodzili się wszak z tych samych korzeni co pteranodon, olbrzymi gad latający, z dawno minionego świata przed wieloma milionami lat. W stosunku do gadów Silinowie rozwinęli się jednak mniej więcej tak jak ludzie w stosunku do małp. Nauczyli się chodzić na dwóch nogach, odnosząc tym samym podobne zwycięstwo jak człowiek. Zmuszeni zostali do znacznie większego rozwoju inteligencji niż zwierzęta poruszające się na czterech kończynach.

Strach, jaki odczuwała Danielle, prędko ustąpił dzięki bijącej od Sigiliona magnetycznej wprost sile przyciągania. Odniosła wrażenie, że oto ktoś się nią opiekuje, poczuła się szczęśliwa, że może przebywać w jego obecności, tak sugestywne było jego oddziaływanie.

Oslabiło to uwagę dziewczyny. Sigilion był nagi, wszystkie linie jego ciała pozostawały odsłonięte, ponieważ jednak był na poły zwierzęciem, jego organ płciowy krył się w ciele do czasu, kiedy chciał go użyć. O tym szczególnie Danielle jednak nie myślała, za wiele miała w sobie z dziecka. Taran z pewnością nie powstrzymałaby się od zjadliwego komentarza.

Jako przedstawiciel gatunku był niewypowiedzianie piękny, lecz zarazem taki nowy, taki obcy, że Danielle nie wiedziała, jak ma go oceniać. Traktować jako człowieka czy jako zwierzę?

Czym był? Skąd się wziął?

Taran wiedziałaby więcej, choć i ona przecież posiadała zaledwie ułamek informacji o Sigilionie. Danielle jednak była nieprzygotowana do spotkania z kimś takim. W jej obecności nikt o Sigilionie nie wspominał.

Danielle nie mogła się ruszyć, a Sigilion zbliżył się do niej, patrzyła teraz wprost w jego rozedrgane oczy. Zmysłowość stanowiąca jego główny atrybut otoczyła dziewczynę niczym oszłamiająca, niemal dławiąca mgła. Danielle przepadła; bez względu na to, co by z nią robił, nie zdołałaby się oprzeć. Nigdy dotąd nie była narażona na erotyczne zaczepki ze strony mężczyzn, było to jej pierwsze pod tym względem doświadczenie. Nie zdawała sobie sprawy, że pragnie jedynie znaleźć się przy nim, blisko, jak najbliżej, poczuć na sobie jego niezwykle ramiona...

Nagle gwałtownie drgnęła, jakby ocknęła się z hipnotycznego transu, w jakim zresztą poniekąd się znalazła. Obudził ją czyjś głos dobiegający z bliska.

Jaszczur, jak nazywała go w myślach, także oderwał od niej wzrok.

Zbliżała się ku nim młoda kobieta o roześmianych, błyszczących oczach. Zbliżając się mówiła:

- Sigilionie, a więc jesteś tutaj? Długo cię szukałam, bo podobnego do ciebie nie ma na ziemi.

Danielle wypuściła powietrze z płuc. Odrętwienie zaczęło ustępować. Dotarło do niej, do czego o mały włos by doszło. Na tę myśl kolana się pod nią ugięły, musiała oprzeć się o drzewo.

Ten, którego nazwano Sigilionem, zapomniał o Danielle. Widział już tylko tamtą drugą dziewczynę. Danielle także na nią spojrzała.

Na pierwszy rzut oka mogła przypominać Taran, choć tak naprawdę bardzo się od siebie różniły. Wprawdzie obie były ciemnowłose i bardzo piękne, ale na tym podobieństwo się kończyło. Ta dziewczyna o śmiałym spojrzeniu nosiła w sobie wielki smutek, wyraz oczu świadczył o przeżytej tragedii, zdradzał rozpacz, całkiem obcą Taran. Oczy nieznajomej jarzyły się żółtozielonym blaskiem, śmiała się, ale w śmiechu pobrzmiwała rozpacz, kołysała biodrami, lecz otaczała ją samotność.

- Czy ty jesteś Taran? - spytała cicho.

- Nie! - odparła przestraszona Danielle. - Jestem Danielle, przybrana siostra Taran, a raczej w pewnym sensie jej ciotka.

Nieznajoma uśmiechnęła się, och, była taka piękna!

- A gdzie jest Taran? Miała być tutaj.

- Taran, mój brat Rafael, woźnica i pewien niedobry człowiek są w domu po drugiej stronie drogi. Nie wiem, jak się tu znalazłam, po prostu uciekałam i teraz bardzo się tego wstydę.

- Nie szkodzi. Odwiedzę Taran później. A teraz zmykaj, pozwól mnie się zająć tym lubieżnym padalcem, doprawdy przyda mi się ktoś taki.

Danielle wpatrywała się w nią, niczego nie rozumiejąc.

- Mężczyźni ludzkiego rodu nie byli dla mnie, moja mała - powiedziała nieznajoma. - Z nimi nigdy nie przeżyłam takiej formy miłości.

- Nigdy nie przeżyłaś? Nie rozumiem...

- Zapomnij o tym! Biegnij już, teraz, kiedy on mnie podziwia.

- Dziękuję - wyjąkała Danielle. - Dziękuję. Jak masz na imię?
- Soi - odparła młoda kobieta, uśmiechając się kpiąco. - Soi z Ludzi Lodu. Uwierz mi, jeśli ktoś zdoła sobie poradzić z tym potworem, to tylko ja!
Danielle nie zadawała więcej pytań. Co sił w nogach pomknęła w stronę drogi.
Starła się biec jak najszybciej dlatego, że wcale nie miała ochoty opuszczać tego miejsca. Jakaś jej część, Danielle była za młoda, by zrozumieć, jaka, pragnęła za wszelką cenę tu zostać. W jej ciele zapłonął ogień, pragnienie, by zostać z jaszczurem sam na sam. Sercem i duszą wyczuwała, że pragnienie to nie jest dobre, chociaż ciało żądało czego innego.
Ani razu się nie obejrzała. Nie śmiała, wiedziała bowiem, że wtedy tam wróci, odepchnie piękną Soi od przerażającego monstrum, bo tak bardzo chciała je mieć tylko dla siebie, oddać mu się całą, upaść z nim na trawę i...
Co miałyby nastąpić później, tego Danielle nie potrafiła określić.

18

Taran i Rafael znaleźli pusty powóz.

Zmroził ich strach. Danielle, mała siostrzyczka, gdzie ona się podziała?

Niepokój Rafaela przeszedł w gniew.

- Ten niemożliwy dzieciak! Dlaczego nie została na swoim miejscu?

- Bez względu na to, gdzie znajduje się teraz Danielle, to nie jest ona niemożliwa - pouczyła go Taran. - To najłagodniejsza owca, jaką można sobie wyobrazić.

- Jagnię - poprawił ją Rafael. - Określenie "owca" jest ubliżające.

- Nie ma nic ubliżającego w byciu owcą - prychnęła Taran. - Gdzie, do diabła, jest ta dziewczyna?

Uriel natychmiast ją skarcił. Nie wolno przeklinać.

- Guzik mnie to obchodzi - oświadczyła głośno Taran.

- Nie interesuje cię, co się stało z Danielle? - oburzył się Rafael.

- Komentowałam co innego - syknęła Taran. - Czy nie możemy przestać się wreszcie spierać? Czyżbyśmy byli aż tak zdenerwowani?

- Tak chyba rzeczywiście jest.

Finkelborg był zanadto oszołomiony, by brać udział w tej wymianie zdań. Nie miał też sił, by interesować się losem zaginionych dziewczynek, bez względu na to, kim była Danielle. Użalał się nad sobą, gdyż głowa, kark i ramiona potwornie go bolały, pragnął także oddalić się za potrzebą, ale o tym rycerz zakonny wychowany w duchu pruskim nie mógł wszak wspomnieć głośno. Zastanawiał się, jak zdoła wytrzymać długą drogę do domu hrabianki Aurory. Zresztą nie chciał tam wcale jechać, pragnął usunąć się gdzieś na bok i w spokoju lizać rany, oczywiście jak już wreszcie skorzysta z ustępu...

Teraz jednak nie zdoła się wyrwać, zwłaszcza że parobek zabrał mu pistolety, jeden naładował i trzymał go na muszce. Chciał lizać rany? Na głowie?

Woźnica popatrzył na skraj lasu i twarz mu się rozjaśniła.

- Tam biegnie panienka Danielle!

- Dzięki Ci, dobry Boże - mruknął Rafael.

Danielle, cała i zdrowa, trochę tylko popłakiwała i miała bardzo wiele do opowiedzenia.

- Z tym zaczekamy - oświadczył Rafael. - Teraz musimy jak najprędzej dowieźć rannego do domu.

Parobek usiłował wepchnąć Finkelborga do powozu, lecz rycerz się opierał.

- Mam konia...

- No, tak, oczywiście. Gdzie? - spytał Rafael.

Rasmus wskazał miejsce i parobek poszedł sprowadzić wierzchowca.

Danielle zdziwiona patrzyła na Finkelborga, a szczególnie na jego zabandażowaną głowę.

- Uścisnął go rozgniewany niedźwiedź - wyjaśniła Taran. - Ma głowę rozoraną olbrzymim szponem.

Danielle zadrżała.

- Wiem, kto to zrobił - mruknęła. Czuję się bardzo nieswojo.

- Widziałaś go?

- Z bliska! O mało nie wpadłam w jego ramiona.

Wybuchnęła płaczem. Woźnica przyprowadził konia. Wszyscy patrzyli teraz pytająco na Danielle.

- Co takiego widziałaś? - zaczęła dopytywać się Taran, ale Rafael jej przerwał.

- Wsiadamy do powozu - rozkazał. Przynajmniej siostrze mógł być zwierzchnikiem, choć wszyscy inni uważali go za rozmarzonego słabeusza.

Wziął od woźnicy jeden pistolet, ale Finkelborg, usiadłszy w powozie, oparł głowę o ścianę i przestał już walczyć z zamroczeniem. Zemdlął, "odpłynął", jak zauważyła Taran. Odpłynął od żenujących okoliczności.

Wszyscy się z tego ucieszyli.

Koń Duńczyka, uwiązany z tyłu za powozem, grzecznie ruszył z miejsca.

- I tak skończyła się nasza podróż - krótko oświadczyła Taran. - Nic nam nie wyszło z wizyty w mieście.

- Rzeczywiście, nieudana wyprawa - przyznał Rafael. - Ale przełożymy ją na później, przynajmniej ten jasnowłosy łotr nie będzie nam już przeszkadzać.

- Nie mam ochoty sprowadzać go do domu naszych miłych gospodarzy.

- Nie mamy wyboru, jeśli chcemy się w miarę przyzwoicie zachować wobec rannego. Ale nie mówmy o nim, może tylko udaje nieprzytomnego i nas podsłuchuje.

- Ktoś tak próżny i dbający o męską dumę nie ślini się przytomny. Nie zwracajmy na niego uwagi.

- Dobrze, Danielle, czy wobec tego możemy teraz usłyszeć twoją historię?

- No właśnie, jak się od niego uwolniłaś? - dopytywała się Taran. - Jak on wygląda, co to w ogóle jest?

Dziewczynie w oczach znów zakręciły się łzy, ale wzięła się w garść i zdała im relację najlepiej jak umiała. Opowiadając o tym, jak niezwykle pociągał ją ten potwór, oświadczyła bezradnie:

- Nie rozumiem, dlaczego chciałam do niego iść. To było takie dziwne, takie obrzydliwe, nic z tego nie pojmuję!

- Za to ja rozumiem - stwierdziła Taran, a Rafael kiwnął głową. - Sądziłam tylko, że węże, jaszczurki i im podobne są raczej zimnokrwiste.

- Ja też tak myślałem - przyznał Rafael. - Ten jednak zdaje się bardzo lubieżny. Danielle przenosiła wzrok z jednej osoby na drugą, niczego nie rozumiejąc.

- Ależ, dziewczyno - zniecierpliwiła się Taran. - Musisz chyba wiedzieć coś o życiu? Choćby tylko się domyślać?

Rafael objął młodszą siostrę.

- Chyba nie. Mama, ojciec i ja zawsze staraliśmy się chronić Danielle.

- To się mści - burknęła Taran. - Mogło się naprawdę źle skończyć. Sądziłam, że przynajmniej Erling ma trochę więcej oleju w głowie.

- Ojciec ubóstwia Danielle, trzyma ją pod kloszem. Przyznaję, że powinniśmy wykazać pod tym względem więcej rozsądku. Taran, czy ty, jako dość doświadczona, nie mogłabyś porozmawiać z Danielle, kiedy przyjedziemy na dwór?

Taran zapłonęła gniewem.

- Po pierwsze, nie jestem doświadczona, dziękuję za takie słowa, a po drugie, uważam, że nie powinniście spychać na mnie wszystkiego, co nieprzyjemne. To wy jesteście odpowiedzialni za Danielle. Nie będę uczyć mojej ciotki o tajemnicach życia i jego ciemnych stronach!

Zawsze bawił ich fakt, że Danielle jest w pewnym sensie ciotką dla trojga dzieci czarnoksiężnika, bo przecież Theresa była matką Tiril, a także przybraną matką Danielle i Rafaela. Teraz jednak przestało to już być takie zabawne.

- Mów dalej, Danielle - poprosił Rafael, chcąc złagodzić gniew Taran. - Jak zdołałaś wyjść cało z opresji?

Dziewczynka opowiedziała o przybyciu Soi, która odwróciła od niej uwagę jaszczura.

- Soi z Ludzi Lodu - powtórzyła Taran zamyślona. - Nigdy wcześniej nie słyszałam tego imienia. W każdym razie wdzięczni jesteśmy, że przybyła, bez względu na to, skąd.

- Nie pojmuję, skąd się wzięła - oświadczyła naiwnie Danielle. - Nagle się pojawiła. Pytała, czy mam na imię Taran.
- Naprawdę? - Taran się wyprostowała. - Wobec tego przypuszczam... Rafael pokiwał głową.
- Że została tu przysłana. Duch?
- Nie, wyglądała na bardzo rzeczywistą - upierała się Danielle. - Chociaż... kiedy tak mówicie... Nosila bardzo staromodny strój, piękny, ale z innej epoki.
- Z jakiej?
- Tego nie wiem. Może z końca szesnastego wieku?
- I Sigilion zapomniał dla niej o tobie?
- O, to świetnie rozumiem. Była baśniowo piękna.
- Urielu, czy to ty ją przysłałeś? - rzuciła Taran w powietrze.
- Nie, zapewniam! Nic mi o tym nie wiadomo.
- No tak, tobie brakuje przebiegłości.
- Ależ, Taran! Proszę o więcej szacunku! - rzekł urażony anioł.
- Z kim ty rozmawiasz? - zdziwiła się Danielle, rozglądając się dokoła. - Słyszałam jakiś głos. Kto to jest Uriel?
- Nie zwracaj na to uwagi.
- Wszystko jedno, kim była ta Soi, niech ją Bóg błogosławi - oświadczył Rafael.
- Amen - dokończyła Taran.

W lesie powietrze gęste było od zmysłowości. Sigilion nigdy jeszcze nie spotkał podobnej kobiety, zdawała się niemal bardziej rozpalona niż on.

Nie mógł jej jednak dogonić. Śmiała się i drwiła z niego, wprawiając go w podniecenie. Danielle, gdyby go teraz ujrzała, wpadłaby w panikę. Jego organ ukazał się w całej okazałości.

Nigdy jeszcze nie czuł tak gwałtownego, skondensowanego pożądania.

Czasami już - już ją miał, miękkimi dłońmi pieściła go po lśniącym ciele, ale kiedy chwycił ją w ramiona, nagle okazało się, że jest od niej oddalony o spory kawałek. Nie rozumiał, jak mogła poruszać się tak zwinnie i szybko. Chwilami

zupełnie znikła mu z oczu wśród drzew, znajdował tylko jej buty i pończochy, które zdjęła w biegu. Potem znów się pojawiała, Sigilion, istota niezwykle szybka, zaraz ją doganiał. Kiedy odchyliła głowę w tył, odsłaniając piękną linię szyi i dekolt, czuł, że jest bliski szaleństwa z żądzą, dotknął jej ramienia, ale znów mu się wymknęła.

Ledwie zdołał nad sobą zapanować, ale nie chciał, by cenne soki życia spłynęły na ziemię. Ujrawszy bluzkę leżącą pod drzewem, podniósł ją i obwąchał, przycisnął do ciała. Kobieta znów mu mignęła między drzewami.

Tym razem na niego nie czekała. Naga od pasa w górę biegła dalej.

Potem znalazł jej spódnice, a później resztę ubrania. Rozumiał, że teraz jest już całkiem naga.

Oddychał ciężko. Całe ciało mu drżało, nastawione na spotkanie z tą kobietą. Wówczas znów ją dostrzegł.

- Sigilionie - zaćwierkała. - Jeszcze się zobaczymy. Bo chciałabym cię kiedyś bliżej poznać, do zobaczenia.

Schowała się za świerkiem. Pomknął za nią, ale zniknęła bez śladu.

Rozłożył swe błony lotne i wzbił się w powietrze. Długo krążył nad lasem, ale nigdzie jej już nie widział.

O młodej pannie, którą spotkał najpierw, dawno już zapomniał.

Dużo czasu upłynęło, zanim przypomniał sobie, jaki jest jego właściwy cel: znaleźć Taran.

Jeszcze dłużej trwało ugaszenie trawiącej ciało żądzą. Postanowił, że zdobędzie tę dziką piękność, która nazwała się Soi z Ludzi Lodu.

Potem będzie mógł na nowo stanąć do walki o niebieski szafir.

Rozdział 19

W jakiś czas potem woźnica musiał wstrzymać konie, spotkali bowiem dyliżans pocztowy, a droga dla dwóch powozów okazała się za wąska. Finkelborg ocknął się, otarł brodę i rozejrzał się dokoła nieprzytomnym wzrokiem.

- Co? Gdzie ja jestem, co się stało, mój kord, moje pistolety?

- Spokojnie, spokojnie, to tylko poczta - pocieszała go Taran. - Wkrótce się miniemy.

Welony mgły otaczające myśli Rasmusa Finkelborga zaczęły się z wolna rozwiewać, przypomniał sobie swą ze wszech miar zawstydzającą i kłopotliwą sytuację. Na jego obronę należy przyznać, że kiedy już doszedł do siebie, myślał szybko.

- Pocztylion? Czy mogę wysłać list? Rodzina się o mnie martwi, chciałbym ją uspokoić.

Taran i Rafael porozumieli się wzrokiem.

- To chyba rozsądna prośba - stwierdziła Taran. - Ale musi się pan pospieszyć, bo chcemy dotrzeć do domu przed zapadnięciem ciemności, a pan jest ciężko ranny.

- Nie mamy żadnych przyborów do pisania - powiedział Rafael.

- Ja je mam, w jukach.

- Nie będzie żadnych prób ucieczki.

- Ale... - na twarzy Finkelborga znów wykwit! panieński rumieniec.

- Żadnych ale - przerwała mu Taran. - Gdzie są?

Wyskoczyła już z powozu, Finkelborgowi nie pozostawało więc nic innego, jak wyjaśnić, gdzie znajdują się przybory. Pałał gniewem, że będą grzebać w jego rzeczach, ale i z przyczyn jeszcze bardziej osobistych.

Teraz, kiedy ta niewychowana pannica wysiadła, a druga popłakiwała nad własnym losem, wyprężył się i tak wyraźnie jak mógł, krzyknął władcym, wojskowym tonem do Rafaela:

- Proszę o wypuszczenie mnie za naturalną potrzebą.

Właśnie wtedy wróciła Taran. Finkelborg wyrwał jej z ręki przybory do pisania, błyskawicznie skreślił kilka słów na arkuszu papieru, złożył go i zapieczętował. Na wierzchniej stronie zapisał adres.

- Dobrze - powiedziała Taran. - Przekażę list pocztylionowi.

Rasmus Finkelborg odsunął papier od wyciągniętej dłoni Taran.

- Nie! - krzyknął głośno, aż popatrzyli na niego podejrzliwie. - Sam zaniosę.

- Nigdy w życiu - zaprotestowała Taran. - Żadnej próby uciecz...

Przerwał jej Rafael.

- Hrabia Finkelborg może sam zanieść list. Ja go dopilnuję, wezmę pistolet. Ma pan jeszcze inną sprawę, prawda?

Hrabia Finkelborg doznał głębokiego upokorzenia, kiedy młodzieńki chłopak nadzorował go, gdy szedł do powozu pocztowego, a później w krzaki. Natura jednak rządzi się własnymi prawami, wiedział, że dłużej już nie wytrzyma. Przez cały czas przeklinał, że rankiem wlał w siebie cały wielki kufel piwa. Nigdy więcej! Nigdy!

Owszem, mógł zaatakować delikatnego Rafaela, lecz czuł respekt przed pistoletem. Ale i tak lepiej, że towarzyszył mu dyskretny, dobrze wychowany szlachcic, a nie prymitywny parobek, który na szczęście wraz z pocztylionem miał dość roboty przy mijaniu się powozów.

W powrotnej drodze do powozu Finkelborg przeżył nawrót słabości i Rafael musiał go podtrzymywać. Wreszcie wszyscy znaleźli się na miejscu, a powozy mogły ruszyć po błotnistej drodze we właściwych kierunkach.

Hrabia ze wstydu nie otwierał oczu, chociaż mógł to już robić bez trudu. Udawał nieprzytomnego, lecz tym razem został przejrany, bo dolna warga nie zwiślała mu swobodnie, a ślina nie ciekła z ust, siedział sztywno oparty, z wyrazem cierpienia na twarzy.

Młodzi ludzie nie rozmawiali już ze sobą, by przypadkiem nie zdradzić

Finkelborgowi nic poza tym, co naprawdę chcieli mu powiedzieć.

Aurora i Theresa, pochylone nad hrabią Rasmusem, użalały się nad rozległą raną. Chory leżał w łóżku. Starał się zachowywać jak przystało na mężczyznę, ale przez ból omal nie rozsadzający mu głowy, ledwie mówił.

- Szkoda, że nie ma tu Móriego albo Dolga - stwierdziła Theresa. - Oni prędko by go wykurowali.

- Szczególnie Dolg ze swoim szafirem - podchwyciła niczego nieświadoma Aurora, gdyż młodzi nie zdążyli wyjaśnić, kim jest Finkelborg. Gdy przyjechali, jego stan tak się pogorszył, że musieli go czym prędzej położyć do łóżka. Kiedy Theresa próbowała unieść mu głowę, krzyknął z bólu. Obie kobiety obróciły go na brzuch, przypuszczały bowiem, że ranny został także w kark.

- Musimy zdjąć ten naszyjnik - oświadczyła Aurora. - Ale jak przesuniemy go przez głowę, nie znosząc najdrobniejszego muśnięcia?

Na słowo "naszyjnik" Finkelborg zaprotestował jeszcze głośniejszym krzykiem. Kobiety jednak, sądząc, że bardziej cierpi, dalej starały się zdjąć mu zakrwawiony, wżynający się w skórę łańcuch.

- Nie ruszajcie tego - jęknął Finkelborg głosem zduszonym przez poduszkę. - Nie zdejmujcie go, inaczej umrę.

- Głupstwa - roześmiała się Aurora.

W tej samej chwili spostrzegły, co wisi na łańcuchu.

Theresa znieruchomiała.

- Znak Świętego Słońca? - szepnęła zdumiona. - Wobec tego rozumiem, że boi się pan go stracić. To on uratował pana od tego bezwzględnie śmiertelnego ciosu. Aurora popatrzyła na przyjaciółkę pytająco.

- Hodujemy węża na własnym łonie - zacytowała Theresa. - To przekłęci rycerze Słońca, proszę mi wybaczyć to słowo, ale tym razem było jak najbardziej na miejscu.

- Ależ, moja kochana - szepnęła Aurora. - W moim domu?

- Bardzo cię przepraszam - powiedziała Theresa. - A więc dlatego hrabia Finkelborg zawitał tutaj tak nieoczekiwanie, chociaż spodziewano się, że przebywa w Bergen. Nieładnie, panie hrabio. Czego chce od nas Zakon Słońca tym razem?

Do pokoju wszedł Rafael.

- On ściga Taran, chciał ją wziąć jako zakładniczkę i wymienić na niebieski kamień. Ale nie tylko on.

- Jeszcze jacyś rycerze?

- Nie, prawdę powiedziawszy, konkurent. W dodatku znacznie bardziej niebezpieczny niż nasz żaloszny hrabia.

Gdyby nie przeszkodził mu ból, Duńczyk, słysząc obelgę, zgrzytnąłby zębami.

- Właśnie ta istota zaatakowała Finkelborga.

- Naprawdę? Sądziłam, że to jakiś olbrzymi niedźwiedź.

- Nie wiemy, co to za istota. Danielle go widziała i opisuje jako jaszczura. Na szczęście potwór nie zrozumiał, że równie dobrze mógłby pojmać jako zakładniczkę Danielle.

Finkelborg, zły, zapamiętał to sobie. Oczywiście znacznie łatwiej byłoby zastawić sidła na tę młodą panienkę niż na nieznośną Taran! Okazał się kompletnym durniem. Teraz jednak miał już wszystkiego dość, wołał, żeby całą sprawą zajęli się inni.

Rafael ciągnął:

- Danielle nieoczekiwanie pospieszono z pomocą. Pojawiła się młoda kobieta, która powiedziała, że nazywa się Soi z Ludzi Lodu. Czy kiedykolwiek o niej słyszałyście?

Pokręciły głowami.

- Mamy wobec niej ogromny dług wdzięczności - stwierdził Rafael. - Gdyby się nie zjawiła i nie skusiła jaszczura, który nosi imię Sigilion, pewnie nigdy więcej nie zobaczylibyśmy naszej Danielle, jestem o tym szczerze przekonany.

Theresa pobladła.

- Niepokoi mnie bardzo, jak się dalej potoczyły losy tej młodej kobiety, Soi - powiedział Rafael.

Jakież to podobne do tego chłopca, pomyślała Theresa wzruszona. Zawsze troszczy się o innych! Nauczył się tego od moich wnuków!

- Czy sądzisz, że Móri może wiedzieć coś na temat tego... jak go nazwałś? Sigiliona?

- Móri może nie - odparł Rafael. - Ale jego duchy pewnie coś wiedzą.

- Szkoda, że ich tu nie ma - westchnęła księżna.

Finkelborg przysłuchiwał się im z rosnącym zdumieniem. Jak dużo właściwie wiedzieli ci ludzie? Niemal się przestraszył. Posiadali znacznie większą wiedzę niż bracia zakonni. Słyszał też, że czarnoksiężnika i jego rodzinę łączą pewne związki z duchami, nigdy jednak nie chciał uwierzyć w takie babskie gadanie. Po zadanych mu ciosie powoli zmieniał opinię.

Nie chciał mieć więcej nic wspólnego z tą sprawą. Zamierzał złożyć raport - przyprawiony szczegółowymi opowieściami o jego strasznych przeżyciach i dzielnej walce i cierpieniu. Później, żywił nadzieję, będzie otrzymywał bardziej godne zadania niż pogoń za młodymi damami i dziewczynkami.

Czy jednak nie tym właśnie od zawsze zajmował się Zakon? Prześladowaniem irytujących go, bezwartościowych panien? Najpierw Theresa, ona przynajmniej nosiła tytuł księżęcy, potem jednak rycerze staczali się coraz niżej. Tiril - wszak nie była warta, by dumny rycerz tracił na nią czas i siły. A teraz Taran i nic nie znacząca Danielle, myślał z goryczą. I na pociechę dla samego siebie: oczywiście Taran się nie liczyła.

Stłumił wewnętrzny głos podpowiadający mu, że wcale tak nie jest.

Niebezpiecznie się do niej zbliżyć, przecież odczuł to na własnej skórze! Jeszcze bardziej martwił go inny szczegół, ale o nim nie śmiał nawet myśleć w obawie, że w gorączce się przed nimi zdradzi. Nie powinien dopuścić, by czegokolwiek się choćby domyślali.

Leżąc ze śmiertelną raną mógł przynajmniej słuchać i uczyć się. Na szczęście zatrzymał łańcuch ze znakiem Słońca. Gdyby mu go odebrano, uszłyby z niego ostatnie siły, był o tym przekonany. Tylko znak Słońca ocalił go przed tym, którego nie zdążył nawet zobaczyć, przed tym, którego nazywali Sigilionem. Jaszczurem? Brednie!

Sytuacja i tak była już dostatecznie trudna, nie muszą wciągać w to gadów.

Gdyby Finkelborg mógł obejrzeć swą głęboką ranę, myślałby inaczej. Miał jednak rację: nic innego nie mogło ocalić go od śmierci, kiedy Sigilion zadał straszny cios. To znak Słońca uratował mu życie.

Nawet leciusieńkie okrycie drażniło skórę. Musieli zrozumieć, że nikt nie może się do niego zbliżyć.

- Kiepski gust jeśli chodzi o ubranie - skomentowała Aurora, ściągając mu pończochę. Już ten ruch zdawał się tysiącem noży wbijać w głowę hrabiego. - Żadnego stylu!

Theresa przyznała jej rację.

- Bardzo nieumiejętne połączenie! Zbyt rzucające się w oczy szczegóły przy skromnym, zdawałoby się, mundurze. Ale on przecież jest Duńczykiem. Czegoż można się spodziewać po narodzie, który miał dwie królowe o cudownych imionach Dragomira i Berengaria, a przechrzcił je na Dagmar i Bengerd?

- Jesteś trochę niesprawiedliwa, Thereso - powiedziała Aurora z uśmiechem. - Pewnie po latach przeżytych z Adolfem masz Duńczyków po dziurki w nosie?

- W każdym razie na pewno Holsteinów - przyznała Theresa nie bez gorzkości. - Duńczycy to dobry naród, ale i wśród nich zdarzają się czarne owce.

Finkelborg poczuł się okropnie, pociemniało mu w oczach, zaszumiało w uszach. Każdy dźwięk groteskowo się wyolbrzymił.

Czy te baby nie mogą przestać gadać o nieistotnych głupstwach, aby on wreszcie mógł wypocząć?

Ale nie. Wezwały lekarza, który miał zszyć ranę!

Finkelborg, dłużej nie panując nad sobą, wydał z siebie niekontrolowany krzyk strachu.

Rozdział 20

Nie ośmielono się puścić Taran na powtórny wyprawę do Christianii, przynajmniej dopóki nie było pewności, że niebezpieczeństwo minęło. Kiedy to nastąpi? Wciąż czuli, że nad ich głowami zawisł miecz Damoklesa. Dopóki rycerze zakonni będą ścigać rodzinę, nikt nie zazna spokoju.

Istniało przecież jeszcze jedno zagrożenie. Młodzi ludzie dniem i nocą wyteżali oczy i uszy, bojąc się, że wróci Sigilion. Dotychczas jednak niczego nie zauważyli. Gdy tylko stało się to możliwe, pozbyli się hrabiego Rasmusa Finkelborga z domu. Lekarz zabrał go do siebie, kiedy hrabia odzyskał siły na tyle, by można go było przewieźć. Później miano go wsadzić na statek płynący do Bergen. Tak szybko, jak tylko się da.

Taran zaczęła się czuć jak zwierzę w klatce. Gdyby z wizytą nie przybył ze Szwecji młody syn dalekiego krewniaka Augusta, nie bacząc na wszelkie zakazy porwałaby się pewnie na coś ekscytującego, na przykład na samodzielny wypad do Christianii.

Uriel przez pierwsze nudne dni był jej wielką pomocą. Wzywała go zwykle, kiedy była sama. Odmawiał pokazywania się, ale prowadzili ciche rozmowy, już nie w jej myślach, lecz tak, jakby stał obok niej. Co prawda drażniła się z nim i bezustannie się sprzecjali, ale żartobliwie. Taran pokazała mu, że drobne złośliwości także mogą być pieszczotliwe, bo tylko z najlepszymi przyjaciółmi człowiek ośmiela się droczyć w taki sposób.

Uriel wreszcie to pojął, jego uwagi także stały się śmielsze. Pewnego dnia po długiej wymianie zdań, kiedy przerzucali się słowami niczym niewidzialnymi piłkami, Taran wykrzyknęła:

- Wyobraź sobie, że z Blitildą byłoby ci tak wesoło jak ze mną. Stałaby się wówczas w pełni twym wyśnionym ideałem.

- Nie chcę Blitildy, chcę ciebie!

Ta wypowiedź nawet Taran zdołała wprawić w osłupienie. W końcu spytała słodkim głosem:

- Co ty powiedziałeś, kochany Urielu?

Uriel mocno się zmieszał.

- Oczywiście nie to miałem na myśli! Chcę, żebyś była moją podopieczną, chyba rozumiesz!

- O co ci teraz chodziło? - zagruchała Taran. - "Nie to miałem na myśli". Co miało znaczyć to "to"?

- Ależ, Taran! Naprawdę nie chodziło mi o nic poza...

- Mów do mnie jeszcze! - roześmiała się triumfalnie. - Zaplątałeś się, przyjacielu! Masz nieczystą wyobraźnię, chłopcze!

- Odchodzę! - oświadczył urażony.

Dziewczyna natychmiast pożałowała swoich słów.

- Nie, Urielu, nie zostawiaj mnie. Potrzebuję cię, bez ciebie tak okropnie się nudzę!

Było już jednak za późno. Uriel ją opuścił i nic nie pomogły jej krzyki i wyzwiska.

Zniechęcona przysiadła na łóżku, machając nogami. Co ona znów nawyprawiała?

Ale że też on jest taki obraźliwy!

Babcia Theresa wyczuła, że Taran w ostatnich dniach jest wytrącona z równowagi. Było to wprost niezwykle u tej wesołej, kipiącej przedtem życiem dziewczyny. Theresa słyszała, że Tiril w pierwszych latach życia była takim swobodnym, spontanicznym dzieckiem, ale niezwykle trudne lata dorostania zniszczyły w niej te cechy.

Taran odziedziczyła po matce pogodne usposobienie i optymizm, chociaż brakowało jej być może wszechogarniającej miłości do ludzi i wszystkich żywych stworzeń. Taran z kolei miała w sobie odrobinę diaboliczności, całkiem obcej matce, obie jednak kochały życie. Theresa obawiała się, że Taran z wiekiem utraci siłę, jaką niesie radość istnienia.

Sama Taran także zdawała sobie sprawę, że jest wytrącona z równowagi. Nie potrafiła wyjaśnić, dlaczego, czuła tylko, że w jej życiu coś jest absolutnie nie tak. Jakby znalazła cel, jednocześnie będąc świadoma, że nigdy nie zdoła go osiągnąć.

Było to źródłem jej irytacji i frustracji.

Na przykład poprzedniego dnia Rafael stwierdził, że kiedyś będzie musiała znaleźć sobie męża, nie może wciąż tylko flirtować na lewo i prawo.

- Nie potrafisz się zakochać? - spytał Rafael.

Taran odburknęła coś niegrzecznie i trzasnęła drzwiami. Uciekła do swego pokoju i wybuchnęła płaczem. Nie zdarzyło się to od dawna. Taran rzadko odczuwała potrzebę ronienia łez.

Stała się niespokojna, poirytowana i niemiła dla innych. Większym uczuciem natomiast zaczęła darzyć zwierzęta i ludzi nie potrafiących znaleźć swego miejsca w społeczeństwie. Wszystko wprawiało ją w większe wzburzenie niż zwykle, nastrój w jednej chwili potrafił jej się zmienić od niebiańskiej radości do najbardziej czarnego smutku i rozpacz.

Nigdy dotąd tak bardzo się nie starała, żeby być dobrym człowiekiem. I nigdy jeszcze nie doznała pod tym względem tak sromotnej porażki...

Została u siebie aż zapadły ciemności, a księżyc oświetlił pokój.

Nie bardzo wiedziała, kiedy się zorientowała, że w jej pobliżu pojawiło się coś nowego. Do pokoju wpadł niewielki cień i zaraz zmaterializował się w piękną młodą dziewczynę, ciemnowłosą jak Taran, ale z zupełnie innym nastawieniem do życia. Na jej twarzy malował się smutek.

- A więc to ty jesteś Taran - odezwała się nieznajoma staroświeckim dialektem, najwidoczniej wywodzącym się z epoki tej samej co jej strój. - Tak, tak, ta druga wydała mi się zbyt grzeczna i skromna.

- Danielle? A więc ty musisz być Soł z Ludzi Lodu - Taran wprost zapało dech w piersiach. - Ale jak się tu dostałaś?

- Przyplłynęłam na promieniu księżycy - roześmiała się nieznajoma. - Czy mogę z tobą porozmawiać?

- Ach, oczywiście, bardzo proszę, gdzie chcesz usiąść?

- Siadę koło ciebie na łóżku. Rozumiem, że jesteś przyzwyczajona do duchów?

- O, tak, ojciec ma ich całą gromadkę. Ale dawno już ich nie widziałam.

- Za to ja się z nimi spotkałam - oznajmiła Soi. - Sprowadził mnie potężny duch opiekuńczy twego brata.

- Cień? On jest wspaniały, prawda?

- Owszem, jeśli ma się go za przyjaciela. Jako wróg musi być śmiertelnie groźny.

- Rycerze zakonnicy dobrze o tym wiedzą - zauważyła Taran z goryczą.

Całkiem naturalna wydała jej się ta rozmowa z dziewczyną z zamierzchłych

czasów. Jak zauważyła Danielle, były do siebie podobne sercem i duszą.

Czarodziejskie światło księżyca nadawało ich spotkaniu jeszcze bardziej tajemniczy wymiar.

Z okna lekko powiało, ale powietrze letniej nocy było łagodne, do środka wpadł aromat świeżo skoszonej trawy.

- Nie powinnaś sypiać przy otwartym oknie - zauważyła Soi z Ludzi Lodu. - Nie tylko ja żegluję na promieniu księżyca.

- Chodzi ci o tego, którego nazywają Sigilionem?

- Właśnie! Zamykaj okno, bez względu na to, jak ci jest gorąco. On jest bardzo niebezpieczny dla młodych dziewcząt, zwłaszcza takich, które marzą o zakazanej miłości. Sama miałabym ochotę, by go bliżej poznać.

Skąd o tym wiesz? chciała zapytać Taran, ale się powstrzymała.

Jakie to wszystko dziwne, jakie piękne! Taran ogarnęła dziwna melancholia, a zarazem ogromne szczęście, że dane jest jej to wszystko przeżywać. Związała się bowiem niezwykła nić porozumienia między nią a tą... Nie chciała nazwać Soi nieszczęśliwą, już nie, ale...

Po zamknięciu okna powiedziała:

- Soi z Ludzi Lodu, nie wiem, skąd przybywasz ani kim jesteś, wiele jednak w tobie wyczuwam. Smutek? A jednocześnie nie smutek?

- Masz rację - pokiwała głową piękna Soi o figlarnych oczach. - Moje życie było tragiczne, po śmierci jednak miewam się wspaniale!

- Zechcesz mi o tym opowiedzieć? - spytała Taran, sadowiąc się wygodniej w kącie łóżka ze skrzyżowanymi bosymi nogami.

- Masz siłę słuchać? To może zająć trochę czasu - uśmiechnęła się Soi. Zzula buty i siadła w przeciwległym kącie. Wyraźnie miała ochotę opowiadać.

Taran ułożyła kapę tak, aby obie mogły sobie grzać stopy, i oznajmiła:

- Mam wiele innych pytań, na przykład dotyczących Sigiliona. Ale czasu mi nie brakuje. Mów!

- Przede wszystkim - zaczęła Soi - jestem czarownicą, i nie chwale się, ot tak sobie, nie mając pojęcia o niczym. Niejedna chciałaby nazywać się czarownicą. Ale ja nią jestem naprawdę.

- Wierzę ci. Czy córka czarnoksiężnika miałaby nie wierzyć w istnienie czarownicy, widząc taką na własne oczy? Niestety ja nie posiadam żadnych uzdolnień w tym kierunku, wszystko odziedziczył mój brat Dolg. niesprawiedliwie, po co mu aż tyle? Wiem, wiem, on musi umieć więcej niż inni.

Zdawała sobie sprawę, że mówi trochę niemądrze, za wszelką jednak cenę chciała okazać swą przyjaźń i nie mogła zapanować nad potokiem słów.

Soi jednak wcale się nie niecierpliwiła, pokiwała tylko głową.

- Widziałam Dolga, jest bardzo szczegółny. Chciałabym go poznać, ale przede wszystkim mam się zająć tobą. Wracając do mnie, moje życie z początku było bardzo przyjemne. Czarowałam, zaklinałam, robiłam z ludźmi, co chciałam. Zabijałam łajdaków, pomagałam dobrym i wiodłam... tak, grzeszne życie. Dłużej jednak tak być nie mogło. Kiedy dorosłam i zatęskniłam za miłością, zrozumiałam, jak bardzo różnię się od innych ludzi i jaka jestem samotna. Przeżyłam dwadzieścia dwa lata.

- Och, nie - szepnęła Taran ze współczuciem. - Ja mam dziewiętnaście lat i nie potrafię sobie nawet wyobrazić, że zostały mi zaledwie trzy lata życia. Ale co się stało z tobą? Nie znalazłaś nikogo, kogo mogłabyś pokochać?

Soi zapatrzyła się w widok za oknem.

- Nie. Ziemszy mężczyźni okazali się dla mnie zbyt słabi. Dla ciebie także się nie nadają.

- O, z pewnością wkrótce znajdę kogoś, kogo pokocham i będę mogła go drażnić.

- Właśnie o to chodzi. Masz dla nich zbyt silną osobowość. Ziemiaków nigdy cię nie zadowolili. Dość jednak już o tym. Po śmierci przyjęto mnie do gromadki tych zmarłych Ludzi Lodu, którzy zostali odrzuceni przez własną rodzinę i przez innych

ludzi, pomimo że sercem i duszą byli dobrzy. Widzisz, bo i ja byłam dobra, tylko nie potrafiłam tego okazać.

Taran kiwnęła głową. W oczach młodej czarownicy potrafiła wyczytać jej tragedię.

Wolę czynienia dobra, której przeszkadzały targające Soi mroczne siły.

Gość podjął już weselszym tonem:

- Służymy teraz pomocą naszym potomkom, zmagającym się z okropnym przodkiem, Tengelem Złym.

- To brzmi bardzo interesująco.

- Bo takie też i jest. Nigdy nie było mi lepiej niż teraz. Przewodzi nam mój wuj, Tengel Dobry, a nasza gromadka staje się coraz liczniejsza w miarę, jak dotknięci przekleństwem z naszego rodu umierają. Widzisz, ciąży nad nami przekleństwo, zesłane przez Tengela Złego; w każdym pokoleniu jeden członek rodziny musiał zostać poświęcony złu. Coraz więcej burzy się przeciwko takiemu obrotowi sprawy. Obecnie żyje czworo dotkniętych przekleństwem i wszyscy opowiedzieli się po naszej stronie w walce ze złem, chociaż są zaiste diaboliczni.

Taran spojrzeniem zachęciła ją do dalszego opowiadania.

Soi nie dała się prosić. Zwinęła się w kłębek w kącie łóżka jak śliczny, a zarazem niebezpieczny kociak.

- W Norwegii mieszkają Ingrid i Ulvhedin, jest też dwoje daleko na wschodzie, Mar i Shira. Shira nie ma w sobie ani odrobiny zła, urodziła się, została stworzona, aby nas ocalić. Mar natomiast zalicza się do naprawdę niebezpiecznych.

- Ale o dobrym sercu.

- Właśnie. Jest ich aż czworo, bo właściwie należą do różnych pokoleń. Shira stoi trochę z boku, jest pod wieloma względami wyjątkowa. Ale teraz pomówimy trochę o tobie.

Taran zdrętwiała.

- Pst! Co to było?

Soi także znieruchomiła. Obie czujnie nasłuchiwały.

Z daleka dobiegło pełne skargi wycie. Przeciągły skowyt.

- Wilki? - z niedowierzaniem powiedziała Taran.

Soi odetchnęła.

- Nie ma się czym przejmować, one towarzyszą mnie. Nie pytaj, dlaczego, po prostu zawsze tak było, a kiedy przeniosłam się do świata duchów, zrozumiałam, że one należą do przyszłości.

- Nie bardzo to pojmuję - powiedziała Taran.

- Ja też nie - przyznała Soi. - Wiem jedynie, że wielkie wilki będą mieć dla Ludzi Lodu, nie dla mnie osobiście, ogromne znaczenie w przyszłości. W walce przeciwko Tengelowi Złemu staną u naszego boku. Czekają tylko, aż ich czas nadejdzie.

Taran kiwnęła głową, choć niewiele z tego rozumiała. Od przejmującego zawodzenia wilków ciarki przechodziły jej po plecach.

Cieszyła się, że nie mają one związku z nią samą ani z jej rodziną. Niepokojący skowyt dotyczył przede wszystkim Tengela Złego.

Postrzępione chmury przypominające kawałki szmat gnały po niebie, chwilami zasłaniając księżyc.

Taran przeszył dreszcz.

Rozdział 21

Uplynęła długa chwila, zanim na powrót odnalazły spokojny, ufny ton. Obie przeraziły się, że słyszą zupełnie co innego.

- Wilkami się nie przejmuj - oświadczyła Soi. - Wystrzegaj się raczej szurania, szumu w powietrzu, cichych szybkich kroków albo syku.

- Wiem, bałam się, że właśnie takie odgłosy usłyszę. Sigilion...

- Miałyśmy rozmawiać o tobie. Widzisz, zostałam wam wypożyczona, ponieważ po naszej stronie jest tak wielu żyjących członków rodu, że poradzą sobie sami. Ale ty chyba nie sama radziłaś sobie do tej pory w walce z Sigilionem?

- Mam przyjaciela, potężnego opiekuna. Niestety, za bardzo go rozdrażniłam i odszedł!

- Ależ ty nie możesz sobie na to pozwolić! Kto to taki? Demon?

- Demon? - powtórzyła zdziwiona Taran. - Nie, to anioł, a w każdym razie prawie anioł. Przeszkodziłam mu w awansie, bo musiał się mną zająć.

Soi odchyliła głowę śmiejąc się serdecznie. - Anioł! Mój ty świecie, jakże więc różnimy się od siebie! Ja śniłam o Szatanie. To jednak był błąd, bo Szatan nie istnieje. Chociaż zawsze znajdzie się grupa fanatyków, którzy weń wierzą, może więc gdzieś jest. Ale to żałosna, nadjedzona przez mole kupka szmat. Nie ma się czym przejmować. Natomiast istnieje Zło. My z Ludzi Lodu dobrze o tym wiemy. Tengel Zły napił się wody ze Źródła Zła. Shira jednak ostatnio dotarła do jasnej wody dobra, a ta woda potrafi zniweczyć działanie ciemnej wody, jeśli tylko znajdziemy ukryte przez Tengela naczynie. Ciesz się, że masz przy sobie anioła! Jakie nosi imię?

- Uriel. I twierdzi, że na razie jest dopiero duchem opiekuńczym.

- Widzisz go?

- Oczywiście. Kiedy tego chcę. Nie, skłamałam, wtedy, gdy on zechce. Ale teraz go wystraszyłam, pewnie już nigdy go nie ujrę.

Soi pochyliła się w stronę Taran, żółtozielone oczy zapłonęły.

- Jeśli wróci, proś go o wybaczenie. Zrozumiałaś? A potem staraj się go zatrzymać!

- Tak, ale...

- Nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo niebezpieczny jest Sigilion. Wspominałam ci już, że sama miałam na niego ochotę.

- On... on wywołuje taki niepokój w ciele, prawda? Chociaż nigdy nie miałam okazji mu się przyjrzeć, widziałam go tylko przez ułamek chwili.

- O, jest wspaniały! Takiego kogoś mogłabym pokochać. Demoniczny, pociągający, straszny. Kto go ujrzy, już mu się nie oprze.

- Jak wygląda? I kim jest?

Księżyc zniknął za chmurą, w pokoju pomroczało. Soi usadowiła się wygodniej.

- Cień mi o nim opowiadał. Wygląda jak istota pośrednia między jaszczurką a człowiekiem.

- Podobne wrażenie odniosłam i ja. Nie brzmi to przyjemnie.
 - Rzeczywiście, przyjemnym nie da się go nazwać. Ale jest fascynujący! Ach, jaki fascynujący! I piękny!
 - Trudno mi to sobie wyobrazić.
 - Naprawdę tak jest. Przekonasz się, jak go zobaczysz... Och, oczywiście do tego nie dojdzie. Moim zadaniem jest trzymać go od ciebie z daleka, bardzo chętnie się tego podjęłam. Kiedy widziałam go ostatnio, zresztą był to jednocześnie pierwszy raz, tylko się z nim bawiłam. On nie rozumie, że jestem duchem.
 - To rzeczywiście nie mieści się w głowie. Jesteś taka wyraźna, pełna życia.
 - Staję się wyraźna, kiedy sama tego chcę.
 - Uriel także. Ale on nie chce nigdy.
 - O tym zdecydujesz ty. Na pewno zdołasz go namówić.
 - Nie wierzę. Jest na mnie wściekły. I uparty jak... anioł!
- Soi tylko się uśmiechnęła. Potem powiedziała:
- Myślę, że zamaçałam Sigilionowi w głowie. Po prostu zniknęłam. Widziałam, że długo jeszcze szukał mnie w lesie, coraz bardziej zirytowany. Wiesz chyba, że on potrafi latać? Krążył nad lasem.
- Taran zadrżała.
- To dlatego prosiłaś, żebym zamknęła okno? Zatrąszczę się, żeby w całym domu nie znalazł najmniejszej nawet szparki!
 - Potrafi równie dobrze przedostać się kominem. Wpełza do przewodu głową w dół.
 - Wobec tego zastawię na niego pułapkę.
- Soł wybuchnęła śmiechem.
- Doskonale! Tylko tak, żeby nie stracił całej swej godności. Nie mogę się kochać z żalospną figurą.
- Taran szeroko otworzyła oczy.
- Naprawdę masz zamiar...?

- Czas pokaże - oświadczyła Soi, wzduszając ramionami. - Pod tym względem za życia niewiele miałam uciechy. Biednego, upośledzonego parobka, śmierdzącego kata i, niestety, największego łajdaka z rodu Ludzi Lodu. O tym jednak dowiedziałam się dopiero po czasie. Boże, jakże ja go za to nienawidziłam! - Na twarzy pojawił jej się wyraz złośliwego triumfu. - Ale się zemściłam.

Przygwoździłam go do ściany stodoły widłami do siana!

Taran zdrząła przerażona. Oto objawiła się jej jedna z mrocznych stron Soi.

Nie wiedząc, dlaczego, powiedziała smętnym głosem:

- Chciałabym, aby Uriel wrócił.

Soi poklepała ją po ręce.

- Nie bój się, wróci na pewno. Kiedy gniew mu minie, pożałuje, że odszedł.

Poczułam dotyk jej ręki, pomyślała Taran. Jakby dłoń żywej osoby, może trochę chłodna, ale i moje ręce teraz nocą są zimne.

- Co więcej mówił ci Cień o Sigilionie?

- Dużo opowiadał. Dawno, dawno temu istniały inne krainy, inne ludy...

- Słyszałam o tym od Dolga. Ale tylko o ludzie błędnych ogników, Cienia i Strażniczki, tej, która pilnowała niebieskiego kamienia. Wszyscy oni wywodzą się z tego samego plemienia, a w żyłach mego brata Dolga płynie także ich krew.

- Tak, to prawda. Ale wysoko w górach i wielkich lasach żyli Silinowie. Lud jaszczurów. Sigilion był ich władcą. Zginęli podczas katastrofy, jaka nawiedziła świat. Część Lemurów - to plemię Cienia - przeżyła; wyruszyli do miejsca, które Habsburgowie nazwali "morzem, które nie istnieje". Sigilion odwiedził największą świątynię Lemurów, chciał skraść im trzy kamienie. Nie powiodło mu się to, ale cudowna moc kamieni zdążyła na niego podziałać i dzięki temu przeżył. Mieszkał sam w ukrytym przed światem zamku...,

Soi musiała zmienić pozycję.

- Nie, nie całkiem sam. Miał paskudny zwyczaj porywania młodych kobiet z dolin...

- Przecież jego lud wyginął?

- Owszem, ale mówimy o okresie, jaki trudno wprost objąć rozumem. Z czasem pojawiły się nowe światy, nowi ludzie. Im właśnie porwał kobiety.
 - To znaczy, że wcześniej przez tysiące lat był samotny?
 - Tak by się wydawało. Ale za górami rozciągały się stepy. I tam w czasach Lemurów i Silinów mieszkali Madragowie, bawole plemię. Nikt ich nie widział, błędne ogniki tylko o nich słyszały. Sigilion uwięził czworo z nich, zanim potop, czy co to było, zniszczył świat. Mogła to być jakaś inna katastrofa, nic nam o tym nie wiadomo. Ale przez długi czas król Silinów pogrążony był w letargu.
 - Uwięził czworo z ludu Madragów - powtórzyła Taran, chcąc uporządkować wiadomości. - Co się z nimi stało?
 - W jakiś sposób, Ciebie nie wiedział, w jaki, Sigilion zdołał przedłużyć im życie. Pozostają więc w ukrytej twierdzy przez całą wieczność jako jego niewolnicy. Naprawdę możemy mówić tu o wieczności, bo mamy do czynienia z nieskończeniem długimi epokami.
 - Ależ to znaczy, że w imię miłosierdzia musimy spróbować uwolnić tych nieszczęśników!
- Soi uśmiechnęła się leciutko.
- To samo powiedział Villemann, twój brat bliźniak. Takie myślenie bardzo dobrze o was świadczy. Ciebie stwierdził, że to sprawa na później. Przecież nawet nie wiemy, gdzie znajduje się jego twierdza. Niedawno Sigilion zorientował się, że odnaleziono niebieski szafir, i postanowił go zdobyć.
 - Dlaczego?
 - Ciebie niewiele o tym mówił. Nic poza tym, że tylko trzy kamienie razem mogą doprowadzić do Wrót i je otworzyć.
 - Jakie Wrota?
 - Spodziewałam się tego pytania. Nie wiem. Oczywiście sama zapytałam, ale nie otrzymałam odpowiedzi.
 - Na pewno właśnie ich szuka Zakon Świętego Słońca.

- Z całą pewnością. Teraz jednak, moim zdaniem, powinnaś położyć się spać. Właśnie świeci księżyc, skorzystam z jego ostatnich promieni, by się stąd wydostać.

- Czy właśnie w taki sposób się przemieszczasz?

- Nie, po prostu próbowałam być trochę romantyczna - zachichotała Soi.

- Udało ci się - zaśmiała się i Taran. - Czy jeszcze się zobaczymy?

- Obawiam się, że tak.

- Ja się z tego cieszę. Dziękuję, że przyszedłaś.

- Uważaj na siebie! Zawrzyj pokój ze swym anielskim aspirantem.

- Spróbuję. - Taran straciła humor. - Chyba muszę, bo myślę, że masz rację.

Ziemsy mężczyźni są dla mnie zbyt nudni.

- Sama widzisz!

Taran w roztargnieniu pokiwała głową.

Działo się to jednak, zanim szwedzki kuzyn Augusta przestąpił progi domu...

Później w świecie Taran wiele się odmieniło.

Soi lekko pomachała ręką na pożegnanie. Wkrótce potem Taran znów była w pokoju sama. Obeszła cały dom i starannie pozamykała wszystkie okna. W kominku zamknęła wywietrznik. Na razie takie środki bezpieczeństwa musiały wystarczyć. Później opracuje prawdziwie wyrafinowaną pułapkę, w którą złapie ciekawskiego Sigiliona.

Ucieszona i wzburzona wsunęła się do łóżka. Ucieszona spotkaniem z Soi, wzburzona straszliwym jaszczurem i Urielem, który wciąż nie powracał.

Ogromnie jej go brakowało.

Rozdział 22

Uriel gniewał się przez cały dzień, zanim wreszcie się odezwał. Taran nieopatrznie powiedziała, że gotowa jest go uściskać, gdyby nie był taki pozbawiony wszelkiej substancji.

- Jestem niematerialny tylko wtedy, kiedy sam tego chcę - oświadczył z

wyższością. - A teraz właśnie takie jest moje życzenie. Czasami potrafisz przebrać

miarękę, dobrze o tym wiesz. Pozwól, aby nieszczęsny anioł stróż zachował bodaj odrobinę godności!

Taran zapewniła, chociaż kącki ust drżały jej od wstrzymywanego śmiechu, że zachowa swą nudną godność, jeśli tylko jej będzie wolno zachować jego, Uriela.

- Gdzieś ty się podziewał? - spytała szybko, zanim się na nią rozgniewał.

- Prosiłem, aby zwolniono mnie z przydzielonego mi zadania.

Taran naprawdę zrobiło się przykro.

- Chcesz mnie opuścić? Na zawsze? Dlaczego?

Po głosie Uriela poznała, że to kłopotliwe pytanie.

- No... ja... nie radzę sobie z tym zadaniem w zadowalający sposób.

- Dlaczego? Moim zdaniem jako anioł stróż świetnie się spisujesz i powinieneś dostać złotą gwiazdkę w księdze Świętego Piotra. Poza tym jesteśmy takimi dobrymi przyjaciółmi!

- No tak, tylko... Ech, nie mówmy o tym już więcej. W każdym razie nie udzielono mi zgody.

- Musisz więc teraz ze mną wytrzymywać wbrew swojej woli? - Taran żałośnie ściszyła głos.

- Nie, oczywiście to nie tak, ale... To się stało trudne. Już miała spytać: "W jakim sensie?", ale uznała, że najmądrzej będzie milczeć. Jej potężny opiekun miał dzisiaj zły humor.

Uriel zmienił temat i spytał z anielską łagodnością:

- A co ty robiłaś?

Taran z zapalem opowiedziała mu o wizycie Soi i o tym, jak bardzo się zaprzyjaźniły.

- Nie, nie znam Ludzi Lodu - odpowiedział Uriel na pytanie kończące jej opowieść.

- Czy w świecie duchów nie moglibyście lepiej ze sobą współpracować? -

zirytowała się Taran. - Musi tam być jakiś porządek, chociaż jesteście tylko pustymi powłokami krążącymi w powietrzu.

- To nie takie proste - odparł z godnością. - Istnieje nieskończona ilość sfer i wymiarów.

- I żadnych przyjaznych stosunków sąsiedzkich? Żadnych rozmów przez płot?

Taka sama rezerwa i izolacja jak w naszym świecie. Powinniście przynajmniej coś o nich wiedzieć. Tak jak my wiemy o istnieniu Szwedów i Duńczyków, powinniście wiedzieć o nieczystych, zbłąkanych duszyczkach, o krasnalach mieszkających na strychu i zapomnianych Silinach!

- Czym jeszcze się zajmowałaś? - spytał wciąż z uśmiechem, chociaż przychodziło mu to teraz z większym trudem.

- Co robiłam? Tęskniłam za tobą. No i zastawiłam pułapkę na Sigiliona.

- Co takiego?

- Chodź, sam zobaczysz!

Pobiegła do saloniku, gdzie był kominek. Wiedziała, że wszyscy pozostali w ogródku łuskają groszek; uważali tę czynność za niezwykle przyjemną.

- Jesteś ze mną, Urielu?

- Jestem tutaj, ale mam pewne wątpliwości co do twoich poczynań.

- O tej porze roku nie pali się w kominku.

- Nastawiłaś sidła na lisy, w które on ma wpaść? To nie bardzo ładnie...

- Nie, nie, żadne sidła. Sigilion podobno spuszcza się głową w dół, jeszcze by się zahaczył nosem. Zajrzyj do środka, sam się przekonasz.

- O, na miłość boską... - zaczął Uriel.

Taran roześmiała się zadowolona.

- Prawda? Po pierwsze, wysmarowałam przewód kominowy mydłem tak wysoko, jak tylko mogłam sięgnąć. Dzięki temu nie będzie miał o co zaczepić tych swoich paskudnych łapek, rąk czy też szponów, czy jak się to, do stu piorunów, nazywa.

- Taran!

- Czy znów powiedziałam coś zakazanego? Udawaj, że nie słyszałeś, i skup się na tym, co mówię. A kiedy już zaczniesz lecieć w dół, runie głową prosto do wiadra z

odpadkami, pełnego skwaśniałej poniedziałkowej owsianki i innych trudnych do opisanego przysmaków.

- Taran! - Uriel starał się okazać surowość, ale głos go zdradził. Załamał się, w końcu usłyszała, że wybucha śmiechem, tak serdecznym, że nie zdołał dłużej zachować niewidzialności. Taran patrzyła, jak się poddaje, jak siada na podłodze plecami przy ścianie i śmieje się do utraty tchu. Usiadła przy nim, dumna z tego, czego dokonała.

- Wszystko jest takie wspaniałe - westchnęła. - Ty wróciłeś, a paskudny Finkelborg odjechał...

- Finkelborg nie żyje - przerwał jej Uriel z powagą. - Lekarz, który zabrał go do domu, zdjął mu z szyi znak Świętego Słońca, a wtedy hrabia stracił resztki odporności. Odnosił jednak straszliwą ranę.

Taran przycichła.

- Nie chciałam tego - szepnęła. - Walka z Finkelborgiem była dość zabawna, to wymyślanie złośliwości, próby utarcia mu nosa. Ale nie chodziło mi...

- Wiem. Mnie także nie spodobała się ta wiadomość.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

- Co zrobili ze znakiem Słońca?

- Tego nie wiem.

- Czy możesz go dla mnie odszukać?

- Może. Spróbuję. Ale ja nie kradnę.

- Dla mnie nie musisz, weź go tylko, jeśli nie ma właściciela. Ach, Urielu, tak się cieszę, że znów tutaj jesteś!

Nic na to nie powiedział, ale po jego leciutkim, nieco zażenowanym uśmiechu poznała, że i jemu nie jest tutaj źle.

Nagle zdrętwiała.

- Wracają z ogrodu!

Uriel zniknął szybciej, niż myśl przelatuje przez głowę. Taran wstała i otrzepała sukienkę. Siadła na krześle z książką, zorientowała się, że trzyma ją do góry

nogami, więc prędyutko ją odwróciła i odkryła, że czyta "Einführung in coś - bardzo - długiego Pädagogik".

Nazywał się Robert. August na jego widok wzruszył się i uradował.

- Pomyśleć tylko, że to chłopak Agdy! Tak, tak, wiem, że jesteś jej wnukiem.

Zawsze się zastanawiałem, co się stało z Agdą. Była cioteczną siostrą mego ojca, poślubiła Szweda i zniknęła nam z oczu. Ostatnie wiadomości, jakie do nas o niej dotarły, to że urodziła czworo dzieci. Więcej listów nie było.

- Babcia Agda zmarła przed wieloma laty - wyjaśnił Robert, silny i sprawny młody człowiek o jasnobrązowych włosach i wesółych piwnych oczach. Taran, która nigdy nie lubiła przystojnych amatorów długich biegów po lesie aż pot zalewał oczy, zachęcających innych do kłopotliwych zabaw w piłkę, patrzyła na niego koso. Musiała jednak przyznać, że sprawiał wrażenie sympatycznego młodzieńca. Robert miał jechać dalej do Christianii, uprzednio jednak chciał poznać krewniaka Augusta, mieszkającego w okolicy. Mógł zostać przez parę dni.

Z zainteresowaniem przyglądał się dziewczętom, Taran i Danielle, postanowił zabawić jeszcze przez kilka dni, gdyby okazało się to konieczne.

Zdawało się, że Robert równo rozkłada swój podziw dla dziewcząt, przynajmniej z początku. Po kilku godzinach jasne się stało, że woli Danielle.

Taran nie wiedziała, co począć. Oczywiście szczerze życzyła swej "przybranej ciotce" prawdziwego kawalera i trochę zabawy, prawdą jednak było, że i ona uważała towarzystwo Roberta za coraz przyjemniejsze i czuła się... odrzucona? Humor poprawił jej się następnego dnia, kiedy to Danielle zwierzyła się, że nie chce nawiązywać z Robertem bliższej znajomości.

- No tak, ty wolisz mego brata - rozjaśniła się Taran. - Zrobię dla ciebie to, co dla mnie uczyniła Soi z Ludzi Lodu, gdy chodziło o Sigilion. Odciągnę od ciebie uwagę Roberta.

- O, tak, spróbuj - uradowała się Danielle. - Wiem, że on lubi także ciebie.

- To dla mnie drobnostka - oświadczyła Taran z niewzruszoną pewnością siebie.

Uriel nie przyznał jej racji.

- Jakie masz zamiary wobec Roberta? - spytał zadziornie. - Chcesz go zatrzymać... czy też odrzucić, kiedy już cię znudzi?
 - Nie zadawaj takich nieprzyjemnych pytań! Pomagam Danielle. To nie wystarczy?
 - Może dla ciebie i Danielle. Ale co zrobisz, jak on się w tobie zakocha?
 - To brzmi bardzo sympatycznie.
 - Taran, bądź poważna!
 - A jeśli ja się w nim zakocham? - drażniła go.
- Uriel odwrócił się plecami, grożąc, że odejdzie.
- Och, przestań. Tylko żartowałam!

Wcale jednak nie była tego taka pewna. Robert coraz bardziej się jej podobał. Całą duszą starała się, by odkrył jej przewagę nad Danielle, i nie robiła tego tylko i wyłącznie ze względu na przybraną siostrę. Zapragnęła Roberta dla siebie, a uświadomiła to sobie po upływie dwóch dni.

Wcześniej bawili się we dwoje w rzucanie patyków dworskim psom, byli na wycieczce w lesie. Robert wciąż dopytywał się o Danielle, aż Taran miała ochotę go uderzyć. Udowadniała mu, że przewyższa go inteligencją i umiejętnościami - niemądra Taran, w taki sposób nie zdobywa się miłości ambitnego młodzieńca. Spierali się o wiśnie i zrobili zawody, kto prędzej dobiegnie do drzwi. Taran wygrała, popełniając tym samym kolejne głupstwo, ale Uriel nic nie powiedział, podobało mu się bowiem, że robi błędy w kontaktach z Robertem. Bez względu jednak na wszystko: Drugiego wieczoru

Robert zapomniał spytać o Danielle. A przy kolacji widać już było wyraźnie, że woli Taran.

Dziewczyna rozjaśniła się jak słońce i nagle zdała sobie sprawę, że śmiertelnie się zakochała w młodym Szwedzie.

“Wcale tak nie jest”, cierpko zauważył Uriel w jej głowie. “Po prostu podoba ci się, że nadskakuje ci taki przystojny chłopak”.

- Więc uważasz teraz, że on jest przystojny?
- Ty tak uważasz.

Taran zrozumiała, że rozmowa przerodzi się zaraz w bezsensowną dyskusję, i powiedziała: "Teraz cię wyłączam. Dobranoc".

Z żalem stwierdziła, że Uriel posłuchał. Tego dnia już się nie pojawił.

Wieczór Taran spędziła z Robertem, Rafaelem i Danielle na towarzyskiej grze w karty. Bardzo głośno okazywała przy tym swoje zaangażowanie. Zgrzytała zębami i demonstracyjnie ogryzała paznokcie, kiedy się jej nie wiodło, a gdy wygrywała, wznosiła okrzyki radości. Wreszcie Rafael poprosił chłodno, by przestała się głupio popisywać. Odpowiedziała mu ze złością kopniakiem wymierzonym prosto w łydkę.

- Czasami jesteś okropnie dziecinna, Taran - zauważył Rafael.

Taran nie poprawiła swego wizerunku osoby dorosłej, ciskając mu wszystkie karty w twarz.

Skończyło się na tym, że babcia Theresa odbyła z Taran rozmowę na osobności.

- Podoba ci się ten młody człowiek, prawda?

Taran tylko prychnęła w odpowiedzi, wciąż obrażona na Rafaela.

- Widzisz, Taran... - Babcia wzięła ją za rękę. - Młodych mężczyzn takich jak Robert z pewnością bawi, że spontanicznie okazujesz swoje uczucia. Lubią jednak także podbijać serca. Pragną zdobywać kobietę. A w tym przypadku wygląda to tak, że ty jesteś myśliwym, a on zwierzyną.

- To co mam robić, babciu? - Taran westchnęła demonstracyjnie.

- Nie chodzi mi o to, że masz naśladować Danielle. Delikatność i łagodna nieśmiałość to nie dla ciebie. Ale sztuka flirtu nie polega na wielkich operowych gestach. Nie próbuj go bić na głowę we wszystkich zawodach, zarówno gdy dotyczą sprawności fizycznej, jak i inteligencji.

- Chciałabym po prostu, żeby uznał mnie za dobrą we wszystkim - przygasała Taran.

- W pełni już udowodniłaś, że tak jest. Ale także jemu daj możliwość pokazania co potrafi!

Taran zwiesiła głowę jak upomniany kwiat, jeśli coś podobnego w ogóle może istnieć.

Theresa ciągnęła łagodnie:

- Postaraj się być bardziej tajemnicza, nie przebierając się przy tym w czarne welony i znacząco wzdychając. Udawaj, że on cię nie obchodzi. I za wszelką cenę zachowuj się powściągliwie!

- Dobrze, babciu. Dziękuję za rady!

Taran oczywiście z powściągliwością także musiała przesadzić. Tak jak uboga dziewczynka głodnymi oczami wpatruje się w stół bogaczy, tak i ona siedziała w kącie i tęsknie patrzyła, jak pozostali grają w karty. Wodziła wzrokiem za każdym ruchem Roberta, wpatrywała się w jego młodzieńczą, wesołą twarz, być może nie o tak wyszukanie pięknych rysach, jak u mężczyzn z jej rodziny, i dalekiej, rzecz jasna, od nieziemskiej urody Uriela... Ale jakie to miało znaczenie? Kiedy jest się zakochanym, twarz wybranego zdaje się najpiękniejsza na całej ziemi.

Rozmawiali o wyjeździe Roberta. Musiał wyruszać już następnego dnia i Taran oczywiście natychmiast zaproponowała, że może towarzyszyć mu do Christianii, pragnie bowiem odwiedzić badacza, dobrze znającego Morze Bałtyckie.

W równie oczywisty sposób Theresa absolutnie jej tego zakazała. Nie pomogły zapewnienia Taran, że Soi z Ludzi Lodu zajęła się Sigilionem, a hrabia Rasmus Finkelborg nie żyje.

- Jak wrócisz? - spytał Rafael.

- Mam przecież Uriela, nie zapominaj o tym!

- Nie wolno ci w taki sposób nadużywać swego opiekuna. To zbyt wielkie ryzyko.

- Czy ty nie możesz jechać ze mną?

- Nie mam ochoty na powtórkę z tych dramatycznych wydarzeń!

Taran zdołała porwać Roberta na chwilę rozmowy w cztery oczy.

- I tak mogę się wymknąć, żeby z tobą jechać - szepnęła.

Popatrzył na nią sceptycznie, no i oczywiście zaraz musiał się ktoś pojawić i przerwać knowania.

Było to jednak przed poważną rozmową z babcią. Teraz Taran zupełnie nie wiedziała, co ma robić. Dyskrecja! Skromność i tajemniczość! Życie w jednej chwili stało się takie skomplikowane dla przywykłej beztrosko ulegać swoim impulsom, bezpośrednio Taran.

Rozdział 23

Uriel poprosił o rozmowę u swego zwierzchnika.

- Co się znów stało, drogi Urielu? - spytał cierpliwie uskrzydłony.

Duchowi opiekuńczemu trzęsły się ręce.

- Jest gorzej niż dotychczas, wasza dostojność. Proszę o przekazanie odpowiedzialności za Taran komuś innemu.

- Urielu, czuwanie nad tą dziewczyną jest twoim obowiązkiem. Opiekun z trzeciego wymiaru nie wykręca się od obowiązków. Dlaczego chcesz z nich zrezygnować?

- Zakochała się w mężczyźnie.

- Tak jej się wydaje, czy jest tak naprawdę?

- A co to za różnica?

- Ależ, drogi przyjacielu, to przecież oczywiste! Dziewczyna z ziemskiego rodu ma prawo znaleźć sobie przyjaciela. Takie są prawa życia.

- Wiem, ale ona jest taka młoda!

- Ma dziewiętnaście lat.

- Ale duchem jest bardzo młoda. To jeszcze dziecko.

- Może masz rację. Niemniej jednak jej prawem jest odczuwać słabość do dobrego młodzieńca. Czy on jest dobry?

- Wydaje się wprost irytująco odpowiedni.

- Na czym więc polega twój problem?

Uriel westchnął zniecierpliwiony.

- W momencie, gdy znalazła się pod moją opieką, obiecałem, że nie będę niedyskretny. Ale jak mam nad nią czuwać, kiedy zostaje z nim sama? Taran

niestety puściła mimo uszu ostrzeżenia moje, swojej babki i wszystkich innych i w tajemnicy wyjechała z tym Robertem do Christiana.

Duchowy przywódca udał, że nie słyszy, z jakim gniewem Uriel niemal wypluł imię Roberta. Skupił się na poważniejszym problemie.

- Wobec tego musisz jej pilnować!

- Ona twierdzi, że nic jej nie grozi, i tak pewnie też jest. W każdym razie podczas podróży do Christianii, bo Robert to człowiek honoru, jak określiła to Taran.

- Dlaczego mówisz o tym tak cierpko, rycerskość to wspinała cnota.

Uriel zerknął na niego z ukosa i podjął:

- Taran twierdzi, że niebezpieczeństwo już minęło. Rycerz zakonny nie żyje, a duch Soi z Ludzi Lodu odciągnął Sigiliona. Ponadto Taran uważa, że ma jeszcze mnie, ale ja się wzbraniam przed odstąpieniem od moich zasad dyskrecji.

Zwierzchnik, usiłując zachować świątobliwą cierpliwość, zaczął wachlować się skrzydłami.

- Czy to naprawdę ta dyskrecja ci przeszkadza? Nic więcej?

- A cóż innego miałoby to być? - spytał Uriel szeroko otwierając oczy. -

Zapewniam, że głęboko niepokoję się dziewczyną. Pomyśleć tylko, jakie to będzie dla niej straszne, jeśli zmuszony zostanie być świadkiem tego, jak trzymają się za ręce! Albo jak on wyzna jej miłość! Albo ona jemu! Co będzie, jak on ją pocałuje!

- Wielkie nieba! - mruknął dostojny. - To rzeczywiście byłoby straszne! Dla cię... To znaczy dla niej.

- Prawda? Nie potrafię sobie wyobrazić, że...

- Tak, tak. Miejmy nadzieję, że Soi z Ludzi Lodu okaże się czujna. Zostaniesz zwolniony z przyglądania się intymnym scenom pomiędzy tymi dwojgiem. Poza tym jednak musisz...

- Poza tym obiecuję wypełniać swoje obowiązki co do joty, wasza dostojność.

Dziękuję! Bardzo dziękuję!

Wysoko postawiony z niepokojem spoglądał za Urielem, który pomknął z powrotem na ziemię.

- Na tym właśnie polega ryzyko - mruknął pod nosem. - Ziemianie potrzebują naszego wsparcia, bez niego sobie nie radzą. Ale zależność może stać się ciężarem dla jednej ze stron, a w najgorszych przypadkach dla obu.

W domu Aurory zapanowało wielkie wzburzenie.

- Jak oni mogli nam coś takiego zrobić? - uzalał się Rafael po raz co najmniej dziesiąty.

Theresa stała z listem w dłoni.

- Taran ma trochę racji - powiedziała bez przekonania. - Posłuchajcie, co pisze: Wybacz mi, babciu, ciociu Auroro i wszyscy! Wiem jednak, że jeśli teraz nie pojedę do Christianii, to nigdy nic już z tego nie wyjdzie. Soi z Ludzi Lodu zajęła się Sigilionem, Finkelborg nie żyje, no i Robert odwiezie mnie z powrotem. W związku z tym ta bezskrzydła wróżka, przepraszam, wysłannik z góry, może się złościć, ile mu się żywnie podoba. Już go nie potrzebuję i uważam, że wspaniale jest nie być zmuszonym do wysłuchiwanie od rana do wieczora jego pobożnych, ze "wszech miar przyzwoitych napomnień. Wrócimy do domu pojutrze. Wasze pokorne dziecko słońca, Taran.

- Pokorna? - prychnął Rafael. - Ona nawet nie rozumie, co znaczy to słowo!

- List Roberta budzi większe zaufanie - stwierdziła Theresa. - Proszę o wybaczenie za to, że obiecałem Taran zabrać ją ze sobą. Uznałem jednak, że przy mnie będzie bezpieczniejsza niż gdzie indziej. Zapewniam, że ani jeden włos nie spadnie z jej ślicznej główki, będę bronić jej swoim życiem i przywiozę ją równie czystą, całą i zdrową jak przed wyruszeniem do Christianii. Wasz oddany Robert.

- No cóż, cnota Taran... - zaczął Rafael, ale Aurora przerwała mu ostro.

- O cnocie Taran nie możemy nic powiedzieć, młody człowieku. Wprawdzie jest szalona, ale to zacna panna, wszyscy o tym dobrze wiemy.

- Biorąc dosłownie, owszem - zgodził się Rafael. - Ale o tym, co ona sobie myśli, powinniśmy raczej rozmawiać ściszym głosem.

- W każdym razie teraz nic nie da się zrobić - stwierdziła Theresa. - Taran tak bardzo chciała odwiedzić twego przyjaciela badacza, Auroro. i ma rację, że to jej ostatnia szansa. Musimy zaufać Robertowi i tej Soi z Ludzi Lodu.

- To prawda - zgodziła się z nią Danielle. - Widziałam Soi w akcji przeciwko Sigilionowi. Ona sobie z nim poradzi.

- Dobrze. Czy Robert miał broń? Nie myślę tutaj o ewentualnym napadzie braci zakonnych, lecz o zwykłych rzezimieszkach.

- Owszem, jest uzbrojony - powiedział August. - A Agda zawsze była bardzo porządną osobą, jeśli więc wdał się w nią...

- Na pewno - uspokajała go Theresa, August czuł się bowiem trochę odpowiedzialny za postępek swego młodego kuzyna i gościa. - Robert to wrodzona rycerskość.

Żadne z nich nie zdawało sobie sprawy, że Soi z Ludzi Lodu została na pewien czas wezwana przez swych krewniaków. Młody Daniel Ingridsson Lind z Ludzi Lodu towarzyszył swej dalekiej krewnej Shirze z Nor z powrotem nad Morze Karskie. Teraz miał przed sobą daleką drogę powrotną do Norwegii.

- Nie mamy kogo wysłać, Soi - tłumaczył jej wuj, Tengei Dobry. - Ja muszę pilnować Ingrid i Ulvhedina, żyjących w sposób niebezpieczny dla nich obojga, a wszyscy pozostali także muszą czuwać nad swymi podopiecznymi. Tylko ty możesz uratować Daniela, wpadł w poważne tarapaty w Archangielsku.

- Ale przecież podjęłam się opieki nad tą szaloną Taran - zaprotestowała Soi. - Nie mogę jej teraz opuścić.

- Taran w domu Aurory jest bezpieczna. Pani powietrza otoczyła dwór murem ochronnym i nikt się przez niego nie przecisnie.

- A więc to dlatego Sigilion nie zaatakował! Prawdę mówiąc, miałabym ochotę na tego rozpalonego jaszczura!

- Wkrótce1 powrócisz do swego zadania - obiecał Tengel. - Na razie jednak my cię potrzebujemy, a szczególnie Daniel.

Soi westchnęła.

- Trudno jest być takim rozrywanym. Ale rzeczywiście wydaje się, że na dworze nic złego jej nie spotka. Przybędę.

Taran jechała konno za Robertem i gniewnie mruzczała pod nosem.

- Mógłby tu być. Bez niego brakuje mi pewności. To prawdopodobnie przyzwyczajenie. Rzeczywiście on chyba stał się przyzwyczajeniem.

Trzymała w ręku gałązkę z listkami i uderzała nią o gałęzie mijanych świerków.

- Zaczyna mnie złościć. Ta twarz anielskiej urody... Pięknościom nigdy nie należy ufać. Robert jest o wiele bardziej godny zaufania. Jest naprawdę wspaniały.

Jakaś mucha przeleciała jej przed nosem, Taran ją odpędziła.

- Kiedyś przecież muszę wyjść za mąż. Za normalnego człowieka. Soi twierdziła, że mnie także nie pasują ziemscy mężczyźni, są dla nas obu zbyt słabi. Ale Robert by się nadawał. Miałam tylko odwrócić jego zainteresowanie od Danielle. Uważam, że naprawdę by się nadawał. Mogłabym się nawet w nim zakochać, kiedyś w przyszłości. Rafael twierdzi, że ja nie wiem, co to jest miłość.

Oczywiście, że wiem! Potrafię sobie wyobrazić, że poślubię Roberta, tyle miłości już chyba wystarczy, prawda?

Pociągnęła nosem.

- Ach, jakież to wszystko tragiczne!

Zaraz jednak wyprostowała się w siodle.

- Co, u diabła, jest takiego tragicznego? Czy komuś może być lepiej niż mnie?

Dlaczego ten idiota znów się gniewa? Zostawił mnie tylko dlatego, że jestem w towarzystwie mężczyzny? Będę przebywać z mężczyznami tyle, ile mi się podoba, to nie sprawa tego przybysza prawie z niebiańskiego raj. Ja muszę chodzić po ziemi i borykać się z ziemskim złem. Czy nie wolno mi, nie narażając się na jego fochy, wyjść za mąż, mieć dzieci, zestarzeć się, aż stracę wszystkie zęby z jakimś ziemskim idiotą?

Nie chcę więcej żyć!

Robert będzie się nadawał. Nigdy nie spotkałam sympatyczniejszego młodzieńca, wliczając w to nawet tego aniołka. Robercie! Poczekaj na mnie!

Droga zrobiła się teraz szersza, mogli jechać obok siebie.

- Taran! - Robert z uśmiechem uścisnął ją za rękę, musiał się mocno przechylić, by jej dosięgnąć. - Wiesz, gdzie mieszka ten uczonec?

- Tak, ciotka Aurora podała mi dokładny adres i szczegółowo opisała, jak tam trafić.

- Jaką sprawę masz do niego?

- Chciałabym, żeby mi opowiedział o Bałtyku.

- O Bałtyku? A co w nim takiego ciekawego? - roześmiał się Robert. - Mieszkam nad Bałtykiem, co można o nim opowiadać?

- Ty tego nie zrozumiesz. Ale czy wiesz coś c najdawniejszej historii Bałtyku?

- Ani trochę. A czy powinienem?

- Nie, ty nie. Istnieje pewna saga o "morzu, które nie istnieje". Przeczujemy, że dotyczy właśnie Bałtyku.

- Saga? - Robert roześmiał się niepewnie. - O to właśnie chcesz się dowiedzieć?

- Nie tylko, o wiele, wiele więcej! O święte słońca i prastare dzieje, i... Ale ty i tak uznasz to za bzdury.

- Rzeczywiście - przygwał Robert ze śmiechem. Oczy mu błyszczały tak, że Taran czuła, iż pod ich spojrzeniem topnieje. Nie dało się zaprzeczyć, to bardzo miły młody człowiek. Gdyby tylko mogła zapomnieć...

Nie, nie wolno o tym myśleć. Jest się człowiekiem i koniec. Kropka.

Robert odezwał się zamyślony:

- Zainteresowałaś mnie moim własnym morzem, odnogą oceanu czy jak tam się chce nazwać Bałtyk. Wiadomościami o nim nie mogę się pochwalić, jedyne, co wiem na ten temat, to że jest mieszanką słonej wody i słodkiej. Zgodzisz się, żebym poszedł z tobą do tego uczonego? Mam przecież na ciebie uważać.

Taran rozpromieniła się.

- Nie wiedziałam, jak cię prosić, żebyś mi towarzyszył. Wiesz przecież, że z różnych stron zagraża mi niebezpieczeństwo.

- Zbyt wiele nie wiem, bo zachowywaliście pod tym względem wyjątkową tajemniczość.

- Celowo. Nie lubimy narażać gości na wysłuchiwanie historii o fruujących zmorach i ponurych fanatycznych braciach zakonnych. Wprawdzie niebezpieczeństwo zostało już zażegnane, ale przydałbyś mi się jako mój rycerz, chociaż nie, to słowo w naszej rodzinie budzi wyjątkowo nieprzyjemne skojarzenia. Gdyby jednak groziło mi prawdziwe niebezpieczeństwo, nigdy bym cię o to nie prosiła.

Roben patrzył na nią pytająco, niczego nie rozumiejąc.

- Bardzo chętnie będę ci towarzyszył. Możesz mi zaufać. Mam nawet przy sobie pistolet.

- Doskonale - ucieszyła się Taran. - Teraz nie boję się już ani trolli, ani diabła.

Roben westchnął.

- Chciałbym, abyś nie używała, a tym bardziej nie nadużywała takich słów, Taran!

- Wiem, jestem niepoprawna. Tak twierdzi Uriel.

- Kto to jest Uriel?

- Uriel - zaczęła Taran z rozjaśnioną buzią, zaraz jednak przygasła. - Nie, nikt taki. Bardzo się cieszę, że mam ciebie, Robercie, chociaż muszę przyznać, z początku sądziłam, że interesujesz się Danielle.

Chłopak odrzucił głowę i wybuchnął zaraźliwym śmiechem.

- Właśnie tak miałaś myśleć. Od pierwszej chwili zrozumiałem, że trudno cię będzie zdobyć. Doszedłem do wniosku, że zwrócę na siebie uwagę, udając, że cię nie zauważam.

Do stu piorunów! A więc ją przejrzał! Zachichotała, ale w radości znalazła się także odrobina goryczy.

- A jeśli Danielle by się w tobie zakochała?

- Postanowiłem na wszelki wypadek się upewnić. Rozmawiałem z jej bratem, powiedział mi, że świata nie widzi poza jakimś Dolgiem.

- No dobrze - pokiwała głową Taran. - Teraz jestem już zadowolona.

Droga znów się zwężyła, Taran musiała więc jechać za Robenem. Podniecenie, wywołane wiadomością, że od samego początku wybrał właśnie ją, opadło, powróciła melancholia. Taran podniosła oczy na niebo, ale zamknęła je w udręce, szepcząc cicho, z przejęciem, bo akurat taki miała nastrój:

- O tęsknoto! Twoim imieniem jest ból i smutek!

Rozdział 24

Wysoko na szczycie góry siedział ponury Sigilion. Nie mógł pojąć, dlaczego nie może dostać się do domu, w którym przebywa Taran. Za każdym razem, kiedy próbował się tam zbliżyć, coś go odpychało, jakby cały dwór otaczała mocna, niewidzialna pajęczyna.

Sigilion nigdy nie marzył. Jego ciało samo dostosowywało się do pogody. Uczucia były dla niego tylko słowem. Brał te co chciał, ot i wszystko. Niebezpiecznym czyniła go przede wszystkim bijąca odeń zmysłowość. Ponieważ erotyczna strona życia jest jedną z najpiękniejszych, on, będąc jakby jej odbiciem w krzywym zwierciadle, szczególnie niszcząco działał na wrażliwość pod tym względem. Lubił, kiedy młode kobiety pały dlań podziwem. Sprawiało mu przyjemność patrzeć, jak się poddają, zapominają o wewnętrznych hamulcach. Ogarniało go wtedy poczucie niezwykłego triumfu, oprócz tego, że erotyzm był sednem jego życia.

Kobiety jako ludzie nic dla niego nie znaczyły, ich oddanie - zaledwie trochę.

Prawdziwe znaczenie miało własne zadowolenie.

Najważniejszy jednak był niebieski szafir, jego pierwszy krok ku Wrotom.

Gdy na początku zbliżył się do domu, w którym mieszkała Taran, znów pojawiła się cudowna czarownica o magicznych oczach, zagroziła mu drogę i nie mógł iść dalej, wcale też tego nie chciał.

Pragnął jej. Posiadała wszystko to, czego bez powodzenia szukał u ziemskich kobiet. Była mu niemal równa.

Tylko tak niewiarygodnie wprost trudno było ją złapać.

Te rozkoszne piersi, jakby stworzone, by objąć je dłońmi, schwycić, pieścić, drapać. Wąska talia nad tajemniczymi, rozkołysanymi biodrami. Figlarne oczy pełne żądy, te ruchy, ten śmiech...

Kiedy spotkali się po raz drugi, pozwoliła mu posunąć się dalej. Wolno mu było się do niej zbliżyć, dotknąć jej, jego wilgotny lśniący organ wysunął się ze swej kryjówki, a ona aż jęknęła z podziwu.

- Ależ, Sigilionie, masz członek w sile podobny do osła, jak to jest napisane w dwudziestym trzecim rozdziale Ezechiela, tym, który wszyscy młodzi znają na pamięć. Ach, czy mogę dotknąć?

Przysunął się o krok, musnęła drżący organ.

- Jaką właściwie jesteś istotą? Bardziej męski niż ludzcy mężczyźni, a przecież jesteś jednym z nich. Bardziej ludzki niż jaszczurka, pozbawiony zimnokrwistości gadów. Twój sekretny organ nie wywodzi się z ich królestwa, co prawda nigdy uważnie nie przyglądałam się jaszczurkom, ale nie potrafię sobie wyobrazić, by były pod tym względem aż tak szczerze obdarzone przez naturę. Trudno cię zrozumieć, Sigilionie! Ale z tą swoją połyskującą na zielono skórą i zielonymi, hipnotyzującymi oczyma jesteś piękny niczym bóstwo. Nigdy nie widziałam tworu tak udanego, a zarazem tak groteskowego, zwierzęcego, ze wszech miar przerażającego. Ale to, co budzi grozę, zawsze mnie pociągało. Sama jestem istotą ciemności, nocy i księżyca. Mój świat kryje się w tajemniczych, groźnych cieniach i wszystkie istoty w nim mieszkające są moimi przyjaciółmi. Dlatego chcę cię, Sigilionie. Musisz jednak wiedzieć, że to ja o tym decyduję. Nie jestem myszką, która drżąc ze strachu zgodzi się na wszystko, ponieważ nie ośmieli się sprzeciwić. Zrozumiałeś?

Sigilion nie wiedział, co myśleć o tych słowach. Wiedział jedynie, że pragnie tej kobiety, już teraz! Spostrzegł jej zamglone spojrzenie, świadczące u kobiet o tym, że są już gotowe, by je brać. Obojętne mu było, czy to ona zdecyduje, kiedy to ma nastąpić. Oddychał ciężko, pierś poruszała mu się z trudem, poczuł, że soki życia już napływają, organ dumnie wznosił się w górę...

Wtedy ona poprosiła, by uważał na jej spódnicę, chciała ją zdjąć sama. Zauważył, że dłonie jej drżą od napięcia, ale rzekła, by się na moment odwrócił, bo trochę się wstydzi...

Sigilion, który przywykł rozszarpywać ubrania na swych ofiarach, nie miał zamiaru okazywać dobrych manier. Już wyciągnął rękę z długim szponem w miejscu palca wskazującego, kiedy zatrzymała go ruchem ręki.

I zatrzymała go rzeczywiście! Sigilion sam nie mógł tego pojąć, ale władczość bijąca z jej oczu sprawiła, że cofnął rękę i się odwrócił. Wprawdzie wszystko w nim zagotowało się z gniewu, ale jej usłuchał.

Tylko na krótki, bardzo krótki moment. Kiedy moc jej spojrzenia przestała działać, prędko znów się odwrócił, gotów pokonać wszelkie dzielące go od niej bariery. Ale ona zniknęła! Odeszła! Znów!

Poszukiwanie z powietrza na nic się nie zdało. Jeszcze raz musiał uznać się za pokonanego i szukać wyładowania w inny sposób.

Rozmyślał teraz o tym, siedząc na szczycie wzgórza i spoglądając na dwór. Od tamtej pory, a upłynęło już wiele dni, nie widział pięknej czarownicy. Ale jednocześnie z jej zniknięciem dwór otoczyła niewidzialna sieć, miękki mur. Pomimo wszelkich wysiłków z jego strony nie zdołał przedrzeć się przez tę przeszkodę.

Miał wrażenie, że te dwa zdarzenia łączą się ze sobą, choć nie rozumiał w jaki sposób.

Tego ranka kilkakrotnie okrążył okolicę w powietrzu, kiedy wrócił, wyczuł, że coś się zmieniło.

Dwór jakby opustoszał. Wciąż pozostali w nim ludzie, bo widział, jak służący prowadzą konie czy też noszą wiadra, właściciele także się pokazali, zniknął jednak zapach Taran. Sigilion miał niezwykle dobrze rozwinięty zmysł powonienia i potrafił wyczuć zapach konkretnego człowieka wśród dziesiątków innych.

Czy to możliwe, że Taran opuściła dwór?

Pewnie zbyt daleko się dzisiaj wyprawił. Dziewczyna mogła wyjechać w kierunku przeciwnym do tego, w którym on akurat się znajdował.

Sigilion podniósł się wolno, rozgniewany był nadzwyczaj niebezpieczny. A teraz czuł się oszukany, chociaż wiedział, że tylko siebie może winić o to, co zaszło.

Lekko odbił się od ziemi i uleciał ze wzgórza.

Taran i Robert zatrzymali się w gospodzie w Christiana; pora była już zbyt późna, by odwiedzić badacza.

Robert zaprosił dziewczynę na kolację, kolację zakrapianą winem. Taran, której w domu nie pozwalano nawet ust umoczyć w kieliszku, postanowiła to wykorzystać i sobie pofolgować. Czego innego można się było spodziewać?

Robert delikatnie zagaił:

- Taran, wspomniałaś wiele dziwnych imion i wydarzeń, cóż to są za głupstwa, którymi się zajmujecie?

- To wcale nie są głupstwa.

Taran raczyła się winem, wzburzona i urażona zachowaniem Uriela, czuła się przez niego oszukana. Dlaczego więc nie miałyby opowiedzieć o wszystkim Robertowi, wykształconemu synowi gospodarza ze Szwecji? Dwornemu kawalerowi, budzącemu zaufanie młodemu człowiekowi?

Być może kiedyś nawet go poślubię, pomyślała.

Znów serce jej się ścisnęło z bólu i poczucia pustki. Przeklęty Uriel, znikał za każdym razem, kiedy potrzebowała poczuć jego obecność.

I tak Taran zaczęła opowiadać o Świętym Słońcu i tych, którzy go poszukiwali, o strasznym Zakonie rycerskim, o niebieskim kamieniu, który Finkelborg i Sigilion usiłowali zdobyć poprzez nią, i o tym, jak bardzo jej rodzina wyprzedzała zakonnych braci.

Im więcej mówiła, z tym większym niedowierzaniem przysłuchiwał jej się Robert. Dobrze było się komuś zwierzyć, lecz Robert był najwyraźniej człowiekiem zbyt mocno stojącym na ziemi, najwyraźniej nie wszystko mógł przyjąć.

Westchnął zniecierpliwiony:

- Ten Sigilion... To brzmi jak opowieść obłąkanego. Rozbuchany żądzą jaszczur...
Przecież jaszczurki są zimne, wszyscy o tym wiedzą.

- On nie jest jaszczurką. Wywodzi się z gatunku, który pochodzi od płazów, lecz rozwijał się odrębnie. Podgatunek, który przeobrażał się podobnie jak ludzie.

Taran sama słyszała, że wyraża się dość niejasno, mówi niewyraźnie, a język jej się płacze i odmawia posłuszeństwa. Wino uderzyło jej do głowy.

Robert tylko pokręcił głową.

- Chcesz powiedzieć, że Sigilion to ktoś taki jak Pan i potrafi oddziaływać na ludzką zmysłowość?

- A czy Pan tak robił?

- Tak, potrafił sprowadzić na ludzi wiele kłopotów w intymnych sferach życia. On i jego orszak satyrów i sylenów budzili podniecenie u biednych ludzkich duszyczek, a może raczej ciał.

Taran zdrętwiała.

- Sylenowie? To brzmi prawie jak Silinowie! Myślisz, że mogą się wywodzić ze wspólnych korzeni?

- Tego nie wiem.

- Chyba nie - doszła do wniosku Taran. - Sigilion nie ma nic wspólnego z greckimi bogami, to się nie zgadza, ale być może jest podobnym... bogiem płodności, chociaż nie ma między nimi żadnego związku.

- Oczywiście, opowiadaj dalej. Zamierzałaś wspomnieć o swoim ojcu.

- Tak, on i moi bracia są w drodze na Islandię. Pewnie już nawet dotarli na miejsce. Tam czeka Dolga następne zadanie, nikt nie wie, na czym ono ma polegać. Wiadomo jedynie, że Dolg już jako dziecko mówił o błędnych ognikach i wołaniu karłów. Błędne ogniki doprowadziły go do niebieskiego szafiru. Wołanie karłów oznacza echo. A ostatnio wołanie z oddali prześladowało Dolga. Wezwali go na Islandię.

- Mówiłaś, że masz jeszcze jednego brata. Czy on jest równie dziwny?

- Villemann? - uśmiechnęła się Taran. - To mój brat bliźniak. Nie, jest podobny do mnie, może trochę bardziej szalony, jak to chłopcy.

- Bardziej szalony niż ty? Trudno mi to sobie wyobrazić - przyznał Robert, przelotnie ściskając jej rękę pod stołem.

Tego nie powinien był robić. Taran od razu stopniała i musiała mocno wziąć się w garść, by się nie przechylić w jego stronę. Gdyby tak zrobiła, zleciałaby na podłogę. Niebezpieczne siły drzemią w winie.

Uśmiechnęła się, coś jej się przypomniało.

- Villemann naprawdę robi co może, by pokazać, że nosi właściwe imię, które znaczy dziki, szalony człowiek. Pamiętam kiedyś nasz najgorszy okres (do pioruna, jak trudno wymawiać słowa!), mieliśmy wtedy chyba po piętnaście lat, wiesz, sporo podróżowaliśmy i liznęliśmy kilku języków. Od czasu do czasu używamy wyrażień, jakie nam wpadły w ucho. Mama i Villemann prowadzili ostrą dyskusję na temat czegoś, co właśnie wymyśliliśmy. To była prawdziwa walka, żadna ze stron nie chciała się poddać. Mama nazwała go niewychowanym łotrem, a Villemann stwierdził, że woli spontaniczność od krępujących dobrych manier. Kłótnia stawała się coraz gorętsza. Wreszcie mama wrzasnęła: "you son of a bitch". Wtedy awantura się skończyła. Oboje popatrzyli na siebie, a potem padli sobie w objęcia, pękając ze śmiechu.

Na chwilę zapadła cisza.

- Dlaczego?

Taran zmarszczyła czoło.

- Nie rozumiesz, co mama powiedziała? Przepraszam, może nie znasz angielskiego.

- Nie, mówię po angielsku.

Taran okropnie nie lubiła wyjaśniać dowcipów.

- Nazwała go synem suki. Gdyby twój ojciec nazwał cię pomiotem padalca, to byś się nie śmiał?

- A dlaczego miałbym się śmiać? Uznałbym, że mi to strasznie ubliża.

- Tobie? Nie rozumiesz, że obelga tak naprawdę do tyka tego, kto ją rzuca?
"Syn..." Zresztą zapomnijmy już o tym.
Ten człowiek był kompletnie pozbawiony poczucia humoru. Cóż za fatalna wada!
Uriel śmiały się do rozpuku.
Nie, prawie - anioły tak nie postępują. Przepraszam, Urielu. O, niech cię...
- Jaka jest twoja ulubiona anegdotka, Robercie? - spytała trochę zniechęcona. -
Najzabawniejsza ze wszystkich?
Robert długo się zastanawiał, ale w końcu jego twarz się rozjaśniła.
- Nigdy nic bardziej mnie nie rozśmieszyło jak to, że na moich oczach pies
poślizgnął się na lodzie i wpadł do wody.
Roześmiał się na samo wspomnienie.
Ale Taran się nie śmiała.
- Czy wyciągnięto psa z wody?
- Co takiego? Tak, chyba jakiś idiota rzucił się za nim. Ale szkoda, że nie
widziałaś...
- Dziękuję. Wiesz, chyba muszę się już położyć, trochę kręci mi się w głowie.
Robert natychmiast się poderwał i odprowadził ją do schodów.
- Nie, nie musisz iść ze mną na górę - oświadczyła z resztką godności, jaka jej
jeszcze została. - Wypij swoje wino, zobaczymy się rano przy śniadaniu.
- Dobrze. Teraz, kiedy opowiedziałaś mi całą tę niezwykłą historię, mam wielką
ochotę usłyszeć, co ten badacz ma do powiedzenia o Morzu Bałtyckim.
- Opowiedziałam ci zaledwie ułamek, Robercie, zaledwie ułamek.
Wrócił do stołu, a Taran, mocno trzymając się poręczy po obu stronach, z trudem
wdrapała się na górę po schodach. Nigdy więcej tyle wina!
Wprawdzie wypła zaledwie dwa kieliszki, ale dla osoby nie przyzwyczajonej do
alkoholu aż za dużo.
Gdzie są drzwi do pokoju? zastanawiała się, idąc korytarzem, co i raz
zakręcającym w mało przyjazny gościom sposób.

Można mówić o Robercie co się chce, ale w każdym razie jest prawdziwym dżentelmenem. Trudno, nie szkodzi, że mają różne poczucie humoru, mężczyznę można chyba sobie wychować, pomyślała Taran, wpadając w tę samą pułapkę, co tysiące panien na wydaniu przed nią. Nie nauczy się starego psa szczekać.

Urielu, Urielu, dlaczego nie chciałeś mi towarzyszyć? Sam przecież widzisz, nic nieprzyzwoitego się nie dzieje.

Dobry chłopak ten Robert. Prawdziwy mężczyzna, sympatyczny i przyzwoity. Cholernie przyzwoity.

Przepraszam, Urielu, Robercie, babciu i wszyscy dobrzy ludzie. Nie wolno mi przecież przeklinać.

Jak by to miało gwarantować, że jest się dobrym człowiekiem. Kiedy ktoś uczyni wszystko dla ludzkości, poświęci się do ostatniego tchu, ale przypadkiem wyrwie mu się "do diabła", jego dusza skazana jest na zatracenie. A ktoś, kto kłamie, oszukuje i postępuje jak ostatni łajdak, ale składa ręce w bogobojnej modlitwie, idzie do nieba.

To zakłada istnienie jakiegoś wyniosłego bóstwa, którego imienia nie wolno nadużywać, a które patrzy przez palce na paskudne drobne, nie odkryte przestępstwa. Taki sposób myślenia obraża Boga.

A więc, do stu diabłów, mam zamiar poświęcić się, jak tylko mogę, ale od czasu do czasu zawołać: "do pioruna ". Nie, to chyba niewłaściwe drzwi. Schody na strych?

Cóż za duszne powietrze? Poznaję... poznaję...

Taran na najniższym stopniu schodów usiłowała zawrócić, ale drzwi na korytarz się zatrzasnęły.

W ciemnościach wyczuła, że coś ją od nich odgradza.

Rozdział 25

- Urielu - szepnęła Taran, ogarnięta nagłą paniką. - Urielu, ty uparciuchu, gdzie jesteś? Pomóż mi! Pomóż!

I gdzie Soi z Ludzi Lodu? Powinna tu teraz być.

- Soi! Soi, musisz mi pomóc, to się może źle skończyć!

Taran zmusiła się, żeby iść tyłem po schodach na strych. Sigilion był tak blisko, że mogłaby zobaczyć, jak pulsuje mu krew pod połyskującą odcieniami granatu i zieleni skórą.

Oczywiście było na to zbyt ciemno, lecz wyczuwała jego bliskość, bijącą od niego niemal ożywioną zmysłowość. Atmosfera stała się tak nieznośnie intymna, Taran miała wrażenie, że zaraz ją zadusi. Zgadza się, działasz na mnie, ale nie ciebie chcę, krokodyli potworze, pomyślała, czując, jak ciało jej drży od nieznanego emocji wywołanych jego bliskością.

Starła się zachować trzeźwość myślenia.

Ach, na miłość boską, nie powinnam była tyle pić! To naturalnie wino sprawia, że czuję się tak dziwnie.

Wiedziała jednak, że to wcale nie wino. To on, Sigilion, straszny.

Sigilion tym razem nie myślał o niej jak o kobiecie. W najgłębszych zakamarkach jego mózgu tłukła się tylko jedna myśl: Jeśli ją pochwycę, zdobędę niebieski szafir. Ona będzie moją zakładniczką. Już ją mam. Już ją mam.

Dlatego też promieniujący od niego erotyzm nie był równie silny jak zwykle, kiedy zwęszył kobietę. Dla Taran jednak był dostatecznie namacalny.

Tak, to właściwe określenie. Namacalny. Gęsty tak, że można by go kroić nożem. Straszny. Zmysły dziewczyny reagowały obrzydzeniem. Ponieważ nie działał w pełni, zniknęło gdzieś pożądanie, pozostawiając tylko poczucie wstydu, pomieszane z pogardą dla tej niepojętej istoty.

W ciemności ohydne szpony zadrapały lekko skórę Taran, przypominając, że nie pogardę powinna odczuwać, a strach. Śmiertelny strach. Z tym właśnie łączyła się obecność Sigiliona.

Czy mogła zawołać Roberta?

I patrzeć, jak rozstaje się z życiem? On i pozostali ludzie z gospody, być może próbujący pospieszyć jej z pomocą?

Nie mogła ryzykować życia innych. Wystarczy Finkę Iborg.

Robert miał pistolet.

Nie, Taran dobrze wiedziała, żadna kula nie przebiłaby błyszczącego pancerza. Ześlizgnęłaby się tylko albo odbiła, żadna ludzka żywa istota nie zdoła zwyciężyć Sigiliona, nieśmiertelnego.

Sama czuła, że wysyłane przez niego sygnały, owo zgęszczone powietrze, nie działają na nią tak jak ostatnio.

Puls nie uderzał tak gwałtownie, nie czuła się aż tak osłabiona, nie tak chętna na to, czego on od niej chciał, jak wtedy w opuszczonej zagrodzie.

Domyślała się, dlaczego. Wiedziała też, że kryje się za tym coś więcej. Coś w niej samej.

Chociaż to Sigilion wydzielał słabe, lecz w pełni wyczuwalne pragnienie obcowania z nią, nie jego pragnęła. Spudłował. Gdyby o tym wiedział, z pewnością by go to rozdrażniło.

Ale Taran nie miała zamiaru mu się z tego zwierzać. Jej sytuacja i tak była straszna, nie musiała dodatkowo budzić jeszcze jego gniewu.

Znalazła się już na strychu. Przez zakurzone okno wpadało światło wieczoru, pozwalając jej z przerażającą wyrazistością zrozumieć, jak bardzo jest sama z tym potworem, który po raz pierwszy ukazał się w pełni jej przerażonym oczom. Soi, pomóż mi! Ratunku! Jestem zgubiona. On ma mnie w swojej mocy!

Soi była w Archangielsku. Odnalazła Daniela, nie należącego do wybranych ani też przeklętych z Ludzi Lodu i dlatego nie będącego w stanie jej widzieć. Prędko jednak się przekonała, że wpadł w kłopoty natury finansowej. Skradziono mu sakiewkę ze wszystkimi pieniędzmi, przez co nie mógł wracać do domu.

- No cóż, wykradniemy z powrotem twoje pieniądze, chłopcze! - mruknęła Soi pod nosem i ruszyła na poszukiwanie złodzieja albo złodziei. - Za życia kradzież nie figurowała w moim rejestrze grzechów, w tym przypadku jednak sądzę, że mam prawo po swojej stronie.

Przez chwilę stała skupiona, pragnąc odnaleźć tych, których szukała. Niewiele czasu jej to zajęło. Nikt też jej nie widział, kiedy wciskała rękę do kieszeni

złodziejaszka, zabierając mu to, co stracił Daniel. "To nie twoje, mój mały" - mruknęła.

Kiedy w ubogiej gospodzie wsunęła sakiewkę do kieszeni płaszcza Daniela, ujrzała przed sobą jakąś istotę. Zwiewną, ubraną w błękit kobietę, obdarzoną osobliwą urodą. Panią powietrza.

- Taran znalazła się w większym niebezpieczeństwie niż twój podopieczny - oznajmiła kobieta melodyjnym głosem, brzmiącym niczym powiew wiatru w pokrytej szronem trawie. - Sigilion ją dopadł.

- Przecież on nie może się zbliżyć do dworu!

- Taran złamała wszelkie zakazy. Jest w Christianii. Pokażę ci, gdzie.

- Cóż za niemożliwa dziewczyna - westchnęła Soi. - Jest tak samo szalona jak ja. Natychmiast wracam. Zresztą sama mam z Sigilionem pewną sprawę do załatwienia.

Pani powietrza uśmiechnęła się krzywo, ale ze zrozumieniem.

- Kochany Danielu! - Soi pogłaskała śpiącego po policzku. - Wkrótce wrócę, żeby towarzyszyć ci w drodze do domu, do Norwegii. Podaruję tylko Sigilionowi chwilę, której on nigdy nie zapomni. I sobie także

Uriela także odwiedził posłaniec. Wielki potężny Cień.

- Jak wypełniasz swoje obowiązki anioła stróża? - huknął tajemniczy. - Taran została schwytana. Przez Sigiliona. A ty użalasz się nad sobą!

- Przez Sigiliona? - przeraził się Uriel. - Ale czyż Soi z Ludzi Lodu nie miała się nim zająć? Poza tym Taran ma swojego kawalera. Nie, to małostkowe z mojej strony tak myśleć.

- Soi została wezwana przez swoich pobratymców. Ktoś z nich wpadł w tarapaty.

Poza tym to ty jesteś odpowiedzialny za Taran, a nie Soi.

Co ja zrobiłem? rozpaczal Uriel. Zawiodłem jedyną, którą...

Dość już zdrad i przejmowania się własnymi urażonymi uczuciami. Teraz chodzi o nią.

Moja podopieczna.

Jak cudownie to brzmi!

On jest piękny! uświadomiła sobie zdumiona Taran. Nie przypuszczałam, że jaszczur może być tak nieopisanie piękny. Od tej fascynującej twarzy wprost trudno oderwać oczy. Jest taka czysta, linie takie idealne. Przypomina konia czystej krwi arabskiej, charta perskiego albo gazelę. Czystość rasy w każdej linii, w każdym konturze. Arcydzieło natury.

Te oczy... Podłużne, wąskie, wyczekujące, pewne zdobyczy. Hipnotyzujące zielone, o pionowej źrenicy. I usta o cienkich, krwistoczerwonych wargach, język igrający między nimi. Ohydne, lecz czuję już, że mnie opętały.

Taran przez moment pochłonięta przeżyciami estetycznymi zapomniała o grożącym jej niebezpieczeństwie. Kiedy jednak Sigilion wolno wyciągnął rękę, by ją złapać, ocknęła się i uskoczyła - w bok.

Król Silinów nie przywykł do takiego zachowania. Zwykle kobiety dobrowolnie rzucały mu się w objęcia. Zdawał sobie jednak sprawę, że jego zainteresowanie wichrzycielką Taran nie wypływa z pobudek erotycznych. Tym razem nie.

Owszem, była piękna, bardzo pociągająca, lecz to, co dla niego symbolizowała, pochłaniało wszelkie jego myśli. Szafir. Wrota.

Później skorzysta z jej kobiecych wdzięków. Będzie ją miał, oczekując na wydanie mu szafiru.

Na próbę stanął za nią, dotknął jej pleców. Tak, weźmie ją z przyjemnością.

Później.

Taran usiłowała przesunąć się do schodów, ale blokował jej drogę. Serce w piersi zaczęło jej mocno walić. Nareszcie zdała sobie sprawę ze swej rozpaczliwej sytuacji i przyznała, że sama jest sobie winna.

- Urielu - zawyła przeciągle jak bezradne dziecko.

Spostrzegła nagle, że Sigilion zdrętwiał. Patrzył na coś za jej plecami. Taran spojrzała przez ramię, lecz jednocześnie starała się nie spuszczać z oczu pięknej bestii.

Nie ujrzała Uriela, lecz kogoś wyczekiwanego z równym utęsknieniem. Soi stała w świetle wpadającym przez okienko i skłamałby ten, kto by stwierdził, że jest stosownie, porządnie ubrana. Soi bowiem nie miała na sobie nic poza cieniutką koszulką, przez którą przenikało światło, podkreślając wszystkie linie jej ciała. Sigilion rozważał sytuację z niemal rozpaczliwym pośpiechem. Nie mógł jeszcze raz pozwolić tej kobiecie odejść. Widać było, że jest mu przychylna. Dwukrotnie już go zwiódła.

Tym razem musi ją mieć.

Ale Taran? Czyżby miał wybierać i jedną z nich wypuścić?

Myśli skakały mu po głowie tam i z powrotem, rozważał wszystkie za i przeciw. Nie, może mieć wszystko, czego pragnie. Mocno wymierzonym ciosem rzucił Taran na podłogę, osunęła się w kącie. Nie uderzał jednak, by zabić, lecz tylko wyeliminować ją z gry na czas, kiedy będzie się zabawiać z tą czarownicą o kocich oczach.

Gdyby tylko mógł zrozumieć, skąd się tu wzięła! Widocznie musiała być na strychu. Może tu mieszka?

Powiódł wzrokiem po sprężystej sylwetce i jego ciało zareagowało tak jak zwykle. Zapłonął namiętnością. Powietrze zgęstniało od niepohamowanego pożądania. Soi patrzyła na niego.

- Proszę, proszę - zagruchała. - Pokazujemy, co mamy? Sporo o tym myślałam od czasu naszego ostatniego spotkania. Jeszcze okazalszy niż pamiętałam! Mmm! Nie spuszczała z Sigiliona oczu, patrzyła, jak ją okrąża.

- Stajesz za mną? Czyżby więcej było w tobie zwierzęcia, niż chcesz się do tego przyznać? Mnie to nie przeszkadza, prawie wszystko mi odpowiada, do tego stopnia jestem spragniona męskości.

Wzięła głęboki oddech, kiedy położył straszne ręce na jej piersiach i wolno przycisnął ciało do jej ciała. Soi zadrżała, bo Sigilion był niczym ucieleśnienie erotycznej żądzy.

Przymknął oczy i zapomniał o wszystkim, co ich otacza.

Nagle oboje drgnęli. Sigilion rozejrzał się wściekły, przeszkodzono mu akurat, kiedy miał wtargnąć w tę cudowną kobietę.

Niczego nie spostrzegł. Nieprzytomna Taran leżała na podłodze, poza tym izba na strychu była pusta, nie pojmował, cóż to za odgłos mógł go rozproszyć.

Ale Soi się zorientowała. Uwolniła się z objęć Sigiliona, lecz nic nie powiedziała.

W tej samej chwili ocknęła się Taran. Sigilion, który nie zauważył, że Taran przytomnieje ani też że zjawił się Uriel, przysunął się znów bliżej Soi i zaczął gładzić ją po udach i biodrach, podniósł koszulę.

Taran i Uriel otworzyli usta na widok rozedrganego Sigiliona, którego postać ze wzniesionym do aktu organem stała się widoczna na tle okna. Poczuli żądzę wibrującą w powietrzu. Patrzyli na kształtne ciało Soi i nie mogli oderwać oczu od rozgrywającej się przed nimi sceny.

- Nie - zwróciła się krótko Soi do swego zalotnika. - Jeśli mam się dobrze bawić, to nie chcę żadnych obserwatorów. Opuszczamy to miejsce, natychmiast.

Zaczekaj, upewnię się tylko, czy ona mocno śpi.

Pobiegła w kierunku oniemiałych świadków. Taran, słysząc, co zostało powiedziane, natychmiast zamknęła oczy, udając głęboko nieprzytomną, ale mocno przy tym ścisnęła niewidzialną dłoń Uriela. Jedyne Soi go widziała, Taran miała świadomość jego obecności, natomiast Sigilion o niczym nie wiedział.

- Rozkoszne igraszki mogę przeciągnąć do jutra wieczór - szepnęła Soi do Taran.

- Ale wtedy ty musisz bezwzględnie znaleźć się już w bezpiecznym miejscu, we dworze. Zrozumiałaś?

Taran prawie nieznamienicie kiwnęła głową.

Soi wstała i wróciła do Sigiliona.

- Jest unieszkodliwiona. Będzie spała do czasu następnego wzejścia księżyca.

Ale nie chcę tu zostać. Zabawimy się z dala od ludzi. Chodź, a. może chcesz, żebym cię pociągnęła?

Sigilion posłał ostatnie, pełne rozterki spojrzenie na Taran, ale zdawał się uspokojony. Podeszli do okna. Soi otworzyła je, a Sigilion, pragnąc jej

zaimponować, wysunął się i wziął ją na plecy. Taran widziała, jak znikają, kierując się ku posrebrzonym chmurom.

Drżąc odetchnęła z ulgą. Uriel przytulił jej głowę do piersi. Taran uśmiechnęła się do siebie ze szczerym poczuciem szczęścia.

Znów był przy niej. Tęsknota i wszelkie próby zapomnienia o nim już się skończyły.

Rozdział 26

- Nie powinienem być cię zostawiać samej - powtarzał Uriel raz po raz, delikatnie gładząc ją po twarzy. - To niewybaczalne z mojej strony. Niewybaczalne!

Słodkawa atmosfera kopulacji wciąż unosiła się w izbie, sprawiając, że wymawiał słowa z jeszcze większym przejęciem niż tego pragnął.

- Złożyliśmy wszystko na Soi - odparła Taran drżącym po przeżytych wstrząsach głosem. - Źle postąpiliśmy, zapomnieliśmy, że ona ma także inne obowiązki.

Urielu, ogromnie się cieszę, że jesteś przy mnie, ale czy mogę ujrzeć chociaż kawałek twojej osoby?

- Przepraszam - powiedział, wylaniając się z nicości.

- Od razu lepiej - próbowała żartować, ale głos podejrzanie jej drżał. - Nieco materii nigdy nie zaszkodzi.

Piękne ciepłe oczy patrzyły na nią z wyrazem, który bardzo jej się podobał. Uriel wziął się w garść.

- Musimy stąd odejść!

Taran w pełni się z nim zgadzała. Wspomnienie straszliwego Sigiliona było zaledwie nikłym ułamkiem tego, co rzeczywiście ich stąd wypędzało:

oddziaływania atmosfery, pożądania wywołanego dotykaniem, gorączką w ciele.

- Zaniosę cię do twojego pokoju - rzekł Uriel łagodnie. - Rozważymy sytuację. Ty i ten Szwed musicie jak najprędzej opuścić zajazd.

Taran, znoszona po schodach przez cudownie silne ramiona, zakryła usta dłonią, tłumiąc okrzyk.

- Mój ty świecie! Robert! Całkiem o nim zapomniałam!

Uriel uśmiechnął się niczym zadowolony tygrys.

- Mów tak częściej!

- Musimy stąd odejść. Nie możemy go w to mieszać.

Znaleźli się w pokoju Taran. Uriel delikatnie położył dziewczynę na łóżku,

- Jak twoja głowa?

Skrzywiła się.

- Nie za dobrze. Ale to pewnie raczej przez wino, które wypiałam przy kolacji.

- Dobrze wiedział, jak mocno wolno mu uderzyć - ponuro zauważył Uriel.

- Urielu, nie chcę leżeć, tylko mi od tego gorzej. Czy mogę usiąść? Przy tobie? To było takie przyjemne.

Z wahaniem siadł przy niej i otoczył ją ramieniem. Taran usadowiła się wygodnie i westchnęła zadowolona.

- Właśnie tak.

- Nie wiem, czy...

Poddał się jednak. On również uważał, że tak jest cudownie. Pochylił głowę do jej ciemnych włosów i wciągnął w nozdrza ich zapach.

- Nie chcę już być aniołem - pomyślał na głos.

- Co przez to rozumiesz?

- Nic, po prostu taki pomysł przyszedł mi do głowy.

- Czy możesz opuścić swoje stanowisko?

- Nie.

Taran umilkła. Obojgu przyjemność sprawiało takie siedzenie we dwoje, bez słów, bez sprzeczek, bez niepokoju. Po prostu byli razem, - wycieńczeni jak po wielkim wysiłku fizycznym.

Taran myśli wirowały w głowie. Soi z Ludzi Lodu, co teraz robi?

Ohydnie nawet o tym myśleć. Ale nie wyglądało na to, by Soi ponosiła jakąś ofiarę, przeciwnie.

Taran wiedziała, że nigdy nie będzie tak dzika i szalona jak Soi. W żyłach czarownicy od urodzenia płynęły krople zła. Przez całe swe krótkie życie starała

się zwalczać drzemiące w niej mroczne siły, może nie zawsze równie przekonująco. Przygwoździła kochanka do ściany...?

Taran zadrżała.

Pomimo obrzydzenia i strachu, jaki odczuwała w obecności Sigiliona, Taran potrafiła niemal zrozumieć Soi. Soi nie miała nic do stracenia. Przyniosła ze sobą na świat ogromną ciekawość życia, spragniona była wszelkich przeżyć, jakie ono niesie. Miała nad Sigilionem władzę, polegającą również na tym, iż on nie rozumiał, że Soi jest duchem. Potrafiła zniknąć, kiedy zabawa przestawała jej się podobać. Dlaczego jednak miała nie wykorzystać najpierw - jego umiejętności w tej dziedzinie?

Tak, Taran potrafiła ją zrozumieć. Sama co prawda czuła mdłości na myśl o zbliżeniu się do Sigiliona, ale inaczej było z Soi, która przeszła przez życie samotna i odtrącona. Soi nie miała Uriela.

Nie można też zapominać, że Sigilion był szalenie pociągający, wprowadził w jakiś straszny, odpychający sposób. Sam w sobie stanowił sprzeczność, był jednym z najgorszych wybryków natury.

Taran powiedziała na głos:

- Wydawał się bardzo dumny z tego, że może ją dźwigać, że daje radę wzbić się z nią w powietrze. Nie zorientował się, że ma do czynienia z duchem, to dziwne.

Uriel, oszołomiony bliskością Taran, musiał najpierw dojść do siebie, zanim zrozumiał, o czym ona mówi. Potem roztargniony pokiwał głową.

Sigilion rozpał? w nim dawno przygasłe żądze. To jednak był zaledwie początek.

Miękkie kształty Taran dopełniły reszty. Uriel zdawał sobie sprawę, że powinien jak najprędzej wstać i wyjść, ale wciąż siedział, nie mając siły ani chęci, żeby odejść.

- Gdzie byłeś, Urielu? - spytała Taran z wyrzutem.

- Próbowałem zdobyć znak Słońca, o który mnie prosiłaś. Lekarz jednak zamknął go w swej szkatułce z pieniędzmi, nie mogłem zabrać mu całego majątku.

Spróbuję później. Ojej, zapomniałem ci powiedzieć...

- Ledwie miałeś na to czas. O czym to zapomniałeś?
- Odwiedziłem także twojego badacza, żeby w tajemnicy się przekonać, co to za jeden. Niestety, nie zastałem go, i wygląda na to, że nie ma go w domu już od jakiegoś czasu. Nie dowiedziałem się też, kiedy wraca.
- Do diaska, to znaczy, że cała ta podróż na próżno. - Twarz Taran złagodniała. - Nie, oczywiście, że nie. Ale co z tego wyniknie?

Uriel odparł zdecydowanie:

- Jeszcze raz porozmawiam ze swoim przełożonym.
- Żeby cię zwolnił od czuwania nade mną?
- Nie, nie, przeciwnie.
- Chyba nie jestem jeszcze gotowa siedzieć na obłoczku i słuchać dźwięków harfy.
- Nie, nie rozumiesz. To ja... Nie, nic na razie nie zdradzę. Ale to nieznośne, Taran, dla nas obojga.
- To prawda.

W Uriela wstąpił nowy zapach.

- Właściwie to dobrze, że badacz wyjechał. Ty i Roben możecie jutro rano wracać do domu. Tam przynajmniej Sigilion nie będzie ci zagrażał. Dotrzecie na miejsce pół dnia wcześniej, niż zostało to wyliczone.

Taran zamyślona pokiwała głową.

- Prawdę mówiąc, nie mam ochoty zostawać w Christiana ani minuty dłużej.
- Ale nie możesz jechać jeszcze dziś wieczorem, zresztą jest już noc, a Roben pewnie położył się spać. Ty także powinnaś pozwolić odpocząć swojej biednej głowie...

Taran ze wstydem zdawała sobie sprawę, że to wino stało się główną przyczyną jej fatalnego stanu. Wesołość, uniesienie i poczucie szczęścia ustąpiły, robiąc miejsce bólowi głowy i zniechęceniu. A teraz, gdy porozumiewała się z Urielem w całkiem inny sposób niż poprzednio, pragnęła być świeża i wesola.

- Kiedy rano wyruszyście konne do domu, ja udam się do naczelnego...

- Masz na myśli Boga?

- Och, nie, oszalałaś? Tam, skąd pochodzę, istnieje prawdziwa wielostopniowa hierarchia. Nigdy nie zbliżę się do Najwyższego, dzieli mnie od niego wiele lat świetlnych. Nie widuję nawet najniższych zastępów anielskich!

- Mój służący ma służącego, który także ma służącego - mruknęła Taran bez odrobiny szacunku. - Widać niewiele się to różni od ziemskiego wspinania się po ramionach innych. - Głośno zaś powiedziała: - Jesteś pewien, że anielskie zastępy istnieją?

- Nie.

Taran roześmiała się, ale zaraz spoważniała.

- Nie będziesz mi towarzyszył w drodze do domu?

- Postaram się porozmawiać ze zwierzchnikami najszybciej jak mi się uda - odparł. - I wiem, że Soi zajmie Sigiliona do jutra wieczór. Musimy to wykorzystać. Zresztą Robert ma pistolet, na wypadek gdybyście mieli zostać napadnięci przez jakichś innych złoczyńców.

W pokoju stało biurko, a na nim leżały liczydła. Taran sięgnęła po nie, a teraz siedziała bezmyślnie przesuwając kulki.

- Liczysz godziny do czasu, kiedy zniknę? - spytał Uriel.

- Nie, kiedy wrócisz.

Opuściła liczydła na łóżko i zarzuciła mu ręce na szyję.

- Tak bardzo za tobą tęskniłam, Urielu.

Poczuł falę gorąca na twarzy, w głowie, w koniuszkach palców i wielu innych miejscach. Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, przytulił ją delikatnie, z czułością.

- I ja za tobą tęskniłem, Taran. Wiem, że nie wolno mi tak mówić. Ale mam zamiar wiele zmienić.

- Co zamierzasz robić? - spytała cicho, szepcząc mu w szyję.

Uriel zadrżał z rozkoszy, gdy poczuł wilgotne wargi dziewczyny na skórze.

Szeptem przedstawił jej swe zamiary.

- Ach, Urielu! - uradowała się Taran. - Spróbuj!

- Z całego serca!

Wciąż mówiła z ustami wtulonymi w jego szyję, wibracje wywołane jej głosem delikatnie go łaskotały. Chciał prosić, by przestała, zanim wywoła skandal, ale to było takie wspaniałe, że postanowił zaryzykować.

- Soi twierdziła, że i ja nie potrafię pokochać mężczyzny ludzkiego rodu - powiedziała zamyślona. Uriel wstrzymał oddech, czując dotyk jej warg. - Że nie są oni dla mnie dostatecznie silni. Ale jeśli ty postarasz się o powrót na ziemię...

- Uważasz, że stanę się zbyt zwyczajny?

- Nie, ty nigdy nie będziesz zwyczajny. Ale... proszę, nie wracaj jako Gustava!

Uriel - wybuchnął śmiechem.

- Nie, zdecydowanie nie będę Gustava. Będę wyglądać tak jak teraz, no może nie aż tak pięknie i idealnie.

- Ach, Urielu, mam nadzieję, że ci się to uda!

On także na to liczył, dłużej bowiem tak być nie mogło. Zagotowało się w nim teraz, zapomniał o anielskich manierach. Ujął twarz Taran w dłonie, patrzył na miękkie drżące wargi i z całych sił musiał się powstrzymać, by ich nie ucałować. Jeśli ma nakłonić swego zwierzchnika i mistrza do zezwolenia na swój powrót na ziemię, na darowanie jeszcze jednego życia w ludzkiej skórze, to lista jego uczynków musi być bez skazy. Podejrzewał, że taki pocałunek, jakiego teraz pragnął, absolutnie określono by jako skazę.

Nie mówiąc już o jego następstwach...

Oddychał z trudnością, przed oczami wystąpiły mu czerwone plamki i śmiertelnie się bał, że Taran odkryje, jak się mają sprawy pod jego białą szatą. Wzburzeniem napawała go świadomość, że prawie - anioł jest do tego stopnia podatny na tak przyziemne kwestie.

Siłą zmusił się, by odwrócić wzrok.

- Idź teraz spać. Będę czuwał pod drzwiami i obiecuję zbudzić cię wcześniej rano.

- Nie zostaniesz w pokoju? Przecież masz mnie pilnować.

- Nie, Taran - uśmiechnął się ze smutkiem. - Bo ““tedy być może i przede mną musiałabyś się bronić.

Dziewczyna starała się ukryć uśmiech zadowolenia.

- Zbyt nie opierała. Rozumiem więc. Dziękuję, Urielu. Dziękuję, że mi to powiedziałeś.

Bardzo niechętnie wstał z uroczonego łóżka i dokładnie sprawdził okno.

- Wprawdzie Sigilion nic przyjdzie, bo jest zajęty z Soi, ale przezorności nigdy dosyć. No cóż, tutaj jest bezpiecznie. A chciałbym ujrzeć Sigiliona, który prześlizgnie się przez wywietrznik. Owszem, jest szczupły, ale nie jak witka.

Uczerniłby się zresztą sadzą i popiołem. Na wszelki wypadek jednak zamknę go.

Dobrze, teraz możesz spać spokojnie.

Znów odwrócił się do Taran. Z wahaniem, bez najmniejszej ochoty, by wyjść.

Zaskoczony ujrzał ją przy drzwiach. Uriel był zbyt naiwny, by zrozumieć tę drobną kobietą sztukę. Aby wyjść, musiał ją minąć.

- Dobranoc, Urielu - powiedziała najłagodniejszym głosem.

Uniosła nieco ramiona, zmuszając go tym samym do objęcia jej łokci.

- Dobranoc, moja podopieczna - odrzekł cicho, niespokojny, że sytuacja może się zmienić w trudniejszą. - Mam tylko jedno pytanie: Czy to prawda, że zakochałaś się w Robercie?

- Tak nigdy nie było. Bardzo się starałam, ale do miłości przecież nie można się zmusić. Po prostu czułam się okropnie nieszczęśliwa i próbowałam znaleźć sobie miłego kandydata na męża. Co ja wygaduję! - zaczęła się nieco histerycznie śmiać.

- Czy to z mojego powodu byłaś nieszczęśliwa?

- A jak myślisz? Tak pioruńsko trudno było mi dotrzeć do twojej niebiańskiej doskonałości, że po prostu... Ojej, Urielu, idź, zanim ja wywołam skandal. Babcia twierdzi, że młode panny nie powinny okazywać zbyt dużego zapału.

Uriel pospiesznie wyszedł z pokoju, zanim któreś z nich popełniło ów drobny ruch, wystarczający, by cały jego opór runął.

Rozdział 27

Robert był szczerze zawiedziony, zarówno ze względu na Taran, jak i siebie, że nie spotkają się z uczonym.

Kręcił głową.

- Od dawna już żadna historia mnie tak nie porwała - powiedział, kiedy kończyli śniadanie i mieli opuszczać zajazd. - Ale przecież po tym, jak odwiozę cię do domu, zostanę przez jakiś czas w Christiana. Będę wypatrywał, kiedy on wróci do domu. Czy możesz mi podać jego pełne nazwisko i adres?

Taran, która już wcześniej pożałowała, że wciągnęła w rodzinne kłopoty postronną osobę, wahała się. Oczywiście mógł jej służyć pomocą, ale narażał się także na niebezpieczeństwo. Nigdy by sobie tego nie wybaczyła.

- Chyba nie powinienesz za bardzo się w to mieszać, Robercie. To może być dla ciebie groźne.

- Pewnie masz rację - rzekł ku jej ogromnej uldze. - Dobrze spałaś w nocy?

- Owszem, dziękuję - skłamała Taran. - Położyłam się bardzo wcześnie i spałam przez całą noc. Wiesz, to wino.

Robert roześmiał się.

- Ja też trochę za dużo wypilem. Spałem jak kamień.

Gdybyś wiedział, co się działo nad twoją głową, pomyślała Taran. Nie mówiąc już o tych wszystkich godzinach, kiedy nie mogłam zasnąć z podniecenia, bo anioł stróż Uriel stał na warcie pod moimi drzwiami.

Wyszli na słońce. Dzień zapowiadał się piękny.

- Wiesz - powiedział Robert, spoglądając na wieżę kościoła. - Ponieważ mamy kilka wolnych godzin, zdążymy może zejść do portu i porozmawiać z moimi przyjaciółmi. Mają tam statek i czekają na mnie. Powinienem uprzedzić, że spóźnię się parę dni.

Taran się zawahała. Obiecała Urielowi i Soi, że z Christianii wyruszy prosto do domu.

- To oczywiste, że powinieneś zobaczyć się z przyjaciółmi - powiedziała dość niechętnie, bo nie chciała protestować. - Mną się nie przejmuj, wrócę do domu sama. Ominie cię podróż tam i z powrotem.

- Nie ma mowy. Sądzisz, że cię puszcze samą? Cóż byłby ze mnie za towarzysz? Uwierz mi, wiele dla mnie znaczysz.

Uf!

- Przecież nie grozi mi już żadne niebezpieczeństwo... Ale dziękuję za troskę. Przypuszczam, że zdążymy do portu.

- To potrwa tylko chwilę. A port jest za rogiem.

- Dobrze.

Idąc ujął ją za rękę.

- Taran, w powrotnej drodze mam z tobą tyle do omówienia - zwierzył się.

Ojej, pomyślała zakłopotana. Dlaczego, do diaska, flirtowałam z Robertem? Po cudownym spotkaniu z Urielem wyznanie miłości Roberta wcale mi nie odpowiada.

Roześmiała się niepewnie i ostrożnie przyciągnęła rękę do siebie. Czy będzie go musiała zranić?

- No, wiecie! - Theresa strofowała swoje dzieci, Danielle i Rafaela. - Co wyście zrobili z pięknym salonem Aurory? Wszędzie papiery. Nikt by nie uwierzył, że macie po siedemnaście i dwadzieścia jeden lat. Proszę natychmiast tu uporządkować i wyrzucić wszystko do śmieci. Do roboty!

Rodzeństwo popatrzyło na siebie z uśmiechem zawstydzenia i zaczęło sprzątać.

Wojna na papierowe kule jest zabawna do chwili, kiedy trzeba po sobie wszystko uprzątnąć.

Razem wynieśli świadectwa grzechu do pojemnika na śmieci ustawionego na tylnym podwórku.

- Chciałabym, żeby Taran już wróciła - westchnęła Danielle. - Stęskniłam się za nią.

- Ja także. Mam nadzieję, że nie wyjdzie za mąż i nie przeniesie się do Szwecji. Robert jest sympatyczny, ale zbyt uległy jak dla Taran. A co ty o tym myślisz?

- W pełni się z tobą zgadzam - odparła Danielle, wysypując górę papierowych kul.

- Chciałabym, żeby jeszcze przez jakiś czas została w domu. To bardzo egoistyczne, ale ona ożywia otoczenie.

Rafael nie odpowiedział. Uważnie przyglądał się śmieciom.

- Na co patrzysz?

- Ten przypominający pergamin papier... Czy już go gdzieś nie widzieliśmy?

Danielle wyłowiła papierową kulę ze śmietnika. Arkusz był precyzyjnie zmięty, ale prawie nie uszkodzony.

- Nie wiem.

- Nie, ty może tego nie widziałaś.

- Owszem - powiedziała Danielle z namysłem. - Przypomina list, który Finkelborg wysłał dylżanssem pocztowym. Do swej rodziny, przypuszczam, że w Danii.

- To jest ten list - doszedł do wniosku Rafael. - Ale jak się tu znalazł? Widzieliśmy przecież, że pocztylion go zabrał. - Odwrócił arkusz. - To wcale nie do Danii, wysłano go do Szwecji.

- Przeczytaj!

- Jest to zaledwie kilka słów naskrobanych w pośpiechu, jak pamiętasz. Ciężko ranny. Zastąp mnie. Bądź ostrożny. Ona ma groźnych opiekunów. Nr 18.

Popatrzyli po sobie.

- Zgaduję, kim jest adresat - szepnęła Danielle pobielającymi wargami.

Rafael odwrócił papier.

- Tak, to Robert - odparł ledwie słyszalnie.

- Numer osiemnaście. Taka więc była pozycja Finkelborga...

- W Zakonie Świętego Słońca - dokończył Rafael. - A Taran jest razem z innym, sama z ich szwedzkim reprezentantem.

W skamieniałą Danielle wstąpiło życie.

- Idziemy do domu.

Theresę i Aurorę strach raził niczym piorun. Poblądły.

- Natychmiast jadę do Christianii - oświadczył Rafael. - Wezmę kilku ludzi i...

- Za późno - pokręciła głową Theresa. - Nie zdążysz na czas.

- Coś przecież musimy zrobić!

- Tak. Oczywiście trzeba jechać. Z pewnością Aurora wypożyczy wam kilku mężczyzn.

- Naturalnie - odparła gospodyni. - Tylu, ilu tylko się da.

- Ale nic nie mówmy Augustowi - zaproponowała Theresa. - On myśli, że to jego krewniak, i może mu być przykro, że został oszukany.

- Nonsens - prychnęła Aurora. - August jest silny. W dodatku od kilku nocy nie śpi, uważając, że coś mu się nie zgadza. Zaczął wątpić, czy Robert jest wnukiem Agdy.

- Doskonale, wobec tego wtajemniczamy również Augusta.

Rafael stał zamyślony. Bardziej niż kiedykolwiek wyglądał jak pełen melancholii poeta.

- Soi z Ludzi logu prawdopodobnie kontroluje poczynania Sigiliona, jego więc nie musimy się obawiać. Ale gdzie się podział Uriel?

- Mam wrażenie, że Taran znów go rozdrażniła - powiedziała Danielle. - I wystraszyła. Chyba chciał zrezygnować z opieki nad nią.

- Niemądra dziewczyna - zirytowała się Theresa. - Jest moją ukochaną wnuczką, ale czasami ogarnia mnie okropna złość na nią.

- Musimy uprzedzić Uriela - rzekł Rafael. - Bez niego sobie nie poradzi.

- Ale jak to zrobić? Nie mamy żadnych nadprzyrodzonych zdolności. Nie potrafimy się nawet skontaktować z duchami Moriego.

- Uriel ma zostać aniołem. Jak się rozmawia z kimś takim? - zastanawiała się Danielle.

Rafael wpadł na pewien pomysł.

- Babciu! Jesteś takim dobrym człowiekiem i wzorową katoliczką. Czy ty nie mogłabyś spróbować?

Theresa popatrzyła na niego z tkliwością.

- Oczywiście, spróbuję do niego dotrzeć przez modlitwę do Najświętszej Panienki.

Już idę do swojego pokoju. W tym czasie ty, Rafaelu, i Aurora zorganizujecie oddział, który wyruszy do Christianii. Erling z pewnością wybierze się z wami.

Theresa poszła do siebie. Przed świętym obrazkiem, który ustawiła na nocnym stoliku, padła na kolana i gorąco się modliła, aby ktoś wysłuchał jej prośby i przekazał ją Urielowi.

W porcie Christianii Robert zaprowadził Taran do niewielkiego statku, może raczej należałoby powiedzieć: kutra, chociaż prezentował się dość okazale i widać było, że jego właściciel musi być wysoko postawioną osobą.

- Hop! Hop! - zawołał Robert w stronę statku.

Czekali. Nic się nie działo.

- Wchodzimy na pokład - zdecydował Robert. - Może jeszcze śpią.

Taran z wahaniem poszła za nim. Nie lubiła wdzierać się na czyjś prywatny teren.

- Czy nie możesz zostawić wiadomości? - spytała.

- Owszem, jeśli ich nie zastanę. Zejdź po tych schodach.

Pomógł jej przejść do ciasnej kajuty, rufy, czy jak tam nazywają to miejsce marynarze. Taran dorastała w Europie, w kraju nie posiadającym dostępu do morza, i nie znała języka wilków morskich.

W myślach przez cały czas międlila tę samą kwestię: Jak go nie zranić? Przecież w pewnym sensie sama go zachęcałam, żeby się mną zainteresował, tylko dlatego, że byłam tak głęboko nieszczęśliwa i sądziłam, że potrafię się zakochać w zwykłym mężczyźnie. I zapomnieć o Urielu.

Ale jak można wyrzucić Uriela z pamięci? Jak mogłam być taka niemądra?

Popełniłam wszystkie głupstwa, jakie tylko można sobie wyobrazić, zachowałam się jak humorzasta pensjonarka, no i mam za swoje.

Robert oczekuje, że przyjmę jego miłość i ofiaruję mu swoją.

Nie chcę nikogo ranić!

Nikt jednak nie mógł jej teraz pomóc wybrnąć z sytuacji, w którą sama się wplątała.

We wnętrzu łodzi panował mrok, tylko przez nieduże owalne okienko sączyło się trochę światła, migoczącego od kołysania wody, chlupoczącej o burty.

- Wygląda na to, że nikogo tu nie ma - powiedziała Taran niepewnie.

Była szczurem lądowym i zapach morza, wodorostów, nasmołowanych lin i przewożonych w beczkach śledzi nie budził w niej żadnych sentymentalnych uczuć. Czuła się nieswojo i pragnęła jak najprędzej dotknąć stopami ziemi.

Robert przeszedł do pomieszczenia w głębi, zostawiając ją samą. Jego głos, dobiegający stamtąd, zabrzmiał głucho i tajemniczo.

- Zobacz, Taran! Chodź i sama zobacz!

Zaprowadził ją do jeszcze ciemniejszego niedużego pomieszczenia, wypełnionego zapachem, na który każdy człowiek morza zareagowałby okrzykiem zachwytu, lecz w Taran wzbudził jedynie obrzydzenie.

- Na co mam patrzeć? - spytała. - Tutaj jest tak ciemno, że...

Robert stanął za nią. Komórka była bardzo niska i Taran musiała się pochylić.

Poczuła uderzenie w tył głowy. Nie bardzo rozumiała, co to mogło być, czyżby o coś zawadziła?

Więcej pomyśleć już nie zdążyła. W oczach jej pociemniało i osunęła się na ziemię.

Rozdział 28

- Ależ, Urielu - zwierzchnik pobożnie złożył ręce na brzuchu. - Nie mówisz tego chyba poważnie! Nie chcesz jeszcze zostać aniołem? Przecież tak wysoko już awansowałeś!

Uriel, który mówił od dłuższej chwili, czuł się duchowo wycieńczony.

- Czy naprawdę zostać aniołem jest tak godne pożądanie? Nie mam ochoty, by stać się cherubinem, to przecież groteskowe, cztery pary skrzydeł i czworo oczu! W dodatku cherubini używają płomiennych mieczy, by karać tych, którzy zesli na

złą drogę. Wiem, że to się nazywa popełnić grzech, ale ja określam to jako popełnianie błędów. Czy cherubini ze swą żądzą karania są w czymś lepsi?

- Urielu, zważaj na słowa!

- Mają twarze i stopy zwrócone w różnych kierunkach, nie muszą się więc odwracać, kiedy chcą spojrzeć w jakąś stronę. Ja nazywam to lenistwem. A serafini? Czy oni są lepsi? Przebywają w najświętszych sferach, krzykiem głosząc chwałę Pana, ale zsyłają gromy, błyskawice i popiół, tak że nikt nic w ogóle nie widzi. Nie chcę zostać kimś takim.

- To ci nie grozi, uspokój się. Ktoś może cię usłyszeć.

- Miałbym więc tkwić w jednym z dalszych zastępów? Tych, które chórem wyśpiewują anielskie trele, ale nikt ich nie słucha?

- Urielu! To wielki zaszczyt...

- Doprawdy? A jak było z trzydziestoma trzema milionami aniołów, które pospieszyły za Lucyferem, strąconym archaniołem, aniołem światła? Poszły za nim, ponieważ tego chciały, a to znaczy, że niebiańskie przestrzenie nie są szczególnie interesujące.

W głosie zwierzchnika brzmiało zdecydowanie:

- Nie tam trafisz, Urielu, lecz do trzeciej sfery, tej, która ma związki ze światem ludzi. Spotkasz tam posłańców, aniołów stróżów, archaniołów i sporą liczbę zwykłych aniołów. Tam właśnie trafisz z tego wymiaru, w którym obecnie przebywasz.

- Hurra - mruknął Uriel z ponurą miną.

- Jeśli, oczywiście, będziesz się porządnie sprawował. Akurat teraz tak nie jest i ryzykujesz utratę miejsca.

- Ależ ja właśnie tego pragnę! Pokochałem kobietę z ludzkiego rodu i chcę stać się człowiekiem!

W oczach mistrza na moment pojawiło się coś w rodzaju tęsknoty. Zaraz jednak "wziął się w garść.

- Takie niebezpieczeństwo najczęściej grozi duchom opiekuńczym. Można się przywiązać do ziemskiej istoty. Dlatego natychmiast zwolnimy cię z przydzielonego ci zadania, znajdziemy dla ciebie coś innego.
- Nie chcę niczego innego. Co złego jest w ziemskim życiu? Nigdzie indziej nie ma tyle czułości, tyle miłości, tyle... tak, smutku i rozpacz, ale to przecież także są uczucia! Mistrzu, czyżbyś nie dostrzegał piękna w tym, co niedoskonałe? Czy nie wzruszają cię usiłowania ludzi, by uczynić świat piękniejszym, bogatszym i lepszym? Nie chcesz pomóc nieszczęśliwym? Śmiać się wspólnie z radosnymi, czuć, że żyjesz?
- Urielu, uważam, że powinniśmy zakończyć...
- Zauważyłem różnicę, kiedy wróciłem na ziemię. Spostrzegłem, że wszystko, co kiedyś wydawało mi się szare i brzydkie, także ma swój urok, którego się nie widzi, kiedy ma się z tym do czynienia na co dzień. Są ludzie dobrzy i źli, mistrzu, ale nie mamy prawa nimi pogardzać.

Uriel poczuł, że płacz dusi go w gardle. Tyle chciał wyjaśnić, ale nie mógł znaleźć potrzebnych słów. Mówił banały, powtarzane już po tysiackroć wcześniej.

Trochę się uspokoił.

- Ale nie wszyscy ludzie stają się aniołami?
- Nie, istnieje także odrębny wymiar dla pozostałych. Nie mówię wcale o piekle, to wymysł ludzi. Oni trwają w szczęściu, pławią się w Wielkim Świetle, które jest samą miłością.
- Dlaczego więc mnie wybrano, abym się znalazł tutaj?
- Ma to związek z twoim wcześniejszym życiem, i to niejednym. Wówczas tego pragnąłeś, dlatego się tak stało.
- To musiało być dawno temu - mruknął Uriel.
- Owszem. Byłeś między innymi głęboko wierzącym mnichem, innym razem umartwiającym się pustelnikiem.
- I to także? Ile głupstw właściwie popełniłem?

- Mieścisz się w normie. Byłeś natomiast niezwykle cnotliwy, pewnie dlatego tak zauroczyła cię ta Taran. Powinienem być to przewidzieć.

Uriel westchnął.

- Moja sytuacja jest dramatyczna. Myśli dniem i nocą krążą wokół jedynej kobiety, jaką kiedykolwiek naprawdę kochałem. Tak dłużej być nie może.

- A pamiętasz inne kobiety, jakie obdarzyłeś miłością na przestrzeni dziejów? - pytał mistrz cierpliwie.

- Nie, oczywiście, że nie. Wiem jedynie, że żadna miłość nie może być silniejsza. Muszę otrzymać jeszcze jedno ziemskie istnienie.

- Większość byłaby uszczęśliwiona, mogąc rozstać się z tym padołem lez i zająć tak wysoko jak ty. A ty zakończyłeś już nie tylko swoje życie na ziemi, lecz także służbę jako opiekun. Dawno temu. Twoją ostatnią podopieczną była Blitilda. Taran przydzielono ci dodatkowo, i przypominam sobie młodzieńca, który także wtedy bardzo się awanturował, nie chciał podjąć się tej roli.

- Wiem o tym. Ale teraz nie mogę bez niej żyć. Mistrzu, jeśli zmusisz mnie, bym kontynuował swoją drogę w górę poprzez wymiary, skażesz mnie na prawdziwe piekło w niebie!

- Licz się ze słowami, chłopcze!

Pojawił się posłaniec w śnieżnobiałej szacie i szepnął coś do ucha wysoko postawionemu. Obaj spojrzeli zaraz na Uriela.

Mistrz pokiwał głową, posłaniec odszedł.

- Urielu, musisz jak najprędzej wracać na ziemię. Do najwyższych sfer dotarła błagalna prośba od pobożnej kobiety, księżnej Theresy. Znasz ją?

- Oczywiście, to babcia Taran.

- Zgadza się. Poprosiła, aby natychmiast ci to przekazać. Z Taran jest źle.

- Nie! - zakrztusił się Uriel. - Przecież Soi z Ludzi Lodu miała trzymać Sigilioną w szachu!

- To nie ma związku z Sigilionem. Babcia Taran wspominała rycerza Zakonu Słońca o imieniu Robert...

Uriela ogarnęła panika.

- Robert? Rycerz Słońca? Och, nie! Natychmiast muszę wracać.

Mistrz podniósł dłoń w górę.

- Chwileczkę!

Uriel ledwie mógł ustać w miejscu.

- Otrzymasz jeszcze jedno ludzkie życie, Urielu. Pod pewnym warunkiem.

- Jakim? Zrobię wszystko.

- Będziesz zwalczać rycerzy Zakonu Świętego Słońca. To zły związek.

- "Wiem o tym. To już wszystko?"

- Zwalczenie Zakonu potrwa długo, być może nawet przez całe życie Taran, nie w porządku więc wobec ciebie byłoby kazać ci czekać tak długo. Obiecuj, że poświęcisz swe ziemskie życie na walkę z nimi...

- Obiecuję.

- A teraz twe właściwe zadanie: Nie staniesz się na powrót człowiekiem, dopóki nie unieszkodliwisz Sigiliona.

Uriel pobladał.

- Ależ on prawdopodobnie jest nieśmiertelny.

- Możliwe, ale też i ja nie mówię o zabiciu go, a tylko o unieszkodliwieniu. Kiedy nie będzie już dłużej zagrażał, odzyskasz na powrót ludzką postać. Sam chyba rozumiesz, że możesz z nim walczyć tylko jako duch opiekuńczy, będąc istotą ludzką z niczym sobie nie poradzisz.

- Twarde warunki - stwierdził Uriel słabym głosem. - Ale postanowiłem, że raz kiedyś wezmę Taran w ramiona.

- Dlaczego tylko raz? - roześmiał się zwierzchnik. - Dlaczego nie przez całe życie?

Twarz Uriela rozjaśniła się w uśmiechu.

- A teraz ruszaj, zanim rycerz Słońca położy kres twoim marzeniom!

- On jej nie zabije, przynajmniej dopóki nie zdobędzie szafiru. Sigilion ma taki sam zamiar. Obu im pokażę!

- Dobrze, pamiętaj tylko, że nie wolno ci zabijać. Stracisz wtedy... jak to powiedzieć?

- Ludzie nazywają to nagrodą. A teraz żegnaj! Dzięki za twoją wielkoduszność!

- Cóż, nic nie poradzę na to, że jesteś taki głupi.

Taran ocknęła się w ciasnym pomieszczeniu. Upłynęła dość długa chwila, zanim przyzwyczała się do tego miejsca. Wokół wszystko się kołysało, fale wściekle tłukły się o burtę, głowa pękała jej z bólu.

Ze przyzwyczała się do miejsca, to za dużo powiedziane. Leżała związana, rzucona w kąt na wilgotne deski podłogi. Byle tylko statek nie zatonął...

Najwyraźniej wypływali na pełne morze, bo huštało już porządnie.

Okropna sytuacja, naprawdę okropna!

Najgorsza jednak ze wszystkiego była zdrada Roberta.

Z początku niczego nie rozumiała. Dlaczego on to zrobił? Przecież ani słowem nie dała mu do zrozumienia, że odrzuca jego zaloty.

Właśnie wszedł do tego schowka, nie bardzo wiedziała, jak ma nazwać pomieszczenie. Przysiadł na umocowanej do ściany ławie. W ciemności ledwie widziała jego postać.

- Wyprowadziłem was w pole - oświadczył z triumfem. - Niczego nie podejrzewaliście, prawda?

- A co mielibyśmy podejrzewać?

Jak niewyraźnie zabrzmiał jej głos! A przecież wcale się nie bała, obawiała się jedynie choroby morskiej, to takie upokarzające.

- Nie przyszło ci do głowy, że zastąpiłem Rasmusa, prawda?

Rycerz Słońca. Przez moment poczuła w sercu ukłucie strachu, lecz zaraz odzyskała rezon.

- Posłał więc po ciebie? Dał list pocztylionowi, teraz już wszystko rozumiem.

- Nie wiem, jak do tego doszło, w każdym razie posłał po mnie. Przybyłem natychmiast i udało mi się zwieść was wszystkich.

Taran zamyśliła się.

- Pamiętam, że Finkelborg po wysłaniu listu okropnie się wściekał. Chyba rozumiem, dlaczego. Nie napisał, że Danielle byłaby o wiele łatwiejszą zdobyczą niż ja, prawda?

Usłyszała, jak Robert przeklina. Najwidoczniej Finkelborg nie wspomniał o Danielle i Robert doszedł do wniosku, że niepotrzebnie tak się wysilał. Danielle uprowadziłby bez kłopotu i z większą korzyścią. Za pewnik przyjmowano, że Taran poradzi sobie sama w wielu sytuacjach, natomiast Danielle to delikatna, niemal wrażliwa jak roślina istota, której za wszelką cenę należało pospieszyć z pomocą. Wymienić na drogocenny szafir. Natychmiast. Robert przypuszczał, że teraz, kiedy zakładniczką jest Taran, silniejsza i bardziej zdolna do stawiania oporu, będą się wahać dłużej.

Zazgrzytał zębami ze złości, że sam nie wpadł na takie proste rozwiązanie.

- Ale teraz mam już ciebie - rzekł agresywnie. - Już mi się nie wymkniesz.

Rzeczywiście, musiała przyznać mu rację. Soi zajęła się Sigilionem, ale Uriel...

Prawda, udał się do swych zwierzchników z prośbą, aby pozwolili mu znów stać się człowiekiem. A jeśli tak rzeczywiście się stanie? Nie na wiele wtedy jej się przyda. Sytuacja stała się na to zbyt trudna.

Miała ochotę spytać, jak daleko w morze wypłynęli, ale fiord był długi, na pewno jeszcze go nie pokonali. Wiedziała, że nie spała zbyt długo.

Spała? Straciła przytomność uderzona w głowę przez rycerza łajdaka. Jak mogła być tak naiwna?

Nawet ona jednak rozumiała, że sytuacja stała się naprawdę poważna.

- Dokąd mnie zabierasz? - spytała.

- Do Niemiec. Inni rycerze już tam na mnie czekają. Teraz, kiedy cię mamy, prześlemy wiadomość do twego ojca i brata. Niebieski szafir w zamian za twoje życie. To przecież sprawiedliwe, szlachetny kamień należy do nas, to wy wtargnęliście na nie swój obszar i nam go skradliście.

- Wtargnęliśmy? Chcesz chyba powiedzieć, że okazaliśmy się sprytniejsi. Nie ma żadnego prawa własności, jakie by się odnosiło do szlachetnego kamienia ani też do naszej ogromnej wiedzy na temat Świętego Słońca.

- Dziękuję bardzo, że zechciałaś mi objaśnić tak wiele niewiadomych. To znacznie podniesie moją pozycję w Zakonie.

Taran zacisnęła zęby.

- A ten statek? Gdzie jego właściciel? A może go ukradłeś?

- Statek jest moją własnością. Wcale nie mieszkam nad Bałtykiem, tylko w Marstrand, do Christianii więc nie miałem daleko. Po prostu wsiałem na konia i udawałem, że przybywam aż z głębi Szwecji. Oszukałem was bez trudu. Rzecz jasna udam się do twego uczonego i wyciągnę z niego więcej informacji o niezwykle, jak się okazuje, interesującym Bałtyku. Nie mieliśmy pojęcia, że odpowiedź może znajdować się właśnie tam. A chyba tak jest, masz rację.

O wstydzie! Jak mogła postąpić tak głupio? Nie proszona nawet przekazała informacje bezpośrednio rycerzowi Zakonu Świętego Słońca. Szczęśliwa, że jej słucha, ujawniła tajemnice, których nikt, nawet stojący całkiem z boku szwedzki krewniak Augusta, nie powinien znać.

- Nigdy więcej tego nie zrobię! - obiecała sobie.

Robert oznajmił zimno:

- Nie będziesz miała okazji.

Rozdział 29

Dumny oddział sunął skapanym w blasku słońca lasem. Kopyta koni w nierównym rytmie dudniły o porośniętą mchem ziemię.

Rafael i August jechali obok siebie, otwierając orszak godnych zaufania wieśniaków i parobków. Erling wraz z Hermodem, synem Augusta i Aurory, stanowili tylną straż. Znaleźli się mniej więcej w połowie drogi do Christianii, kiedy, musieli wstrzymać konie.

Mieli wrażenie, że oślepił ich promień słońca. Świetlista postać zagroziła drogę.

- Dzięki ci, dobry Boże, to Uriel - mruknął Rafael.

Wszyscy słyszeli o aniele stróżu Taran, ale go nie widzieli. Rozgniewany, przedstawiał się zaiste imponująco, w połyskliwej białej szacie, ściśniętej złotym pasem. W swoim wymiarze otrzymał nowy pas, paska Rafaela nie uznano, a Uriel nalegał, aby pozwolono mu go używać. Dlaczego, tego nikt tam na górze nie rozumiał, ani też czemu ma służyć szata sięgająca ledwie do kolan. Miał jednak smukłe, kształtne łydki, nosił złote sandały i przyznawano, że w krótkiej szacie lepiej się prezentuje. Pojawiło się nawet więcej głosów proszących o pozwolenie na skrócenie giezła.

Ludzie zeskoczyli z koni. Wieśniacy i parobkowie nisko się pokłonili wysłannikowi ze szlachetniejszego świata.

- Mówcie, tylko szybko - poprosił Uriel. Z oczu bił mu niepokój. - Dowiedzieliście się, że Robert jest jednym z zakonnych braci. W jaki sposób?

Rafael opowiedział, co znaleźli w śmieciach.

Uriel pokiwał głową.

- Przyjaciele - powiedział. Wszyscy poczuli się uprzywilejowani i odruchowo się wyprostowali. - Dobrze, że jedziecie do Christiana, bo Taran potrzebna jest wszelka pomoc. Sigilion wieczorem wyrwie się spod kontroli, a wtedy nie wiadomo, jak sobie poradzimy. Boję się o wasze życie. Pamiętajcie, nigdy nie dajcie się wciągnąć do walki z Sigilionem! Z Robertem natomiast możecie postępować jak uważacie.

- Z pewnością zapamiętamy twoje słowa, panie - odparł starzejący się już August.

- Ale Taran wszystkim nam jest droga i bardzo pragniemy jej pomóc.

- Doskonale! Nie wiecie nawet, jak bardzo jestem wam wdzięczny. Natychmiast do niej wyruszam, bez względu na to, gdzie jest. Zobaczymy się... no właśnie, gdzie?

Uzgodnili miejsce spotkania w mieście i Uriel w jednej chwili zniknął. Rozpłynął się w blasku słońca.

- Praktyczna umiejętność - westchnął Hermod. - Bardzo by się przydała.

- Wszystkich nas pewnie kiedyś to czeka - zauważył August dosiadając konia.

- O, nie - zaprzeczył Rafael. - Uriel jest szczególny. Móri i Dolg opowiadali mi, że po śmierci trafimy do wszechogarniającego światła miłości. Natomiast dla takich, którzy gorąco tego pragną i żyją bardzo przykładowo, istnieje drabina niebiańskiej kariery, po której można się wspinać. Tak twierdzi Móri. Ja nic nie wiem. Ale Uriel sprawia wrażenie potężniejszego od zwykłych duchów opiekuńczych.

- Może to anioł stróż? - podsunął Erling.

Czy to nie to samo?

Rozmawiali jadąc. Głosy niosły się między drzewami.

- Myślicie, że Uriel odnajdzie pannę Taran? - spytał jakiś wieśniak.

- Już przy niej jest - odparł Rafael. - Miejsce opiekuna jest u boku swego podopiecznego. Uriel oddalił się od niej tylko na pewien czas, ponieważ Taran zanadto się z nim droczyła, ale to miało tragiczne skutki.

Rafael nic nie wiedział o prośbie Uriela, by ofiarować mu jeszcze jedno życie na ziemi.

- Nie można być takim drażliwym! - oburzył się któryś z gospodarzy.

Rafael uśmiechnął się.

- Czasami nic na to nie można poradzić.

Taran czuła się doprawdy żałośnie. Na razie przynajmniej nie musiała się lękać o swoje życie, ale dokuczało jej upokorzenie, niewygody i żal.

Zawiodła wszystkich. Nie patrząc na nic, rzuciła się sama w ręce rycerza Zakonu.

"Taran!"

Niemal z krzykiem wciągnęła powietrze w płuca. Głos Uriela w jej głowie! Uriel tu był, Uriel!

Zrozumiała, że muszą się porozumiewać myślą, aby nikt niczego się nie domyślił. Ich prywatna tajemnica.

"Jesteś tutaj! Dzięki ci, najdroższy! Teraz już wszystko będzie dobrze!"

"Niestety. Musisz wrócić do będącego pod ochroną dworu, zanim Sigilion znów zostanie wypuszczony".

"A co zrobimy z Robertem? Statek płynie w stronę otwartego morza!"

“Robertem zajmę się ja. Nie wolno mi zabijać, ale na pewno coś wymyślę”.

Jak to możliwe, by w jednej chwili wszystko tak pojaśniało, by pojawiła się nadzieja? Uriel wrócił. Pod słońcem nie było już nic trudnego.

“Jak ci poszło w niebie? Pozwolono ci wrócić do postaci człowieka?”

“To nie jest niebo, Taran. Częściowo mi pozwolono, pod warunkiem, że najpierw unieszkodliwię Sigiliona”.

I znów dookoła pociemniało.

“Beznadziejne zadanie!”

“Owszem, ale poradzę sobie. Muszę!”

“Dlaczego?”

“Ponieważ cię pragnę”.

Uściskałaby go, gdyby nie była związana, a on niewidzialny.

Uderzyła ją przerażająca myśl:

“Urielu? Nie masz chyba zamiaru powrócić jako noworodek?”

Jęknął.

“Mój Boże! Mam nadzieję, że tak się nie stanie!”

“Bo wtedy nigdy mnie nie dogonisz”.

“Nie wyczulem, aby tak miało się stać. Chyba będę taki jak teraz”.

Taran nie pytała go o wiek. Odpowiedź mogłaby wprawić ją w zakłopotanie.

“Nie mogę cię uwolnić, Taran, ale zaufaj mi”.

“Oczywiście!”

Zorientowała się, że ją opuścił, ale odeszło także przygnębienie.

Robert nie mógł pojąć, co się dzieje ze statkiem. Chociaż ze wszystkich sił starał się utrzymać kurs prosto na ujście fiordu, statek go nie słuchał, stale kierował się w bok, jakby chciał zawrócić.

I nie dość na tym: naprawdę skręcił.

Co się stało? Czyżbym zgubił ster?

Próbował zajrzeć w wodę od strony rufy, ale niczego nie zobaczył.

Wiatr od morza mocniej dmuchnął w żagle. Przybiję do brzegu i sprawdzę, co się dzieje z tą łajbą, pomyślał Robert.

Ale statek nie chciał płynąć w stronę lądu. Obrął kurs prosto na Christianię i zdawało się, że doskonale wie o wszystkich wysepkach i skałach, trzymał się bowiem środka szlaku i omijał wszelkie przeszkody.

Robert, zdumiony, przestraszony i wściekły, zaczął krzyczeć.

Uriel z niepokojem patrzył, że zapada wieczór. Nie uda im się zdążyć do domu przed nocą.

Właściwie wcale na to nie liczył, ale pragnął, aby znajdowali się choć trochę bliżej, nie na środku basenu portowego, skąd roztaczał się widok na nabrzeże Christiana.

Czekali już tam na nich wszyscy ludzie ze dworu i okolicy. Jakiś czas temu błyskawicznie wyprawił się w umówione miejsce i dał znać Rafaelowi, że przybędą drogą morską i natychmiast przyda im się pomoc.

Na pewno będzie mu brakowało zdolności swobodnego poruszania się w przestrzeni, poza czasem. No i możliwości stawania się niewidzialnym.

Nic jednak nie może się równać z tęsknotą za Taran.

Musi ją mieć. Niewyraźne wspomnienie mówiło mu, że jego dotychczasowe istnienie było dość ubogie w miłość. Pewnie dlatego znajdował się teraz w wytęsknionym trzecim wymiarze, dzięki ascetycznemu życiu w pokorze, aby zadowolić wyżej stojące moce w zamian za wieczne życie. Wiedział jednak, że wielu ludzi traktuje religię jako ucieczkę od lęku przed śmiercią. Czy w taki właśnie sposób myślał w swym dawnym życiu? Czy też wierzył szczerze?

Tak mało wiedział o tym, co dawniej robił. Czuł tylko, że brakowało mu miłości.

Taran weszła w jego istnienie niczym łagodny letni wietrzyk, a może raczej, szczerze mówiąc, jak letnia burza.

Robert, rycerz Zakonu Słońca, chwilowo ustąpił. Siedział na rufie wycieńczony, pozwalając statkowi płynąć tam, dokąd poniosą go fale. Nic z tego nie rozumiał.

By dać upust swej złości, zszedł na dół i próbował kopnąć Taran. To jednak także

mu się nie udało. Natrafił na niezwykle, miękki opór w odległości kilku cali od dziewczyny. Próbował kilkakrotnie, ale zrezygnował, wykrzykując do niej przekleństwa. Oskarżał ją, uprowadzoną i związaną, o to, że jest przyczyną wszystkich jego kłopotów.

W pewnym sensie miał rację.

Zjawił się jeszcze jeden gość, ale Robert go nie zauważył. Nie widział Uriela ani Soi, która właśnie wylądowała na pokładzie. Oboje zeszli na dół do Taran. Ona także ich nie widziała, ale dali jej znak, że przybyli, i wszyscy troje mogli porozumiewać się myślą.

“Jak poszło?” spytał Uriel.

Sol westchnęła.

“Nie mogłam. Nie zdołałam się do tego zmusić”.

“Rozumiem”, odparł Uriel, a Taran pokiwała głową.

“Miałam ochotę, mówiąc oględnie, na odrobinę cielesnej miłości, lecz pomimo niesamowitej zmysłowości, nieziemskiej urody i oszalamiającego spojrzenia on okazał się zbyt wstrętny. Zwierzęcy. Zły. Myślący tylko i wyłącznie o sobie. Nie masz jakiegoś anioła, którego mógłbyś mi wypożyczyć, Urielu? Czy Taran zdaje sobie sprawę, ile miała szczęścia?”

“Tak”, powiedziała Taran.

“Zorientuję się”, roześmiał się Uriel. “Ale powiedz, co było dalej, co się stało z Sigilionem?”

“Zaprowadziłam go najdalej jak mogłam, na pustkowiu gdzieś na południowym wschodzie. Dość długo udawało mi się podtrzymać jego zainteresowanie, kiedy jednak się zorientował, że tylko się z nim bawię i że nic z tego nie będzie, wpadł we wściekłość. Wtedy zrozumiał, że jestem tylko duchem. Zostawiłam go, zniknęłam mu z oczu, ale on zamierza tutaj wrócić, więc uważajcie! Tyle że potrzeba mu na to o wiele więcej czasu niż mnie”.

Taran poczuła, że Uriel ściska ją za rękę. Przydało jej się to. Przeraziła ją myśl o rozgniewanym Sigilionie.

“Muszę teraz wracać do swej rodziny”, oznajmiła Soi. “Młody Daniel mnie potrzebuje.”

Gorąco podziękowali jej za pomoc. Bez niej nie poradziłiby sobie tak dobrze.

“Jeszcze tylko jedna prośba, zanim odejdiesz”, powiedział Uriel. “Ten Robert musi nosić znak Słońca. Czy możesz mu go skraść? Mnie nie wolno”.

“Bardzo chętnie! Co mam z nim zrobić?”

“Chcesz go, Taran?”

Dziewczyna pokręciła głową.

“Doszłam do wniosku, że te znaki są złe, bo należały do złych ludzi. Wrzuć go do morza!”

“Zgoda”, powiedziała Soi.

Robert przeżył kolejny szok, kiedy nagle coś wyrwało mu ochronny znak Słońca zza koszuli i ściągnęło przez głowę. Łańcuch z amuletem przeleciał łukiem w powietrzu i z pluskiem wpadł w fale.

- Nie, to niemożliwe! - krzyknął. - Teraz nic mnie nie chroni!

“Oto właśnie nam chodziło”, mruknął Uriel. “Ludzie Erlinga mogą cię złapać”.

- Wszystko jest jakieś zaczarowane - szepnął Robert. - Ten statek jest niebezpieczny, wolę zejść na ląd.

A miało być jeszcze gorzej. Od wieczornych chmur oderwała się sylwetka wielkiego czarnego ptaka i żeglując w powietrzu opadała ku statkowi Roberta.

Z podkulonymi zwyczajem drapieżnych ptaków nogami na pokładzie wylądowała najstraszniejsza istota, jaką można sobie wyobrazić.

Sigilion, król wymarłych Silinów.

Rozdział 30

Znaleźli się już blisko lądu, ale Rafael rozkazał ludziom się cofnąć. Z Robertem z pewnością by sobie poradzili, lecz nie z Sigilionem. Uriel prosił, by trzymali się od niego z daleka. Ujrzawszy, jak ślizgającym się lotem nadciąga przez przestworza, nie dali się długo prosić. Cofnęli się jak mogli najdalej, starając się jednocześnie

pozostać dostatecznie blisko, by przyjść Taran z pomocą, gdyby okazało się to konieczne.

Taran jednak nigdzie nie było widać.

Uriel na pokładzie zdawał sobie sprawę, że w walce o życie dziewczyny jest osamotniony.

Robert tyłem schodził po schodach. Oczy zaszkliły mu się z przerażenia. Jeden rzut oka wystarczył mu, by stwierdzić, że od nabrzeża dzieli go zbyt duża odległość, tamtędy nie mógł uciekać. Łódź wprawdzie cały czas kierowała się ku brzegowi, lecz zbyt wolno.

Finkelborg przestrzegał go przed najbliższymi Taran. Od niej dowiedział się, że Sigilion nie zaliczał się do jej przyjaciół, lecz jest konkurentem rycerza. Robert nie wierzył w fantastyczny opis jaszczura.

Przekonał się teraz, że wcale nie przesadzała, przeciwnie.

Mój znak Słońca, uzalił się w duchu. Gdybym go miał, ta istota z otchłani nie mogłaby mi wyrządzić żadnej krzywdy. Ale znak przepadł. Wróć, poprosił, w przyplynie próżności usiłując zaklinać.

Niestety, żaden znak Słońca nie wyłonił się z fal. Oryginalne, potężne znaki być może usłuchałyby wołania, gdyby magicznymi formułami wzywał je Móri, Dolg albo kardynał. Niestety, zwykli rycerze, wśród nich Robert, nosili jedynie wykonane domowym sposobem kopie.

Przytrzymując się mocno poręczy zszedł na sam dół. Na ostatnim stopniu się potknął, ale dzięki podporze nie upadł.

Sigilion szedł za nim. Smukły, zielonooki i niebezpieczny niczym jadowity wąż.

Robert się cofnął.

- Weź ją! - pisał. - Spójrz, to ona, daję ci ją. Zabierz ją sobie!

Niewidzialny Uriel stał przed Taran, oczekując na następne posunięcie Sigiliona.

Robert zagradzał mu drogę.

Z gardła Sigiliona wydobył się potworny dźwięk, warczenie, w którym bez wątplenia kryła się groźba. Spostrzegł leżącą w kącie Taran, Uriela nie zauważył.

Sigilion niczym błyskawica przemknął koło Roberta, który wyjął ze strachu oszalałym pędem rzucił się na górę na pokład. Sigilion zawrócił i pognał za nim.

- Ratunku! Ratunku! - wrzeszczał Robert do ludzi zgromadzonych w porcie.

“Nie”, rozległo się w ich głowach ostrzeżenie Uriela. “Sigilion jest śmiertelnie niebezpieczny, nie zbliżajcie się!”

Mężczyźni zdrętwieli na widok scen rozgrywających się na statku.

Najwidoczniej Sigilion uznał, że Roben mu przeszkadza. To, co nastąpiło potem, sprawiło, że wszyscy odwrócili się z obrzydzeniem, a Uriel jęknął wstrząśnięty.

Wszystko odbyło się nadszpodziewanie szybko. Sigilion po prostu wyciągnął rękę zakończoną potwornym szponem i ujrzeni, jak głowa rycerza przelatuje przez reling, a zaraz za nią ciało zostało wyrzucone za burtę.

Taran, Taran, myślał Uriel. Jak mam cię przed tym chronić? Jak mam rozprawić się z nieśmiertelnym?

Zdrada Soi już wcześniej rozgniewała Sigiliona. Nie przebierał w środkach.

Uriel cieszył się tylko, że Taran nie widziała, jaki smutny koniec spotkał Roberta.

Ponieważ nie chciał, aby ostateczne starcie rozegrało się w kajucie, gdyż to naraziłoby dziewczynę na jeszcze większe niebezpieczeństwo, ruszył ku schodom. Bardzo się niepokoił. Wysilał umysł, chcąc znaleźć sposób na unieszkodliwienie Sigiliona, lecz nic nie przychodziło mu do głowy. Nie wiedział, czy król Silinów ma jakieś słabości poza niepohamowaną skłonnością do kobiet, lecz to już wykorzystali. Drugi raz nie zdołają go oszukać.

Jak zwalczyć nieśmiertelnego? Kogoś, kto potrafi unosić się w powietrzu niszcząc wszystko, co znajdzie się na jego drodze?

Uriel musiał działać instynktownie, a akurat w tej chwili miał wrażenie, że jest całkiem pusty w środku.

Już miał zamiar poprosić o zesłanie mu miecza, do czego miał mu służyć - nie wiedział, kiedy ktoś szepnął mu prosto do ucha:

- Urielu, wybaczone, że przez pewien czas nie przychodziłam ci z pomocą.

Prowadziłam rozpoznanie na własną rękę.

- Pani powietrza! - szepnął Uriel. - Dziękuję, że zechciałaś przybyć! Bardzo potrzebuję twego wsparcia, bo kompletnie nie wiem, co robić.

- Rozwiązaniem są Madragowie.

- Madragowie? Ta czwórka, która pozostaje w niewoli u Sigiliona?

- Tak. Wiem już o nim więcej, prześledziłam drogę, którą przebył na zachód, i jak najszybciej nią wróciłam.

- Już miałem na końcu języka, że jesteś aniołem. Mów prędko, on już idzie po schodach.

- Staw mu czoło na pokładzie. Poproś o miecz z góry. Przyda ci się. I posłuchaj, czego się dowiedziałam. Przez cały czas zastanawialiśmy się, w jaki sposób Sigilionowi udaje się utrzymać Madragów przy życiu. Przecież w odróżnieniu od niego nie byli w świątyni, w której Lernurowie przechowywali trzy kamienie. Zebrałam wiadomości po drodze, a przede wszystkim w okolicach zamku... Musisz go oszukać, okłamać.

Uriel słuchał, idąc krótkimi schodami w górę. Zanim znalazł się na pokładzie, wiedział już znacznie więcej.

- Poproszę o miecz - rzucił cicho w stronę nieba.

Sigilion cofnął się na widok ubranej na biało postaci, która ukazała się koło schodów. Ten straszny miecz, który zmusił go do ucieczki wtedy, w opuszczonej zagrodzie, znów zapłonął ogniem. Król Silinów musiał zasłonić oczy, ale nie miał zamiaru się poddać. Wiedział, że Taran jest na dole. Nic nie zdoła go powstrzymać.

Zniszczy tę świetlistą istotę. Wszystko jedno, anioł czy nie anioł.

Wyciągnął rękę, by zadać szponem morderczy cios, kiedy jaśniejące zjawisko przemówiło surowym tonem.

Sigilion ze zdumienia skamieniał.

- Twoi Madragowie mają pewien plan - usłyszał.

Skąd on może wiedzieć o Madragach? zastanawiał się Sigilion.

Uriel ciągnął:

- Zamierzają wyważyć drzwi do twojej hodowli. Jeśli nie wrócisz jak najszybciej, uciekną, zabierając ze sobą eliksir życia. Odkryli, jak otworzyć drzwi.

Sigilion warknął w proteście. Nie wolno do tego dopuścić! Kamienie pomogły mu kiedyś przedłużyć życie, ale to przede wszystkim sok niezwykłych roślin pozwalał mu pokonywać śmierć. Dopóki starczyło eliksiru.

Musi natychmiast wracać. Ale nie bez Taran.

Podjął błyskawiczną próbę ominięcia straszliwej świetlanej postaci, lecz ona okazała się szybsza. Miecz świsnął mu tuż przed nosem.

Nie wcelował, pomyślał Sigilion, nie rozumiejąc, że Urielowi nie wolno zabijać. Straciłby wtedy wszystkie punkty, które zarobił, i nie mógłby na nowo stać się człowiekiem.

Kolejna próba, kolejny cios.

Statek uderzył o nabrzeże. Zapadał coraz głębszy zmrok.

- Musimy chronić Madragów przed jego gniewem - szepnęła pani powietrza.

- O tym samym myślałem. Jest to naszym obowiązkiem, zwłaszcza po tym, jak ich tak wykorzystaliśmy. Może kiedyś zdołamy ich uratować.

W głowie zabrzmiał mu głos Taran. Dotychczas tylko przysłuchiwała się ich rozmowie, a teraz zaczęła mówić bardzo prędko, bo nie mieli czasu do stracenia.

Sigilion nie stał spokojnie, kocim ruchem przybliżał się do Uriela.

“Pamiętam, że Dolg zmusił kiedyś braci zakonnych, aby zapomnieli o wszystkim, co się działo. Czy ty tego nie potrafisz, Urielu?”

“Nie jestem Dolgiem”.

“Jesteś Urielem”.

Takiej ufności i wierze w jego siły nie mógł się oprzeć.

“Nigdy nie próbowałem”.

“To spróbuj”, wtrąciła się pani powietrza.

Zanim Sigilion zdążył obmyśleć następny krok, Uriel wznosił miecz ku niebu.

Wiedział bowiem, że ognista broń posiada siłę, której Sigilion się boi. Czasami Uriel miał wrażenie, że niemal hipnotyzuje jaszczura.

Hipnotyzuje? To właściwe słowo.

- Sigilionie z rodu Silinów - zaczął Uriel dobitnym, monotonnym głosem. - Wrócisz teraz do swego zamczyska, nigdy nie słyszałeś o Taran ani o Dolgu. Madragowie nic niewłaściwego według ciebie nie zrobili. Pragniesz pozostać w swoim zamku. Na zawsze.

Z ostrza miecza posypały się iskry i błyskawice, jakby i broń sama chciała pomóc. Ku zdumieniu Uriela Sigilion znieruchomiał, patrząc prosto na niego, na istotę trzymającą miecz.

A potem Silin się odwrócił i wzniósł z pokładu.

- Będę mu towarzyszyć - powiedziała pani powietrza. - Sprawdzę, czy cię usłuchał i czy dobrze traktuje swoich niewolników. Zegnajcie!

- Gdzie leży jego zamek? - zawołał Uriel.

Ale pani powietrza już zniknęła.

Uriel nie ruszał się z miejsca, wreszcie odetchnął i opuścił miecz. Natychmiast mu go zabrano z powrotem do wymiaru, gdzie było jego miejsce.

Ciekawe, czy należy do archaniołów, zastanawiał się Uriel, schodząc po schodach. Z wolna się uspokajał. Pewien nie jestem, aniołowie zemsty także posługują się mieczami, by karać bezbożników.

Nie, ten miecz posiadał dobrą moc, nie był mieczem zemsty.

Nareszcie mógł rozluźnić więzy Taran. Przedtem nie miał na to czasu. Dopóki żył Robert, nie mogli ujawnić, że ktoś na pokładzie jej pomaga.

- Sigilion odszedł - krótko oznajmił Uriel.

Taran stanęła na niepewnych nogach i roztarła nadgarstki.

- Gdzie Robert?

- Nie żyje. Sigilion go zabił. Możesz bezpiecznie iść na górę, nie ma go już na pokładzie.

Taran posłała mu pytające spojrzenie, ale nic nie powiedziała. Nie chciała wiedzieć, w jaki sposób Sigilion dokonał dzieła zniszczenia.

Żadne z nich nie odezwało się ani słowem, kiedy schodzili na brzeg, gdzie czekali już na nich ludzie Rafaela. Oboje byli tak samo spięci. Czy sposób, w jaki Uriel postąpił z Sigilionem, został uznany za właściwy? Czy teraz wolno mu będzie powrócić do ludzkiej postaci?

Mężczyźni będący świadkami niemal "wszystkich wydarzeń jakie zaszły, także milczeli. Po zabraniu rzeczy Taran oraz koni jej i Roberta wyruszyli w drogę do domu, oszołomieni towarzystwem świetlistej postaci. Uriel, wyprostowany, nieziemski, dosiadł konia Roberta. Wszyscy pamiętali, jak niesamowicie wyglądał na statku, trzymając w rękach ognisty miecz.

Z trudem przychodziło znalezienie tematu rozmowy z tak wysoko postawioną istotą.

Kiedy dojechali do lasu za miastem, przystanęli zdumieni. Niezwykła poświata rozjaśniała mroczny las.

Zsiedli z koni. Wiedzieli już, czego to może dotyczyć. Uriel i Taran przeszli jeszcze dalej w przód, ku punktowi, gdzie światło padało w formie stożka. Taran zatrzymała się na jego krawędzi, Uriel wszedł do środka. Podniósł głowę.

Usłyszeli głos, łagodny i dobrotliwy, który Uriel natychmiast rozpoznał jako głos swego zwierzchnika.

- Urielu! Twoje zadanie zostało wykonane w sposób najlepszy, jak tylko można sobie było tego życzyć, bez wyrządzania komukolwiek krzywdy. Dotrzymujemy danej ci obietnicy. Będziesz znowu człowiekiem jak wszyscy inni na ziemi.

Dla wszystkich było jasne, że dla Uriela jest to niezwykle moment. Odwrócił się rozpromieniony radością.

- Taran! Słyszałaś?

- Tak, słyszałam - odparła wzruszona. Patrzyła na jaśniejącą nieziemskim światłem postać. On wciąż był Urielem, prawie aniołem, ale jakimż szczęśliwym! Rozległ się niegłośny trzask. Taran musiała zasłonić usta dłonią, żeby nie krzyknąć.

Mistrzowie Uriela gruntownie dokonali dzieła. Zniknęła biała szata, złoty pas i sandały. Uriel stał nagi, jak go Pan Bóg stworzył.

Taran zerwała płaszcz i prędko go nim owinęła, dopiero wtedy on sam zorientował się, co się stało. Popatrzył na nią z niesłychanym przerażeniem.

- Nic nie szkodzi - zapewniła go, czując, jak czerwienieją jej policzki. - Wcale się nie zmieniłeś, najdroższy. Tylko kolory masz takie bardziej zwyczajne, pozbawione nieziemskiej jasności.

Kąciki ust drżały jej z hamowanego śmiechu, "wesolość udzieliła się także Urielowi.

Taran nie zdołała dłużej zachować powagi.

- Jesteś pięknie, zbudowany. I z całą pewnością nie jesteś Gustava!

- Wiem. Zgadnij, jak bardzo się z tego cieszę!

Oboje myśleli o tym samym: muszą postarać się dla niego o nowe imię, nową tożsamość. Było to jednak nieistotne w tej chwili intensywnego szczęścia i gorącej miłości. I apetytu na życie!

W głosie Taran pojawiła się niepewność.

- Urielu, czy będziesz mógł zaczekać, aż moja rodzina powróci z Islandii?

- Postaram się. Czy wrócą niedługo?

Znów wybuchnęła śmiechem, słysząc jego zapal. Zaraz jednak spoważniała.

- Powinni już niedługo zjawić się w Bergen. Musimy tam pojechać. Ach, jak się cieszę, że się spotkacie. Już bym chciała cię im pokazać. Jestem pewna, że cię pokochają. - Powoli wypuściła powietrze z płuc. - Ciekawe, jak im się powiodło.